ANDREW M GREELEY
GRZECHY KARDYNALNE

Z angielskiego przełożył Piotr Kuś

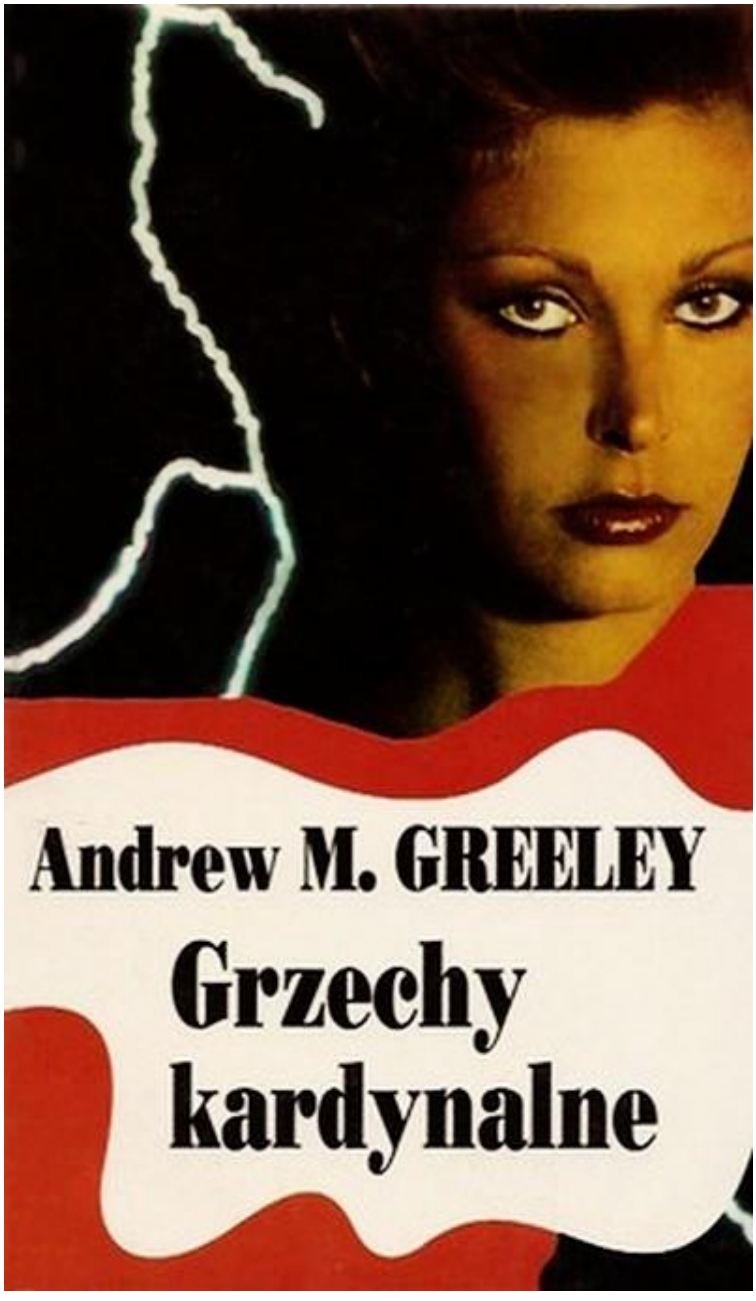

ŚWIAT KSIĄŻKI

Tytuł oryginału THE CARDINAL SINS

Obwolutę, okładkę i strony tytułowe projektowała Cecylia Staniszewska

Redaktor Justyna Grzegorczyk

Licencyjne wydanie klubu „Świat Książki" za zgodą Wydawnictwa REBIS

Copyright © 1981 by Andrew M. Greeley

Copyright © for the Polish translation by REBIS Publishing House Ltd., Poznań 1994

Ali rights reserved

„B.M." Sp. z o.o. VI O/Warszawa - Świat Książki Warszawa 1994

Druk i oprawa:

Drukarnia Naukowo-Techniczna Warszawa, ul. Mińska 65

ISBN 83-7129-058-6 Nr 1061

TLR

TLR

Pamięci Hildy Lindley

...bo jak śmierć potężna jest miłość,
a zazdrość jej nieprzejednana jak Szeol,
żar jej to żar ognia,
płomień Pański.
Wody wielkie nie zdołają ugasić miłości,
nie zatopią jej rzeki.
Pieśń nad pieśniami 8, 6-7

TLR

Nota o grzechach kardynalnych

Grzechy „kardynalne" (zwane „śmiertelnymi" czy „głównymi") wcale grzechami nie są. Jest to natomiast siedem niepożądanych skłonności osobowości ludzkiej, wiodących do grzesznego zachowania. Pycha, chciwość, nieczystość, gniew, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, zazdrość i lenistwo wypierają czyste i zdrowe ludzkie cechy: szacunek wobec siebie i bliźniego, powściągliwość, poczucie łączności z innym człowiekiem, umiejętność swobodnego myślenia, okazywanie radości. Grzechy kardynalne nie są rezultatem fundamentalnego zła, lecz fundamentalnego dobra, które wymknęło się spod kontroli, są rezultatem miłości pogmatwanej, obarczonej poczuciem winy i niewiary w nią. Grzechy kardynalne nie mają nic wspólnego, oczywiście, z członkami Świętego Kolegium, którzy, jak wszyscy dobrze wiemy, grzechów niemalże nie popełniają.

Tradycyjna wiara katolicka przyjmuje, że każdy z nas przychodzi na świat ze szczególną indywidualną skłonnością do jakiegoś grzechu — z grzechem kardynalnym, silniejszym w danej osobowości od wszystkich innych. Gdyby ktoś zechciał zastanowić się nad „szczególnymi skłonnościami" czterech głównych postaci tej historii, mógłby dojść do wniosku, że słabością Kevina jest pycha, Patricka — chciwość, Ellen — gniew (z wybijającym się od czasu do czasu obżarstwem), a Maureen — lenistwo (czasami nazywane apatią). Wszystkich ich gnębi, jak — przyznajmy — każdego z nas, całkiem spora dawka zazdrości.

A. M. G.

Od autora

Niestety, nie istnieje człowiek, który byłby rzeczywistym odpowiednikiem wymyślonego przeze mnie Patricka kardynała Donahue. Mimo wszystkich swoich wad i słabości, Patrick jest o wiele bardziej skuteczny w działaniu niż wielu purpurowych książąt Kościoła, których w ostatnim czasie aż tylu się namnożyło. Ktoś, kto uważnie zbadałby historię Świętego Kolegium, z całą pewnością doszedłby do wniosku, że przez ostatni tysiąc lat w skład tego grona wchodziło całe mnóstwo znacznie mniej od niego godnych osobistości.

Patrick jest wytworem mojej wyobraźni, człowiekiem, który w rzeczywistości nigdy nie istniał, jak zresztą wszyscy bohaterowie tej książki (z wyjątkiem tych, których nazwisk nie oznaczono gwiazdkami w spisie postaci duchownych, znajdującym się na następnych dwóch stronach).

Podobnie wymyślone są wydarzenia w archidiecezji chicagowskiej po roku 1965.

Książka niniejsza, co bardzo ważne, jest tylko powieścią, a nie autentyczną historią, biografią czy (stwierdzam to z pewnym smutkiem) autobiografią. A jednak jest bardzo prawdziwa.

ANDREW M. GREELEY

Chicago wiosna 1981

Lista postaci duchownych występujących na kartach powieści

(Gwiazdka przy nazwisku oznacza postać fikcyjną)

monsinior Adolpho, hiszpański kurialista*

Sebastiano Baggio, przewodniczący Kongregacji do Spraw Biskupów, „umiarkowany" kandydat na tron papieski

Giovanni Benelli, szef rady papieskiej, później arcybiskup Florencji ojciec Carter, amerykański jezuita nauczający w Rzymie*

Agostino Casaroli, watykański oficjał zajmujący się sprawami Europy Wschodniej, później sekretarz stanu

Raffaelo Crespi, delegat apostolski*

Richard Cushing, arcybiskup Bostonu

Partick Henry Donahue, siódmy arcybiskup Chicago*

Pericle Felici, sekretarz generalny Rady Watykańskiej, lider konserwatystów w kurii

Marcel Flambeau, arcybiskup Luksemburga*

John Król, arcybiskup Filadelfii

Hans Kiing, szwajcarski teolog

Albino Luciani, Salvatore Pappalardo, Giovanni Colombo, Ugo Poletti, Corrado Ursi; włoscy arcybiskupi, „kompromisowi" kandydaci na tron papieski

Antonio Martinelli, arcybiskup Perugii* (z Piacenzy)

Albert Gregory Meyer, piąty arcybiskup Chicago

Dermot McCarthy, irlandzki kurialista*

TLR

John Courtney Murray, amerykański teolog i ekspert w sprawach wolności religijnej

Daniel O'Neil, szósty arcybiskup Chicago*

Alfredo Ottaviani, starszy wiekiem reakcyjny kurialista

Sergio Pignedoli, „umiarkowany" kandydat na tron papieski

John Quinn, prawnik z Chicago, specjalizujący się w prawie kanonicznym

Opilio Rossi, Sylvio Oddi, konserwatywni kurialiści (z Piacenzy)

Giuseppe Siri, arcybiskup Genui, „konserwatywny" kandydat na tron papieski

Samuel Stritch, czwarty arcybiskup Chicago

Leo Josef Suenens, arcybiskup Mechelen — Brukseli

Jean Villot, papieski sekretarz stanu

Karol Wojtyła, arcybiskup Krakowa

John Wright, biskup Pittsburgha (później kardynał)

TLR

KSIĘGA PIERWSZA
LATA CZTERDZIESTE

TLR

1948

Patrick Donahue był moim najlepszym przyjacielem od niepamiętnych czasów. Byliśmy nierozłączni już wtedy, gdy uczęszczaliśmy do szkoły średniej i potem, kiedy kontynuowaliśmy naukę u jezuitów. Był wówczas niewielkiego wzrostu (znacznie niższy ode mnie), ale gdy weszliśmy w okres dojrzewania, wystrzelił wysoko w górę niemalże w ciągu dwóch tygodni. Gdy był małym chłopcem, dorośli uważali, że jest uroczy. Później czarował ich swoim spokojnym charakterem i wyszukaną grzecznością. Pewnego razu starsze dziewczyny powiedziały, że jest sexy, ze swoimi jasnymi włosami, długimi rzęsami i srebrnobłękitnymi oczyma. Gdy skończył siedemnaście lat, podobał się wszystkim kobietom bez względu na ich wiek.

Jeszcze dwa lata wcześniej, gdy miał lat piętnaście, Pat na widok dziewczyn zwykł się jąkać i czerwienić. Obecnie sprawiał wrażenie, że tylko one zaprzątają mu głowę, nawet tak młode i ledwo dojrzałe jak moja „kuzynka", Maureen Cunningham. Wszyscy uważali, że Pat wygląda jak Guy Madison; to porównanie ma sens tylko dla tych, którzy pamiętają ówczesną amerykańską telewizję albo obecnie oglądają nadawane w niej bardzo późno powtórki starych filmów. W każdym razie, niezależnie od tego, czy był podobny do Guya Madisona, czy też nie, miał bardzo zaraźliwy uśmiech, a ogromne poczucie humoru sprawiało, że w krótkim czasie stawał się duszą każdego towarzystwa, w którym akurat dane mu było przebywać.

Pat nie był tak dobrym uczniem jak ja ani nie miał zdolności przywódcy. Nie był też, co koniecznie muszę podkreślić, tak pobożny jak ja. Błądził, cofał się w swej wierze, powracając ku Bogu poprzez codzienne uczestnictwo we mszy świętej, odmawianie różańca, krótkotrwałą przemianę, aby później znów skie-

rować się ku alkoholowi i łatwym dziewczętom; irlandzka droga do zbawienia — jak zapewnił mnie mój ojciec, który z pewnym niepokojem spoglądał na moje ostrożne, pełne szacunku podejście do wszystkiego co boskie.

W którąś sobotę gorącego lipca 1948 roku, bardzo wcześnie, szedłem szosą z Patem, który bez przerwy mówił o mojej kuzynce Maureen. W pewnym momencie minął nas szary packard, który po chwili zjechał z drogi do rowu, przekoziołkował, a potem eksplodował. Tylko odwaga i błyskawiczny refleks Pata ocaliły jego pasażerów. A ja stałem tam, w kurzu wysuszonej na pieprz drogi, obserwując, jak pomarańczowa kula ognia i dymu pochłania samochód. Wciąż mam przed oczyma tę scenę.

Tego dnia schodziłem powoli ze wzgórza, zmierzając do kościoła stojącego na krańcu wsi. Pat szedł akurat w przeciwnym kierunku, a jego radosnego uśmiechu na przystojnej twarzy w żadnym stopniu nie mąciło zmęczenie po zabawie na plaży ostatniej nocy. Zaoferował mi swoje towarzystwo, decydując, że zawróci i pójdziemy razem do kościoła.

Wiedział, że moi rodzice, widząc go ze mną, nie zapytają, gdzie spędził noc. Powinienem być zły na niego; był moim gościem i czułem się odpowiedzialny za jego kondycję fizyczną i duchową, jednak śmiech i doskonały humor Pata powodowały, że nie można się było na niego złościć.

— To były takie niewinne pieszczoty — mówił, uśmiechając się z zadowoleniem — że nie widzę powodu, aby nie przyjąć komunii dzisiaj na mszy.

— Piwo, które piłeś po północy, naruszyło post przed przyjęciem sakramentu — stwierdziłem sucho.

— Mówisz, jakbyś był już monsiniorem. — Pat z zadowoleniem walnął mnie w plecy. — A jeszcze nim przecież nie jesteś.

— Będę co najmniej biskupem — powiedziałem. — A może nawet kardynałem.

Kevin kardynał Brennan. — Roześmiał się. — To brzmi całkiem nieźle. Mógłbyś uczynić mnie rycerzem papieża albo kimś w tym rodzaju?

Asfalt na szosie był miękki od niesamowitego gorąca. Aż mną wstrząsnęło na myśl o drodze powrotnej, po mszy. Zanosiło się na kolejny nieznośnie gorący dzień.

— A Maureen damą papieskiego dworu — dodałem.

— Ona już tutaj jest damą — stwierdził Pat, potrząsając głową z aprobatą. — Wiem, że jest twoją kuzynką, ale, wybacz, nikt tak nie potrafi całować jak ona.

— Wcale nie jest moją kuzynką — zaprzeczyłem. — Po prostu jej i mój ojciec są od tak dawna partnerami we wspólnej kancelarii prawniczej, że nazwaliśmy się kuzynami. Pamiętaj, że jej słodkie pocałunki wcale nie są dla mnie zabronione.

— To będzie dzień! Kevin Brennan, wzór pobożności, całujący się z dziewczyną na plaży.

Myśl o słodkich wargach Maureen, przyciśniętych do moich ust, była wizją bardziej nęcącą, niż byłbym skłonny to przyznać.

— A gdzie Maureen? — zapytałem. — Czyżby zbyt wielki kac nie pozwalał jej wybrać się z nami na wzgórze? A może zwyczajnie nie ma na to ochoty?

Pat wzruszył ramionami.

— Marty Delaney podwiezie dziewczęta z powrotem swoim packardem. Ja postanowiłem odbyć mały spacer. Powiedziałem im, że będziesz zły, jeśli zlekceważę konieczność utrzymania kondycji przed kolejnym sezonem koszykarskim.

— Chodzi o twoje stypedium, a nie o moje.

To przypomnienie jakby po nim spłynęło. A przecież potrzebował tego stypendium, aby uczęszczać do college'u. My, Brennanowie, byliśmy na tyle bo-

TLR

gaci, że pieniądze nie stanowiły dla nas problemu. Podejrzewałem, iż Pat uważa to za wielką niesprawiedliwość. Dla mnie zaś niesprawiedliwością było to, że Pat posiadał o wiele więcej uroku osobistego i wdzięku niż ja.

Zanim zdążyliśmy jeszcze cokolwiek powiedzieć, packard Delaneyów wypadł zza ostatniego zakrętu oddzielającego wzgórze od wioski. Marty musiał pędzić z szybkością co najmniej sześćdziesięciu mil na godzinę.

Choć z trudem, ale zmieściłby się na szosie, gdyby z przeciwnego kierunku nie nadjechał stary buick doktora Crawforda, właśnie zmierzającego do yacht dubu. Delaney zakręcił kierownicą, jak sądzę instynktownie, aby uniknąć zderzenia z wielką, czerwoną maszyną, przez co packard zjechał na pobocze, kilkanaście jardów od nas, a następnie przechylił się do rowu. Dalej już poturlał się bezwładnie niczym żółw po kopulacji, kilkanaście razy koziołkując. Gdy wreszcie zatrzymał się, koła obracały się w powietrzu.

Pat, ani na chwilę nie straciwszy przytomności umysłu, krzyknął:

— Wyciągniemy ich stamtąd! — I ruszył w kierunku samochodu.

Ja natomiast czułem się tak, jakby mi nagle nogi wrosły w ziemię. W końcu ruszyłem za nim, ale każdy mój krok zdawał się trwać wieczność.

Wewnątrz rozbitej maszyny krzyczeli i jęczeli ludzie. Pat szarpnął za drzwiczki.

— Pomóż mi, Kevin! — wrzasnął.

Wyciągnęliśmy Marty Delaneya zza kierownicy. Cała jego twarz pokryta była lepką krwią. Obok niego znajdowała się Sue Hanlon, nieprzytomna, z pięknymi, smukłymi nogami, wykręconymi pod nienaturalnym kątem. Poprowadziłem zszokowanego, lecz przytomnego Delaneya do rowu przy drodze, podczas gdy Pat delikatnie ułożył Sue na trawie.

Właśnie wyciągnęliśmy Joan Ryan i Joe Heeneya z tylnych foteli, gdy eksplodował zbiornik z paliwem. Siła eksplozji odrzuciła nas wszystkich do rowu. Sukienka Joan natychmiast zajęła się ogniem, a po chwili płomienie dotarły do

jej długich, jasnych włosów. Dziewczyna jęczała i wyła histerycznie. Joe, straciwszy przytomność, leżał bez ruchu. Na moment dopadła mnie myśl, że zaraz wszyscy umrzemy. Ale Pat i teraz nie stracił zimnej krwi. Przewrócił dziewczynę na ziemię i zaczął obsypywać ją piaskiem, by zadusić płomienie. Przeniosłem Sue w bezpieczne miejsce, dalej od samochodu. I stałem tam, trzymając ją na rękach, otumaniony, podczas gdy Joan, nagle uspokojona, z okopconą i pokrwawioną piegowatą twarzą, oraz Pat odciągali dwóch chłopaków od płomieni.

Nagle pojawił się przy mnie doktor Crawford; udało mu się zatrzymać samochód kilkanaście jardów od miejsca wypadku. Mówił coś do mnie, ale go nie słyszałem. Zapewne chciał, żebym położył Sue na ziemię. Uczyniłem to po chwili wahania. Usiadłem obok, a doktor dotknął jej ręki, odchrząknął i pokręcił głową. Kwaśny dym z płonącego pojazdu drażnił moje nozdrza i sprawiał, że piekły mnie oczy.

Ambulans policji stanowej przyjechał po czasie, który wydawał się wiecznością. Ted Smith, porucznik policji, i ojciec O'Rourke, zbyt często zaglądający do kieliszka proboszcz z naszego wiejskiego kościoła, stanęli nad dogasającym wrakiem i potrząsali głowami.

— Gdybyśmy tu się znaleźli choć kilka sekund później — mówił Pat, oddychając ciężko — wszyscy by spłonęli. — Twarz i włosy Pata były czarne od sadzy, a jego biała koszula i spodnie brudne i podarte.

— I my z nimi — dodałem. I dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę, że Maureen nie było w samochodzie.

— Żadne z nich nie miało prawa przeżyć — powiedział porucznik jakby przez nos, przeciągając sylaby. Akcent typowy dla najrzadziej zaludnionych obszarów Wiscon-sin. — Pieprzone bachory, całą noc chleją, a potem pędzą z szybkością sześćdziesięciu mil tam, gdzie jest ograniczenie do dwudziestu. Mieli szczęście, że się tu znalazłeś, Kevin.

— Uratowałeś im życie, ale zapewne i dusze — dodał niechlujny stary ksiądz, podciągając purpurową stułę, której koniec ciągnął się po ziemi. —

Gdyby umarli bez ostatniego namaszczenia po tym, co wyprawiali w nocy na plaży, poszliby prosto do piekła.

— Skąd ksiądz wie? — zapytałem. Zdaje się, że nikt mnie nie usłyszał. Ujrzałem spazm bólu, przecinający twarz Pata.

— Dwoje z nich wygląda, jakby dogorywali, szczególnie ta dziewczyna — powiedział Ted, przygładzając swoje potężne wąsy. — Jeśli jednak przeżyją, Kevin, będą to zawdzięczać tylko tobie.

Ciągle oszołomiony powlokłem się do naszego domu na wzgórzu. Po drodze kilkakrotnie wymiotowałem, a znalazłszy się w swoim pokoju, rzuciłem się na łóżko i przespałem resztę dnia.

— Wszyscy się wyliżą z ran, z wyjątkiem tej Hanlon — powiedziała moja matka, budząc mnie na kolację. Jej rude włosy lśniły w promieniach zachodzącego słońca. — Sue Hanlon najprawdopodobniej będzie kaleką do końca życia.

Jeszcze przez wiele lat prześladował mnie w snach widok nienaturalnie wykręconych nóg Sue.

Teraz nie odróżniam ich już od poharatanych nóg innej kobiety, których wspomnienie również mnie prześladuje.

Pat powrócił do naszego letniego domu nad jeziorem w ostatnim tygodniu sierpnia, gdy emocje związane z wypadkiem już opadły. Pewnego popołudnia zaproponował mecz w baseball przeciwko chłopakom ze wsi. Z powodu jego gapiostwa przegraliśmy z kretesem. Wieczorem więc, podczas kolacji, byłem na niego zły i nadąsany. Pat, nic sobie z tego nie robiąc, żartował wesoło z resztą rodziny. Po kolacji poprosił mnie o pożyczenie studebakera. Powiedział, że chce zobaczyć, co się dzieje w mieście. Wiedziałem, oczywiście, że pojedzie do Maureen. Pani Cunningham uważała Pata za czarującego młodzieńca i nie widziała nic złego w tym, że jej córka wałęsała się po południowym Wisconsin z synem hydraulika.

W milczeniu podałem mu kluczyki.

— Chcesz jechać ze mną? — zapytał kusząco, a jego twarz przybrała ten sam promienny wyraz, którym tak czarował kobiety. — Moglibyśmy poszukać panien Cunningham i Foley.

Ellen Foley, do której uczucie Maureen i Pat wmawiali mi od tygodnia, była małą, zagubioną istotką. Maureen wzięła niebożę pod swoje skrzydła i tak oto przypadła mi w udziale na mocy zaocznego wyroku.

— Zapomnij o tym — powiedziałem ponuro. Usadowiłem sie w bujanym fotelu na frontowym ganku, skąd rozpościerał się piękny widok na wioskę i jezioro.

Mój dziadek i dziadek Maureen zakupili kilkanaście mil kwadratowych na wzgórzach za jeziorem jeszcze przed pierwszą wojną światową, przedkładając spokój i oddalenie nad to, co mój ojciec nazwał „letniskiem slumsów" ciągnącym się wzdłuż plaży.

W okresie wychodzenia z zapaści spowodowanej Wielkim Kryzysem mojego ojca często kuszono, aby pozbył się swojej części ziemi. W końcu jednak, krótko przed powołaniem do służby wojskowej, Tom Cunningham przekonał go, że ich firma prawnicza już wystarczająco dobrze prosperuje, aby funkcjonować i dbać o interesy rodziny podczas jego nieobecności. Ojciec powrócił z wojny po blisko czterech latach z białymi jak śnieg włosami, piersią pełną medali i z orłem na ramieniu, po to tylko, aby stwierdzić, że firma prawnicza upadła. Tom był bardziej zainteresowany swoją śliczną, małą dziewczynką niż prowadzeniem firmy. Ojciec, teraz „pułkownik", pozwolił sobie jedynie na komentarz, że takie są właśnie konsekwencje zbyt późnego ożenku i rzucił się w wir pracy z taką samą zaciekłością, z jaką wiódł żołnierzy do ataku pod Monte Cassino i Bastogne.

Już trzy lata później powodziło się nam lepiej, niż mogliśmy przypuszczać w najśmielszych snach, a Cun-ninghamowie, nie wkładając w to zbytniego wysiłku, wieźli się wygodnie na naszych plecach. Ojciec snuł plany zbudowania basenu nad jeziorem oraz domu zimowego na Florydzie; i on, i matka z wielką przyjemnością wydawali pieniądze. W tamtych latach marzenia nas wszystkich

rosły i wzlatywały w niebo jak napełniony gorącym powietrzem balon. Już nigdy nie miał się powtórzyć Wielki Kryzys. Nie było granic nie do przekroczenia.

Jednakże wśród naszych sąsiadów w Chicago kilka powojennych lat wytworzyło sytuację, która, jak wydawało się w 1948 roku, miała trwać już zawsze. Cunninghamowie i Bren-nanowie, którym tylko odrobinę lepiej wiodło się w czasach powszechnych wyrzeczeń od Donahue'ów i Foleyów, teraz byli bogaci. Natomiast ojciec Pata ciągle był hydraulikiem, a ojciec Ellen — biednym irlandzkim gliniarzem.

Obserwowałem, jak jezioro pode mną robi się coraz bardziej purpurowe w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, jak motorówki przecinają je we wszystkie strony, tworząc białe smugi, a kolorowe żagle zwisają bezwładnie w bezwietrznym powietrzu. Samochody mknęły szosą opasującą brzeg, wożąc ludzi na wieczorne piątkowe koktajle i przyjęcia. Martwiłem się o Pata Donahue. Jeśli w przyszłym roku nie zdobędziemy pierwszego miejsca w mieście, najprawdopodobniej straci stypendium. Jeżeli w trakcie sezonu będzie tak uganiał się za dziewczętami jak przez całe wakacje, ten scenariusz jest niemal pewien.

Ojciec usiadł w bujanym fotelu obok mnie.

— Piękny widok, prawda? — rzucił.

Mruknąłem coś, potakując głową. Cóż, ojciec nie znał mnie za dobrze. Byłem małym chłopakiem, kiedy pojechał na wojnę. Po powrocie do domu zastał swoją żonę piękną jak zawsze, młodsze dzieci szalejące z okazji przyjazdu tatusia i tylko najstarszy, czternastoletni syn okazał się kimś zupełnie innym, niż był przed czterema laty. Jak to ojciec później określił, byłem „wysokim jak sosna młodzieńcem, o ponurej twarzy, gęstych, rudych włosach i ciemnozielonych oczach". Jakby tego było mało, na „dzień dobry" zakomunikowałem mu, że mam zamiar zostać księdzem.

— Przypomina mi wiele ślicznych miejsc we Włoszech i w Szwajcarii — powiedział w zamyśleniu. Rzadko wracał pamięcią do lat spędzonych na wojnie. — Kilka razy zdawało mi się już, że nigdy tutaj nie powrócę.

Milczałem.

— Ciężko przeżywasz dzisiejszą porażkę? — Był nieustępliwy.

— Głupia gra — odparłem.

— Nie lubisz przegrywać.

— A po kim to mam, Pułkowniku? — zapytałem sucho. Jego oczy błyszczały w półmroku.

— Być może wygrywanie nie jest tak ważne dla Pata jak dla ciebie.

— Też tak myślę — odparłem. — Kiedy więc wróci samochodem z dziewczynami, i ja zapomnę o wszystkim.

Klepnął mnie w kolano i zniknął za drzwiami w poszukiwaniu mojej matki, unosząc wraz z sobą miły aromat tureckiej tabaki.

Kiedy na podjeździe pojawił się studebaker z Patem i Maureen Cunningham na przednich siedzeniach, momentalnie zapomniawszy o urazie, szybko przerwałem przeprosiny Pata i wcisnąłem się na tylny fotel obok Ellen Foley. Pomyślałem, że wygląda ze swym długim końskim ogonem jak przestraszona licealistka, która właśnie podpadła w czymś policjantowi patrolującemu ulicę.

Pat zjeżdżał do wioski z przesadną ostrożnością. W pewnym momencie Maureen powiedziała mu, że to przecież mój samochód, więc nie ma powodu, aby jechać tak powoli.

— Oczywiście, Pat — rzuciłem. — Nie mam nic przeciwko temu. Auto jest dobrze ubezpieczone.

Nawet jeśli ojciec Maureen zabije cię w ataku szału, O'Rourke zdąży ci udzielić rozgrzeszenia, o ile, oczywiście, będzie dość trzeźwy. My natomiast możemy przecież pograć sobie w szpitalu w karty z Sue Hanlon.

— Już trzy lata temu powinieneś iść do seminarium — odezwała się Maureen lekceważąco. —

Tylko tam wszystkie zakazy i nakazy są przestrzegane przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— I nie ma zepsutych kociaków, którym zdaje się, że pojadły wszystkie rozumy — odparłem.

Do Sugar Bowl jechaliśmy już w ciszy. Szóstym zmysłem wyczułem, że mała osóbka obok mnie zaakceptowała moje słowa.

Sugar Bowl była dużą kawiarnią z szafą grającą, jaskrawymi światłami, wszechobecnym zapachem kwaśnego mleka i drewnianymi stołami, które pochodziły chyba jeszcze sprzed wojny secesyjnej. Kiedy do środka wchodziła Maureen, zwróciły się w jej kierunku wszystkie głowy męskie i większość żeńskich. Oczywiście, zdawała sobie sprawę z zainteresowania, które wywołała, i nic przeciwko niemu nie miała.

Maureen wyglądała po prostu wspaniale. Nosiła nieskazitelnie biały kostium, miała długie, czarne włosy, figurę modelki i piękne, ciemne oczy. Była nastoletnim ideałem kobiety. Po obejrzeniu w kinie State Fair na początku lata, wszyscy byliśmy zgodni, że Maureen jest o wiele piękniejsza od Jeanne Crain.

Manewrowała tak, że gdy znaleźliśmy się w małym boksie, Pat musiał usiąść obok niej. Ja siadłem naprzeciwko i co jakiś czas trącała mnie nagimi kolanami.

— Czy pójdziemy na zabawę taneczną do klubu, z okazji Święta Pracy*[1]? — zwróciła się do mnie.

Byłem członkiem klubu, więc mogłem tam wprowadzić zarówno ją, jak i Pata.

[1] * Święto Pracy obchodzone jest w Stanach Zjednoczonych 2 września.

Nie zdążyłem odpowiedzieć, gdy zjawiła się kelnerka. Zaskoczony niespodziewanym pytaniem zdołałem jednak złożyć zamówienie: dwa razy lody bananowe, raz czekoladowe i potężny deser lodowy dla „mojej" dziewczyny.

Opanowawszy się, odpowiedziałem na pytanie Maureen.

— Wątpię. Wiesz, jak moja matka nie cierpi pijaństwa. Raczej będziemy piekli hot-dogi nad stawem. Ojciec go trochę oczyścił, i nawet można popływać.

— Och, Boże, przecież to wspaniałe! Pójdziemy tam wszyscy razem?

— I znów będziesz miała okazję zaprezentować któryś ze swoich niemoralnych kostiumów? — zapytałem. Chciałem, aby w moim głosie zabrzmiała nagana.

— Raczej nie zauważyłam, żebyś odwracał wzrok, kiedy prezentuję te stroje — odpowiedziała kwaśnym tonem. — Jak na kogoś, kto zamierza zostać księdzem, gapisz się aż nazbyt nachalnie.

Szafa grająca zakończyła piosenkę *Il Might as Well Be Spring* i ponownie zabrzmiały skoczne takty.

— Chodź, Pat — powiedziała Maureen, ciągnąc go za rękę. — Zatańczymy. A Kevin niech spokojnie wytłumaczy Ellen, dlaczego ja jestem jedyną osobą, która ośmiela się z niego żartować.

Przyglądałem się, jak tańczą. Dwoje wysokich, przystojnych młodych ludzi — ciemnowłosa, magiczna księżniczka i jasnowłosy, wspaniały rycerz. Para z najbardziej romantycznych snów.

— Dlaczego mu to dziś zrobiłeś?

Rozejrzałem się, aby dowiedzieć się, do kogo należy ten głos brzmiący jak dźwięk odległych dzwoneczków i stwierdziłem, że pytanie zadała Ellen. Tego wieczoru odezwała się do mnie po raz pierwszy.

— O co ci chodzi?

Jej oczy były łagodne, duże i niemal przezroczyste.

TLR

— O dzisiejszy mecz. Mieliście już zaklepany remis, a ty kazałeś mu...

— Stanął przed wielką szansą. Gdyby zdobył punkty, bylibyśmy zwycięzcami. Nadal przyglądała mi się, nie mrugając powiekami.

— Nie miał szans pokonać Tima Currana. — Jej zadarty, opalony nosek nieznacznie się zmarszczył.

— Dziewczyny nie znają się na baseballu — powiedziałem niepewnym tonem. Od razu poczułem niesmak z powodu użycia tak bezsensownego argumentu.

— Pat nie miał wystarczającej woli zwycięstwa, a ty za bardzo chciałeś wygrać — stwierdziła kategorycznym tonem. — W każdym razie — dodała łagodniej — to bardzo miło, że się tak nim opiekujecie. — Odwróciła wzrok od mojej twarzy.

— Kiedy dorośniesz, Ellen Foley, będziesz bardzo niebezpieczną osóbką.

Jej twarz zrobiła się czerwona aż po cebulki włosów związanych w koński ogon. Patrzyłem, jak nerwowo grzebie łyżeczką w swoim deserze lodowym. Było coś niesłychanie ujmującego w jej wąskiej szyi, czystej cerze i lekko wypukłych policzkach.

— Czy dostrzegasz coś szczególnie interesującego w sposobie, w jaki jem lody, Kevinie Brennan? — zapytała, a jej wielkie oczy spoczęły znów na mnie badawczo.

— Obserwuję z ciekawością i zdziwieniem, jak szybko topnieje ta góra lodowa.

Słowa wyrwały mi się z gardła, zanim zdołałem temu zapobiec. Usta Ellen wykrzywiły się w kwaśnym uśmiechu.

— Maureen powiedziała mi, że bywasz miły tylko dwa razy w roku.

— Możesz teraz wstrzymać oddech i czekać na ten drugi raz.

Moje palce, tak impulsywne jak język, sięgnęły po jej rękę na stole. Cofnęła ją błyskawicznie.

Poczułem jednak, jak przez krótki moment przebiegał pomiędzy nami prąd elektryczny.

— Dobrze, że ty i twój niewyparzony język udajecie się do seminarium.

Od konieczności dalszej wymiany tych uprzejmości wybawiło nas przybycie Tima Currana. Jego oczy lśniły; nieomylny znak, że wypił co najmniej dwa piwa.

— Cześć, szefie — przywitał mnie. — Cześć, mała. — Pogłaskał Ellen po głowie, jakby była małym pieskiem. — Czy macie coś przeciwko temu, że się przysiądę, skoro ci dwoje wciąż tańczą?

— Nawet cię nie zauważą, kiedy wrócą — stwierdziła Ellen. — Co nowego w bandzie Czarnego Wędrowca?

Tim odgarnął niesforny kosmyk włosów, opadający mu na oko.

— Pracuję teraz nad schematem organizacji „Październik" — zaczął z zapałem. — Kevin uważa się chyba za zbyt dorosłego na takie zabawy, ale, do diabła, czy wszyscy musimy się starzeć? Prawda, Kevin?

Ellen była jedną z wielu niczym nie wyróżniających się dziewcząt, ale tego wieczoru była tu w końcu ze mną! Nie spodobał mi się głupi uśmiech, jaki Tim jej posłał.

— Wszyscy się starzejemy — oznajmiłem głucho.

— Czy jej schemat jest skomplikowany? — zapytała Ellen, ignorując ton mojego głosu.

— Nie mogę ci jeszcze powiedzieć, ale z pewnością rozgryzienie organizacji jest o wiele trudniejsze niż zadanie starego Honnikara, który rano otworzył swój sklep i stwierdził, że ma poprzekładane wszystkie towary na półkach. Długo się męczył, biedaczek, żeby wszystko ułożyć z powrotem.

— A pamiętacie McGinitysów? Wrócili do domu i zobaczyli, że wszystkie meble z jadalni stoją w salonie i na odwrót — dodała Ellen.

— Jesteś zbyt młoda, żeby to pamiętać — skarciłem ją.

Potrząsnęła głową przecząco. Akurat połykała ostatni kęs deseru.

— Nie jestem też zbyt młoda, żeby pamiętać, że to właśnie ty położyłeś statuetkę Najświętszego

Serca na pokrywie toalety w łazience siostry Pauliny.

Moja twarz, która w miarę, jak rosła temperatura dyskusji, nabierała rumieńców, zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

— To był pomysł Tima.

— Ale Kevin nigdy nikomu nie zdradzi, w jaki sposób dostał się ze statuetką do tej łazienki.

— To było proste. Zwyczajnie... — urwałem w pół zdania, kiedy uświadomiłem sobie, że próbuję zrobić wrażenie na Ellen Foley jako członek bandy Czarnego Wędrowca.

— O mały włos się wygadałeś — stwierdził Tim z drwiącym uśmiechem. — Masz na niego duży wpływ, mała. — Uderzył mnie w ramię. — Ale, ale. W tej wiosce jest dziś tak dużo piwa, że wstyd byłoby jeszcze się nie napić. Do zobaczenia.

Wstał i zwinnie zaczął przeciskać się do wyjścia, pomiędzy tańczącymi parami. Jakby rzeczywiście był tajemniczym, niewidzialnym Czarnym Wędrowca naszego dzieciństwa.

— Miły jest — stwierdziła Ellen.

— Pija za dużo piwa.

Na szczęście dla mnie, Pat i Maureen, zziajani, z trudem łapiący oddech, lecz zadowoleni, ten właśnie moment wybrali na powrót do stolika. Dobrze, bo jeszcze chwila i zacząłbym robić z siebie durnia.

Następnego ranka, kiedy po śniadaniu znosiłem brudne talerze do kuchni, moja matka zapytała:

— Czy to nie ta dziewczyna od Foleyów siedziała obok ciebie w samochodzie wczoraj wieczorem?

— Matki wszystko zauważają — stwierdziłem, wstawiając naczynia do zlewu i zdejmując ręcznik z haczyka.

— Po to są matkami — odparła. — Zdaje się, że Ellen wyrasta na uroczą dziewczynę, prawda?

— Nie zauważyłem.

— Nie? — W zamyśleniu płukała szklankę. — Może powinieneś przyjrzeć się jej trochę uważniej?

— Podobnie jak ojcu, nie podobają mi się niewielkie kobiety.

— Gdyby tak było, nie przyglądałbyś się wszystkim, bez wyjątku, dziewczynom w strojach kąpielowych.

— Nie widziałem Ellen w stroju kąpielowym, jeśli o to chodzi. Ale nawet gdybym ją w nim ujrzał, nie wzrosłoby mi ciśnienie krwi.

— Martwię się o dziewczyny takie jak ona. Matka robi z niej niewolnicę, każąc opiekować się całym licznym rodzeństwem. Tak jakby to Ellen była winna temu, że tylu ich jest. Dorośnie, wyjdzie za mąż i nie zazna w życiu niczego poza ciężką pracą. Aż dziw, że Kate Foley wypuściła ją na kilka tygodni na wakacje.

— Ellen była chora w zeszłym miesiącu. Lekarze zastanawiali się, czy to nie heinemedina. Maureen twierdzi, że wszystkiemu winne jest wyczerpanie Ellen.

W każdym razie nie martw się o nią. Jest wystarczająco inteligentna, żeby dać sobie radę.

Matka rozszerzyła oczy ze zdziwienia.

— To ty odnotowujesz jej inteligencję, a nie zauważasz urody? Kevin, a może ty już chodzisz do seminarium? Oboje roześmieliśmy się.

— Czego to młodzi ludzie pragną od życia? — rzuciła pytanie. Wyraźnie starała się, aby zabrzmiało to zdawkowo i nie patrzyła na mnie w tym momencie.

— Szukamy w nim sprzeczności — odparłem w ten sam sposób. — Pat chce mieć władzę i być wielbiony przez tłumy. Maureen chce być malarką, ale zarazem uwielbia politykę. A Ellen... nie jestem pewien, co jej chodzi po głowie, ale myślę, że chce zostać pisarką i założyć szczęśliwą rodzinę. A ja... Ja chcę być księdzem.

TLR

1948

Pat Donahue bal się. W gardle mu zaschło, ręce miał mokre od potu. Im dalej zagłębiali się pomiędzy ciemne, wilgotne drzewa, tym bardziej rosła jego niepewność. Szła przed nim, kołysząc na boki biodrami, co chwilę zgrabnie omijając wystające gałęzie, aby uniknąć poszarpania sukienki i bluzki, specjalnie włożonych na tę niedzielę. Ani razu nie odwróciła się do niego, gdy tak powoli poruszali się starą, zarośniętą ścieżką.

Wyszli na polanę. Czy słyszała, jak łomocze mu serce w piersiach?

Teraz dopiero popatrzyła na niego z zapraszającym uśmiechem.

— Kiedyś był to letni domek, w którym mój dziadek i babcia popijali sobie herbatę i lemoniadę.

Pułkownik kazał go unowocześnić i pomalować, kiedy budował staw. To bardzo miło z jego strony, prawda?

Ruszył za nią po trzech skrzypiących schodach i wszedł do niewielkiego, okratowanego, ośmiokątnego pomieszczenia. W środku było ciemno i pachniało świeżą farbą. Przez ten zapach przebijał się jednak wyraźnie smród stęchlizny, niespodziewany w tym miejscu.

Znów popatrzyła na niego wzrokiem, który zdradzał tęskne oczekiwanie. Gwałtownie wziął ją w ramiona i zaczął całować jej usta. Przycisnęła do niego swoje ciało, po czym odchyliła do tyłu głowę.

— Nieźle, Pat, całkiem nieźle. Podoba mi się sposób, w jaki mnie całujesz — roześmiała się.

Znów zaczął całować. Tym razem z większym opanowaniem, czule. Ich nienasycone wargi stykały się, poszukując, próbując.

Pozwoliła mu, aby przejął całkowitą kontrolę nad sytuacją, poddała się jego męskiej sile.

Przewrócił ją na podłogę. Jego ręce powędrowały po udach pod sukienkę. Dotykał jej czule, niemal muskał powierzchnię skóry, mimo że krew prawie w nim wrzała. Byt delikatny, jakby natchniony, a ona poddała się wrażeniom, jakie niosły ruchy jego ręki, wzdychając tylko co chwilę z rozkoszą.

Odrobinę pomogła mu, gdy ją rozbierał. Później była już całkowicie pasywna w jego objęciach.

Oddychała ciężko. A więc on to zrobi. Mimo wszystko nie spodziewała się. Przypuszczała, że zatrzyma się w którymś momencie. Może jednak...

Nieco opierała się, potem zrezygnowała, całkiem świadoma chwili, w której decyduje się na utratę dziewictwa.

Lecz nagle jego pożądanie opadło, przemieniło się w niespodziewany strach. Zerwał się z niej i unikając jej wzroku, zaczął się ubierać.

— Lepiej poszukajmy Kevina i Ellen — powiedział drżącym głosem.

Powoli podniosła się i stanęła na nogach.

— Tak, nie każmy im czekać — powiedziała niepewnie, ubierając się.

Wyszli z domku na chłodną, zacienioną polankę. Pat czul się oszukany. A więc tak to wygląda?

Próbował przeprosić ją za to, co się wydarzyło. Zdawała się nie przywiązywać do tego wagi.

— Będziemy musieli to kiedyś powtórzyć — powiedział więc. — To jest o wiele ciekawsze niż gra w koszykówkę.

— Co powiedziałaś? — zapytałem Ellen. Myślami byłem gdzie indziej. Nawet jeśli raziła ją moja nieuwaga, jej oczy tego nie zdradzały.

— Powiedziałam, że my raczej nie będziemy robić tego co oni.

— A co oni takiego robią? — Uwagi mojej matki na temat jej figury wciąż nie wydawały mi się trafne, chociaż luźne, białe szorty i bluzka podkreślały tym razem te fragmenty jej ciała, które zdawały się najdoskonalsze.

— Mówiąc wprost, najprawdopodobniej spółkują — odparła sucho.

— A może ty właśnie tego chcesz?

— Nie. — Nawet na mnie nie spojrzała. — A ty?

— Nie z kimś, kto niedawno jeszcze sypiał w kołysce.

Zadrwiwszy z niej, natychmiast zapomniałem, że znajduje się przy mnie. Problemem byli teraz Pat i Maureen. Modliłem się za nich, nie bardzo wierząc, że Bóg przejmie opiekę nad nimi, kiedy ja przestanę się o nich troszczyć.

Tego dnia ujrzałem staw po raz pierwszy od czasu, gdy ojciec go wyczyścił. Był długi na mniej więcej trzydzieści pięć jardów, początek dawało mu natural-

ne źródełko, a z drugiej strony małym, cichym wodospadzikiem woda opadała do jeziorka, kawałek jeszcze szerokim strumieniem wijąc się przez las. W wąskiej kotlinie pomiędzy dwoma wzgórzami, prawdopodobnie utworzonej przez lodowiec, staw otoczony był ze wszystkich stron płaczącymi wierzbami. Z wyjątkiem bardzo suchych i słonecznych okresów, woda płynęła zbyt szybko, aby mogły się tu żywić moskity czy insekty. Skały, które uformowały tę naturalną nieckę, powoli wietrzały i kamienne płyty, jak mówił mój ojciec, nie potrwają wiecznie — kiedyś ten piękny zakątek zniknie. Na razie jednak było to urocze miejsce do kąpieli. Woda była głęboka i przezroczysta, więc wspaniale się w niej nurkowało.

Był gorący, wilgotny dzień, jaki w niedzielne popołudnie na Środkowym Zachodzie potrafią znosić jedynie mojego pokroju wielbiciele słońca. Zapraszająca, srebrzysta fala zawsze stanowiła dla mnie dziwną zagadkę. Wyobrażałem sobie, że głębiny zamieszkane są przez wodne duszki, tak ciemne jak wierzby, gdy słońce już schowa się za horyzontem, i jednocześnie tak jasne jak srebrzyste iskierki tańczące na powierzchni wody. Wpatrując się w sadzawkę, rozmyślałem o Maureen i Pacie. Ojcze Niebieski, proszę, ustrzeż ich...

— Ale tu pięknie — westchnęła Ellen, przez cały czas stojąc obok mnie. — Jak to głupio z naszej strony, że nie zabraliśmy kostiumów kąpielowych.

Rozzłościła mnie tym nagłym zakłóceniem wspaniałej ciszy.

— Nie potrzeba stroju, żeby tutaj popływać — powiedziałem, łapiąc za górny guzik jej bluzeczki.

Do dzisiaj nie potrafię zrozumieć tego, co nastąpiło. Mimo że nakazywałem sobie zatrzymać się po pierwszym guziku, wpadłem, zresztą Elłen też, w sidła mocy, których nie byłem w stanie zrozumieć ani pokonać.

Mój palec ścisnął drugi guzik z taką siłą, że ten pękł. Wyraz twarzy Ellen nie zmienił się ani odrobinkę. Jej oczy były wciąż zimne i czyste. Sięgnąłem do kolejnego guzika, potem do następnego, z chłodem, pewnymi, powolnymi ruchami, jakby w transie. Kiedy ściągałem z Ellen bluzkę, mówiłem sobie, że chcę

jedynie zobaczyć ją w bieliźnie. Możemy przecież oboje popływać w swojej bieliźnie.

A jednak w moje dłonie wstąpiła energia tak nieodwołal-1 na, nieuchronna jak ta, którą niosła z sobą woda opadająca do jeziora. Rozpiąłem zapinki stanika Ellen, cały czas mając wrażenie, że to ktoś inny kieruje moimi palcami. Mimo że pierwszy raz dotykałem biustonosza, ściągnięcie go z dziewczyny nie sprawiło mi żadnego problemu.

Moja matka miała rację. Ellen Foley naprawdę była już kobietą. Jej piersi, bladobiałe, nie miały najmniejszej skazy. Były niewielkie, lecz cudownie sterczące i sprężyste.

Ani trochę nie poruszyła się, kiedy ją rozbierałem. Nie drgnął jej żaden mięsień, a jednak gwałtownie westchnęła i miotające nią uczucia uwidoczniły się na twarzy, kiedy moje palce wśliznęły się pod gumkę jej majteczek i zaczęły ściągać je w dół.

Ująłem ją za rękę i zacząłem przyglądać się jej pełnemu, pięknemu ciału. Nie odczuwałem pożądania, w gruncie rzeczy nawet o tym nie pomyślałem. A jednak w mojej postawie było coś zupełnie innego niż prosty podziw dla piękna. To, co w tej chwili czułem, znacznie odbiegało od fizycznych i psychicznych wrażeń, jakich zaznałem do tej pory.

Wysunęła swoją dłoń z mojej, zebrała swoje rzeczy i starannie ułożyła je na skałce. Następnie zaczęła rozpinać moją koszulę.

To, co mnie w tej chwili ogarnęło, można nazwać mieszaniną wstydu, radości, bólu, egzaltacji, uczucia uwięzienia, a jednocześnie ogromnego wyzwolenia. Kiedy klęcząc przede mną tak, jak ja przed chwilą klęczałem przed nią, ściągała moje szorty, poczułem to samo ukłucie niepewności i radości, jakie rozbierając ją, zauważyłem na jej twarzy. Zebrała moje ubranie i starannie ułożyła obok swojego. Następnie wyciągnęła do mnie ręce i chwyciła moje dłonie. Przy każdym ruchu jej piersi lekko drżały.

Staliśmy tak, nieruchomo, niczym kamienne posągi, przez długi czas. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Oboje uśmiechaliśmy się. Potem poprowadziłem ją opiekuńczo do ciepłej wody naszego stawu. Weszła, zanurzając się po szyję, po czym zanurkowała i wypłynęła przy skale. Skinęła na mnie, abym uczynił to samo. Popłynąłem do niej, a potem pływaliśmy razem, najpierw powoli, jakby z ostrożnością. W pewnej chwili, gdy gwałtownie wepchnęła moją głowę pod wodę, zaczęliśmy zabawę. Goniliśmy się, chlapaliśmy, jakbyśmy odgrywali ostatni akt baletu wyreżyserowanego przez nieznane moce, w których rękach byliśmy instrumentami.

Później siedzieliśmy na skale, a nasze ciała schły w promieniach słońca. Nie dotykaliśmy się, nie musieliśmy. Jestem pewien, że to dzięki Ellen te chwile były tak magiczne i tajemnicze. Naga, była elegancka i pełna gracji, doskonalsza i wytworniejsza niż w ubraniu.

W pewnym momencie musiałem przerwać ciszę.

— Lepiej wracajmy. Maureen zapewne użyje naszej nieobecności jako wymówki, by uciec z rąk mojego zaborczego przyjaciela.

Uśmiechnęła się i rzuciła mi moje ubranie. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, jaki piękny jest jej uśmiech.

Zaledwie w chwilę po tym, jak się ubraliśmy, nadeszli Maureen i Pat. Pat pogwizdywał cicho, jakiś niepewny siebie, spięty.

— Co robiliście? — zapytała Maureen łobuzerskim tonem, przypatrując się wymownie mokrym włosom Ellen.

— Rozmawialiśmy o bogach, książkach i innych rzeczach — odparłem.

Jeszcze cztery razy tego gorącego sierpnia chodziliśmy z Ellen nad staw i powtarzaliśmy nasz milczący, poważny rytuał. Ostatniego razu pod ciemnymi burzowymi chmurami, groźnie formującymi się na popołudniowym niebie, Ellen stanęła przed naszą werandą w luźnej, białej bluzce i spodenkach. Niczym w

transie, powstałem z bujanego fotela i pociągnąłem ją do lasu. Po kąpieli w ciepłej wodzie, siedząc na skałach, zaczęliśmy nawzajem dotykać swoich ciał, jakbyśmy dotykali świętych naczyń w tajemniczej, starożytnej świątyni. Potem objąłem Ellen rękami, a ona złożyła głowę na moich piersiach. Zdawało nam się, że trwa to wieczność.

W niedzielny wieczór, kończący długi weekend po Święcie Pracy, w wiosce zgodnie z tradycją rozpalono ognisko. Skrzynki, kartony, papiery, połamane meble, jednym słowem wszystko, co tylko się do tego nadawało, układano na wielki stos w parku nad jeziorem i podpalono.

Tego roku było bardzo zimno. Wpatrywałem się melancholijnie w płomienie i rozmyślałem o tym, że lato się kończy, a ja znów jestem trochę starszy. Refleksy ognia nadawały obserwującym je młodym ludziom dziwne i tajemnicze kolory; przypominali złe duchy przed nieuchronnym powrotem do piekła.

Tim Curran, z entuzjazmem spotęgowanym przez kilka kufli piwa, bezlitośnie szarpał struny hawajskiej gitary. Pat śpiewał głośno swym głębokim tenorem zdecydowanie górującym nad chórem młodych ludzi. Maureen, starannie owinięta w gruby szal i sweter, tuliła się do Pata co najmniej tak, jakby za chwilę miał wyruszyć na wojnę.

Milczałem. Nie miałem nastroju na chóralne, sprośne śpiewy. Wraz z Ellen staliśmy w pewnym oddaleniu od innych zahipnotyzowani ogniem.

— Pat nadaje się do przewodzenia takim imprezom — odezwała się. — A ty do wszystkiego innego.

— Zamknij buzię — powiedziałem delikatnie. — Bo zepsujesz nastrój.

— To ognisko — mówiła Ellen, ignorując moje polecenie — przypomina ci o płonącym samochodzie, prawda? Nie powinieneś o tym zdarzeniu myśleć ze smutkiem, Kevin. Uratowałeś ich. — Ujęła moją rękę i przysunęła się bliżej do mnie.

— To Pat ich uratował — mruknąłem.

— Pat i ty, wy obaj — oznajmiła tonem nauczycielki poprawiającej niezbyt rozgarniętego ucznia.

Otoczyłem ją ramieniem i przycisnąłem do siebie.

1949

Maureen napełniła moją szklankę ciepławym szampanem. Jej nastrój był dzisiaj tak doskonały jak wesoło strzelające bąbelki w szampanie. Zadowolona ze spojrzenia, jakim ją obdarzyłem w przytłumionym blasku świec, wstała, wysoka na całe pięć stóp i dziewięć cali, tylko o kilka cali niższa ode mnie.

— Za rok 1949, kuzynie — powiedziała. Za oknami błysnął piorun, a w szyby zaczęły uderzać ciężkie krople deszczu.

— Za zakończenie blokady Berlina i za drugą kadencję Harry'ego Trumana — odparłem tak grobowym głosem, na jaki tylko potrafiłem się zdobyć.

— Och, do diabła! — Niecierpliwie tupnęła w podłogę. — Nie bądź tak cholernie poważny.

Wypijmy za to, czego naprawdę oczekujesz po nowym roku: za tytuł mistrza miasta w koszykówce i za udany start w seminarium. — Wypiła połowę zawartości swojej szklanki.

Ostrożnie sączyłem musujący płyn. Moi rodzice, działając pod wpływem nagłego impulsu, wynajęli stary dom na Florydzie, na skraju rozległych moczarów. Chcieli wiedzieć, czego mogą się spodziewać, jeśli zapragną w przyszłości zamieszkać w tym stanie. Teraz bawili się w hotelu na balu sylwestrowym, a ja zostałem w domu w roli opiekuna młodszego rodzeństwa i Maureen.

Dzieci okazały się niespodziewanie grzeczne, chociaż moja czternastoletnia siostra, Mary Ann, była na nogach aż do wpół do dwunastej. Dopiero wówczas, z oczami zamykającymi się ze zmęczenia, poszła do łóżka — o półtora zaledwie roku młodsza od Maureen, a jakby ustępowała jej wiekiem o całe pokolenie. Wreszcie dom należał tylko do nas.

Kiedy zegar nad kominkiem wybił północ, otworzyliśmy butelkę szampana, którą Maureen przeszmuglowała po południu.

— Szczęśliwego Nowego Roku 1949, kuzynko. Oby przyniósł ci spełnienie wszystkich pragnień.

Zmarszczyła czoło i ponownie napełniła szklaneczkę, nerwowo strząsając do popielniczki popiół z papierosa.

— Hej, chrześcijaninie — powiedziałem. — Dlaczego zabierasz dla siebie całą wodę ognistą? —

Tego popołudnia po raz trzeci obejrzeliśmy Skarby Sierra Mądre. Zdania z tego filmu, które zapamiętaliśmy, stały się częścią naszej rozmowy.

— Seminarzysto, skosztuj i ty mojego magicznego napoju — odezwała się, nalewając szampana do mojej szklanki. — Wypijmy za naszych przyjaciół. Wypijmy za Pata Donahue, za jego stypendium w Notre Damę i jego pierwsze porządne walenie.

— Maureen! — Udawałem zgorszonego.

— Och, pieprzyć to, Kevin. Pat jest takim facetem jak wszyscy. Wciąż będzie musiał udowadniać swoją męskość. — Najwyraźniej zdenerwowała się, ale zaraz powrócił jej spokój. — Cholera, Kevin. Wycofuję ten drugi toast. Wypijmy za stypendium Pata i za mistrzostwo miasta, co się przecież z tym wiąże. — Znów się uśmiechała. Jej urodzie, podkreślonej przez jasnobrązowe spodnie i sweter, nikt nie mógłby się oprzeć. Wypiłem szampana i pocałowałem ją.

— Szczęśliwego Nowego Roku, Maureen — powiedziałem. Bardzo pragnąłem, żeby nie zauważyła mojego przyśpieszonego oddechu.

— Hej, Kevin, jak na opiekunów do dzieci mamy niezły wieczór — powiedziała wesoło. — Teraz posiedź tutaj, włącz jakąś płytę, a ja przygotuję coś do jedzenia. Jeśli będziesz mnie potrzebował, po prostu zagwiżdż.

To ostatnie zdanie pochodziło z filmu Mieć i nie mieć, który obejrzeliśmy dzień wcześniej.

Zrobiłem to, o co mnie poprosiła. Mój ostatni sylwester przed wstąpieniem do seminarium, wśród blasku świec, sam na sam z piękną dziewczyną w pustym domu w samym sercu Florydy; krew w moich żyłach krążyła coraz szybciej.

— Naprawdę zdobędziecie mistrzostwo miasta, Kevin? — zapytała, stawiając przede mną precle.

Usiadła obok mnie, a wysłużona kanapa jęknęła głosem starych sprężyn. Pamiętałem przestrogi księży, iż takich sytuacji, jako okazji do grzechu, należy się wystrzegać. Ale przecież, cokolwiek zrobię tej nocy, mogę się z tego wyspowiadać, chociaż taka postawa sama w sobie już jest grzechem.

— To zależy od Pata. Będąc w formie, jest niewątpliwie najlepszym strzelcem Ligi Katolickiej. Gdy on gra dobrze, jesteśmy doskonali, a kiedy gra słabo, stanowimy zupełnie przeciętny zespół. Naszym najpoważniejszym przeciwnikiem są Leo. Ostatnio udało się nam ich pokonać i jeśli w rewanżu, w marcu, Pat znów wrzuci im dwadzieścia osiem punktów, mecz będzie po prostu spacerkiem.

Przez chwilę oboje łapczywie siorbaliśmy szampana. Maureen zamyśliła się.

— Strasznie miły z niego chłopak, Kevin — powiedziała. Oparła głowę na moim ramieniu i głośno westchnęła. — Kiedy jestem z tobą, zaczynam, tak jak ty, czuć się odpowiedzialna za innych ludzi. Wypijmy teraz za biedną Ellen... Cholera, wypiłeś całego szampana!

— Wcale nie! — wykrzyknąłem. — Piłaś dwa razy tyle co ja! Jej czarne oczy błysnęły.

— Ha, a więc liczysz mi! Wiesz co, opiekunie do dzieci? Mam cię gdzieś! Czy uwierzysz, że w kuchni schowałam jeszcze jedną butelkę? Przeszmuglowałam ją wczoraj, kiedy nikogo nie było. I zamierzam ją teraz otworzyć!

Zerwała się z miejsca, pobiegła do kuchni i po chwili była już z powrotem z nową butelką.

— Za Ellen — powiedziałem rozmarzonym głosem, gdy Maureen otworzyła butelkę i rozlała płyn do szklanek. — Czego pragniemy dla Ellen?

Jedna ze świeczek wypaliła się i z trudem dostrzegłem teraz twarz Maureen. Przerwała długie milczenie, które zapadło po moich słowach, mówiąc:

—. Myślę, że chciałabym, żeby uwolniła się od tej strasznej rodziny. Jest dla nich tylko tanią siłą roboczą albo kimś jeszcze gorszym. Nawet służące mają czasami wychodne. Chce w przyszłości pisać książki. Czy mówiła ci o tym?

Zawahałem się.

— Wiele ze sobą rozmawialiśmy...

Zdaje się, że moja odpowiedź usatysfakcjonowała Maureen. Odstawiła szklankę na stół, przyciągnęła mnie do siebie i pocałowała. Tym razem było to zaproszenie do czegoś więcej.

— Cholera jasna, Kevin! — wybuchnęła. — Usiłuję cię uwieść. Przecież możemy sprawić sobie trochę rozkoszy!

Jej usta były dokładnie takie, jak opisywał Pat: ciepłe, słodkie, ruchliwe. Takie, jakimi je sobie wyobrażałem przed tą nocą.

Wsunąłem palce pod jej sweter i dotknąłem gładkiego brzucha. Na gramofonie obracała się płyta z The Tennessee Waltz. Maureen westchnęła głęboko, wydobywając z gardła niemal charkot, gdy dotknąłem jej stanika. Pomyślałem o piersiach Ellen i zatrzymałem się. Szybko wycofałem dłonie i poprawiłem jej sweter, chcąc zasłonić talię.

Odsunęliśmy się od siebie, oboje zawstydzeni.

— Kuzynie najdroższy — powiedziała po chwili Maureen. — Co by nie powiedzieć, zupełnie poważnie traktujesz swoje zadania na dzisiejszą noc. Ja przynajmniej jestem z twojej opieki zadowolona. Całujesz o wiele lepiej, niż się spodziewałam. Masz za to precla.

Stojąca przed nami butelka była wciąż do połowy wypełniona szampanem. Maureen nalała sobie, spojrzała na mnie pytająco i z dezaprobatą potrząsnęła głową, kiedy przykryłem dłonią moją szklankę.

Bez entuzjazmu jeszcze bardziej odsunęła się ode mnie i usiadła na drugim końcu kanapy.

— Nie mam zamiaru rywalizować z Bogiem — odezwała się — ale czy byłbyś skłonny powiedzieć mi dlaczego? Dlaczego zamierzasz resztę życia spędzić w celibacie? Czy nie uważasz, że je w ten sposób zmarnujesz?

Powoli dogasała druga świeca.

— Nie zmarnuję go, nie obawiaj się. Kapłaństwo to wielkie posłannictwo naszych czasów. Spójrz na ojca Conroya. Codziennie przemierza ulice naszej parafii. Wie niemal wszystko o nas i o naszych problemach. Możesz pójść do niego, kiedy potrzebujesz pomocy, a czasami on sam przyjdzie do ciebie, gdy potrzebny ci jest potężny... kop w dupę. — Maureen zachichotała i nalała sobie kolejną porcję szampana. — To księża stanowią o Kościele. Tak... bardzo chcę być księdzem. — Na moment umilkłem. Alkohol sprawił, że zacząłem mówić na ten temat. W zasadzie motywy mojej decyzji chciałem na zawsze pozostawić dla siebie. — Nie wiem, czy to ma sens, Maureen.

Przez chwilę milczała, a potem rzekła:

— Im lepiej dla Boga, tym gorzej dla mnie. Urodziłeś się, żeby być księdzem, Kevin. Mam nadzieję, że będziesz w pobliżu, gdy potrzebny mi będzie duchowny. I mam nadzieję, że jako ksiądz będziesz równie delikatny jak wówczas, kiedy robisz... te rzeczy.

Cisza, która zapadła, trwała bardzo długo. Pozostaliśmy sami ze swoimi zmąconymi przez szampana myślami. Ostatnia świeczka wypaliła się. Maureen

zasnęła z głową na twardej poręczy kanapy. Znów była małą dziewczynką, niewiele większą od Mary Ann. Wstałem i wylałem do zlewu resztki szampana, a puste butelki wrzuciłem do metalowego kubła stojącego za płotem.

Deszcz wciąż siąpił drobnym kapuśniaczkiem; w wilgotnym powietrzu unosił się intensywny zapach kwiatów. Otworzyłem okno w hallu, aby wywietrzyć zapach szampana i dymu z papierosów. Zawartość popielniczki, w której Maureen gasiła niedopałki, spłukałem w toalecie.

Nie powinna palić, chociaż zdawałem sobie sprawę, iż moi rodzice tylko udają, że o niczym nie wiedzą. Wyłączyłem gramofon, na którym ciągle obracała się płyta.

Spróbowałem obudzić Maureen, ale ona, westchnąwszy głęboko, jedynie skuliła się w kłębek, pogrążona w głębokim śnie. Nabrałem więc w płuca powietrza, dźwignąłem ją i zaniosłem na rękach do sypialni, którą dzieliła z Mary Ann.

Mary Ann spała jak suseł. W tej chwili nie usłyszałaby nawet wezwania na Sąd Ostateczny. Z ogromnym wysiłkiem udało się ułożyć Maureen obok niej, od ściany. Zebrałem siły tylko dlatego, iż pomyślałem, ile czasu stracę na tłumaczenie się, jeśli upuszczę ją w nieodpowiednim momencie.

Położywszy Maureen na łóżku, zdjąłem jej buty i przykryłem cienką kołdrą. Cóż więcej mogłem zrobić?

Pocałowałem ją w czoło, zmówiłem za nią krótką modlitwę i na palcach wyszedłem z sypialni. Po omacku musiałem dotrzeć korytarzem do mojego pokoju. Moi bracia, Mike i Joe, chrapali pogrążeni w zdrowym śnie.

Przy śniadaniu zastanawiałem się, dlaczego moja głowa jest taka wielka i co z wydarzeń tej nocy powinienem wyznać, a co zatrzymać wyłącznie dla siebie.

— Czy dobrze się czujesz, Kevin? — zapytała matka. — Maureen, zdaje się, ma jakieś kłopoty z żołądkiem.

Ach, kłopoty z żołądkiem. Cóż za wygodna wymówka, pomyślałem.

— Wszystko w porządku, mamo. Chyba nie sądzisz, że postąpiłem wobec Maureen tak, że to

właśnie ja jestem przyczyną jej... choroby?

Matka westchnęła.

— Nie, najdroższy. Nie wyobrażam sobie tego.

Piłka rzucona przez Pata szerokim hakiem zmierzała do kosza. Dotknęła obręczy, przez chwilę tańczyła na niej, po czym, jakby pchnięta czyjąś niewidzialną ręką, wyleciała na zewnątrz.

Willewski, wielki napastnik z Leo, natychmiast zebrał ją z tablicy i długim podaniem uruchomił jednego z partnerów. Popędziłem w kierunku własnego kosza, ale sam przeciwko dwóm przeciwnikom nie miałem szans i po chwili przegrywaliśmy już czternastoma punktami.

Zmęczonym ruchem dałem sędziemu znak, że chcemy wziąć czas.

Zbierało mi się na wymioty. Moje nogi były jak z waty, każdy oddech sprawiał ból, a pozbawione wilgoci usta piekły. Trener nie będzie chciał z nami rozmawiać. Zawsze, gdy przegrywaliśmy tak wysoko, tracił na to ochotę.

Leo's Lions punktowali nas z precyzją doskonałej maszyny. W turnieju bożonarodzeniowym wygraliśmy z nimi, ponieważ Pat zdobył dwadzieścia osiem punktów. Teraz, w połowie trzeciej kwarty, miał ich na koncie zaledwie sześć. Publiczność, kibicująca przeciwnikom, wrzeszczała i wyła nienawistnie za każdym razem, gdy dostawał piłkę. Zdawało się, że tym jednym meczem zmarnujemy cały wysiłek, jaki włożyliśmy dotąd w walkę o mistrzostwo. Co się działo z Patem?

Kiedy był w formie mógł bez pudła rzucić nawet dwanaście razy z rzędu. Kiedy był w formie...

— Nie wiem, co jest, Kevin — powiedział do mnie, dysząc równie ciężko jak ja. — Ta cholerna piłka nie chce po prostu przelecieć pomiędzy obręczami.

Zanim rozpoczął się mecz, przez tydzień byliśmy na pierwszych stronach chicagowskich gazet.

Stypendium Pata na Notre Damę zdawało się zaklepane, pilnie obserwowali go trenerzy, oblegali dziennikarze. I teraz nagle zawalił. Nikogo by to nie obeszło, gdyby chodziło o mnie. Byłem jednym z wielu i w każdej chwili ktoś mnie mógł zastąpić. Pat zaś był gwiazdą. Kiedy as atutowy zespołu zawodzi, widzi to i komentuje każdy kibic.

— Spokojnie, Pat, jeszcze się wstrzelisz. — Poklepałem go po ramieniu. — Tylko żeby nam do tej chwili za daleko nie odskoczyli. Tim ruszaj trochę szybciej. Dwóch ludzi kryje stale Pata, więc masz dużo swobody. Wykorzystaj to.

Kudłaty Czarny Wędrowca tylko pokiwał głową, aby nie tracić cennego oddechu. Pod względem skuteczności był w drużynie drugi, zaraz po Pacie.

Sędzia odgwizdał koniec przerwy. Zagrałem piłkę z boku, podając do Larry'ego Ryana, naszego rozgrywającego. Ten oddał ją Timowi, który popędził w kierunku kosza. Rzut uniemożliwiło mu dwóch rosłych Lionsów, oddał więc piłkę do tyłu, do mnie. Nie przymierzając rzuciłem i piłka wpadła do kosza, nie ocierając się nawet o obręcz. Przegrywaliśmy już tylko dwunastoma punktami.

— Kryjemy na całym boisku! — krzyknąłem, chociaż, prawdę mówiąc, nie mieliśmy już sił, żeby grać w ten sposób dłużej niż kilkanaście sekund.

Przejąłem zbyt wolne i sygnalizowane podanie obrońcy Leo do partnera i natychmiast podałem piłkę Patowi, który stał pod koszem. Powinien był oddać ją do mnie, ale odruchowo rzucił. Przez chwilę piłka tańczyła po obręczy, ale wpadła do kosza. Już tylko minus dziesięć. Kibice nagle zmienili front i teraz nas zaczęli dopingować.

Jakiekolwiek demony wiązały ręce Pata, ten jeden fuksiar-ski rzut je przepłoszył. Teraz do kosza wpadło jego siedem rzutów z rzędu, a ósmy był niecelny. Pat osobiście dobił. Leo nie dawali jednak za wygraną. Willewski odpowiadał celnym rzutem niemal na każdy kosz Pata, ale powoli, nieubłaganie zbliżaliśmy się do przeciwników. Na minutę przed zakończeniem meczu przegrywali-

śmy czterema punktami. W pewnym momencie, gdy atakowałem kosz, zostałem sfaulowany. Sędzia zarządził jeden rzut, a moje pretensje, że przecież sfaulowano mnie, gdy atakowałem kosz i przysługują mi dwa osobiste, po prostu wyśmiał.

Wśród nieprzyjaznego pomruku tłumu mimo wszystko trafiłem.

Chłopcy z Leo poruszali się już resztkami sił. Tim wykonał niemalże robinsonadę i trącił piłkę, którą Willewski podawał do swojego rozgrywającego. Dopadłem jej i ruszyłem w kierunku kosza, rozglądając się za Patem. Nie było go tam, gdzie być powinien. Ale i tak razem z Timem atakowaliśmy dwóch na jednego. W odpowiednim momencie, wykonawszy sprytny zwód, podałem piłkę Timowi, który znalazł się na czystej pozycji. Przygotowałem się na zbiórkę z tablicy i dobitkę, ale jego rzut był bezbłędny. Przez cały mecz Tim rzucił zaledwie za pięć punktów, ale teraz przybliżył nas na dwa punkty do zwycięstwa. Leo poprosili o czas. W chaotycznej naradzie z trenerem omawiali plan przetrwania dwudziestu pięciu sekund, które pozostały do końca meczu. Nasz trener siedział kołkiem na ławce, nie bardzo wiedząc, o czym ma do nas mówić.

— Gdzie byłeś przed chwilą? — zapytałem Pata chrapliwie.

Pat, zgięty w pasie, z trudem oddychał.

— Już nie mogę — wystękał.

— Możesz, do cholery! Nawet gdybyś miał się za chwilę wykrwawić, w ciągu tych dwudziestu pięciu sekund odbierzemy im piłkę, a ty ją wrzucisz do kosza.

Leo dokładnie wykalkulowali sobie przebieg końcówki i teraz z zimną krwią realizowali swój plan. Opanowani, spokojni, rzucali piłkę między sobą na środku boiska, jakby ignorując nasze szaleńcze wysiłki, aby im ją odebrać. Na dziesięć sekund przed końcem wiedziałem, że będę

musiał któregoś sfaulować, aby zatrzymać czas. Wybrałem Willew-skiego.

Gdy tylko złapał piłkę, uderzyłem w nią i niespodziewanie wypadła mu z rąk. Niewiarygodne, ale sędzia nie zagwizdał. Może to jednak nie był faul?

Znów dwóch na jednego. Cztery albo pięć sekund mojej szansy, żeby zostać bohaterem.

Zwątpiłem w siebie i podałem do Pata. Spudłował. Walcząc w powietrzu z Willewskim, który wyrósł nagle obok mnie jak spod ziemi, skierowałem do Pata piłkę odbitą od obręczy. Znów rzucił. Właśnie rozległa się końcowa syrena, gdy piłka przelatywała pomiędzy obręczami.

Byliśmy mistrzami!

Jakieś dwie godziny później siedziałam na ławce w pustej szatni. Żołądek miałem ściśnięty, a serce wciąż waliło mi jak oszalałe. Razem ze mną w szatni był jedynie pan Martin, młody nauczyciel od jezuitów, który opiekował się sportowcami.

— Co mu się stało, Kevin? — zapytał. Popatrzyłem na niego.

— Nie wiem, panie Martin. Nigdy go takim nie widziałem.

— Dlaczego przez tyle minut grał jak nowicjusz? — Jego twarz wyrażała ogromne zdziwienie.

— Nie zastanawiałem się nad tym — mruknąłem, zawiązując but. — Przez cały czas grałem tak, żeby miał jak najwięcej pozycji do rzutów.

— I zbierałeś piłki po jego niecelnych rzutach. Naciągnąłem koszulkę przez głowę.

— Właśnie dlatego idę do seminarium, panie Martin. Żeby nigdy niczego już nie poprawiać po Patricku Do-nahue.

Żebym wówczas wiedział, jak bardzo się mylę...

Piasek pod gołymi stopami Ellen był delikatny i chłodny. Niewielkie fale jeziora od czasu do czasu podmywały jej stopy. Pani Cunningham osobiście zatelefonowała, aby uzyskać dla niej zgodę na wyjazd z domu w ten weekend. Mi-

mo to matka Ellen miała wielkie obiekcje. Jest tyle do zrobienia w domu. Dwoje małych dzieci jest chorych, przypomniała córce, a Margaret Cunningham to przecież i tak zwykła snobka. Poza tym Cunninghamowie to nie są dobrzy katolicy, mają tylko jedno dziecko. Ojciec Ellen, który od czasu do czasu brał jej stronę, nalegał jednak, aby matka ją puściła. W końcu Ellen wsiadła w autobus z mocnym postanowieniem, że przez ten weekend dobrze wypocznie.

— A więc uważasz, że Jeanne Crain nie jest dobrą aktorką —powiedziała do Pata, wciągając głęboko w płuca mieszankę oparów benzyny, dymu z ognisk, woni olejku do opalania, sprayów przeciwko insektom; wszystkich zapachów, jakie panują zazwyczaj w publicznych miejscach letniego wypoczynku.

Ścisnął jej ramię i roześmiał się.

— Ona nie musi być dobrą aktorką, Ellen. Wystarczy, że jest śliczna.

Ellen dzielnie broniła swojej bohaterki.

— W Pinky musiała naprawdę grać, a nie tylko ładnie wyglądać.

Pat znów się roześmiał, chociaż bez szyderstwa. Z uwagą wysłuchał opinii Ellen o filmach i toczył z nią na ten temat całkiem poważne dyskusje. Nie mogli rozmawiać o książkach, ponieważ Pat w ogóle ich nie czytał.

— Oczywiście — powiedział — Pinky była lepsza od Listu do trzech żon, ale mała Jeannie wcale nie wyglądała na Murzynkę.

Wyraźnie była zadowolona, że nie powiedział ,,czarną". Siostry od św. Moniki uważały to słowo za niemoralne.

— Możesz mieć w sobie murzyńską krew i w ogóle nie przypominać Murzyna — powiedziała. —

Niektórzy uczeni mówią, że jakieś dwadzieścia procent osób, które miały murzyńskich przodków,

może spokojnie uchodzić za białych. — Pomyślała, że tę właśnie liczbę podała siostra Karolina.

— Gdybym był Murzynem i mógł uchodzić za białego, skorzystałbym z tego z entuzjazmem — powiedział Pat zupełnie serio. — Nie wiem, jak oni potrafią żyć z tą swoją czarną skórą. Chyba nie zniósłbym... — nie dokończył zdania.

— Założę się, że spodoba ci się Notre Damę — odezwała się Ellen, przenosząc konwersację na bezpieczną płaszczyznę.

— Nie wiem — odparł, pociągnąwszy uprzednio spory łyk piwa z butelki. — Ale z tego, co słyszałem, miejsce, do którego w tym roku wybiera się Kevin, jest niemalże więzie-nim. A ty, dokąd pójdziesz?

— Myślę, że do szkoły pielęgniarek przy parafii świętej Anny — odpowiedziała niepewnie.

— A więc będziesz pielęgniarką — stwierdził, zdmuchując pianę z ust. — Miałem trochę do czynienia z tymi pielęgniarkami... Poczekaj chwilę. Skoczę na drugą stronę szosy po jeszcze dwa piwa.

Zaczęła rozmyślać o tym, jakie spokojne musi być życie w klasztorze. Po okropnym hałasie w domu przyniosłoby jej ogromną ulgę. Miała jeszcze całe dwa lata na podjęcie ostatecznej decyzji. Na razie rodzice wbijali jej do głowy, że musi zostać pielęgniarką i szybko zacząć spłacać to, co jest im winna za to, że zapewnili jej wykształcenie.

Pat, z butelkami w rękach, powrócił nachmurzony, zagłębiony we własnych myślach.

— Co się stało, Pat? — zapytała.

— Nic — odparł ponuro.

— Nie zbywaj mnie —powiedziała ostro. — Coś cię przed chwilą bardzo zabolało i chcę wiedzieć co.

Dotknął jej ręki.

— Jaką ty jesteś domyślną kobietką, Ellen — powiedział. — W porządku. Przed chwilą jakiś chłopak z klubu oznajmił głośno przy mnie, że Notre Damę,

której sam jest studentem, schodzi na psy, skoro zaczyna przyjmować byle chłystków z marginesu.

— Och, Pat, nie zwracaj uwagi na pijackie bredzenie. To jasne, że nie jesteś od nich gorszy, ale nawet lepszy!

— Nie jestem tego wcale taki pewien — odparł, w zamyśleniu głaszcząc ją po ręce swoją wielką dłonią. — Napij się trochę piwa. To łagodzi ból.

Nigdy dotąd nie piła piwa. Ku jej przeplatanemu z poczuciem winy zdziwieniu, nawet nieźle smakowało. Nie oddała już butelki Patowi. Siostra Karolina mówiła, że alkoholizm nie jest dziedziczny.

— Ellen, ty na wszystko znajdujesz wytłumaczenie — powiedział Pat bardzo cicho. — Czy możesz mi więc powiedzieć, dlaczego ludzie bywają tak nienawistni?

Zastanowiła się przez chwilę.

— Przede wszystkim kieruje nimi zazdrość, jak myślę. Ktoś, kogo nikt nie nienawidzi, najwidoczniej nie dysponuje niczym, czego by mu można zazdrościć. Gdybyś nie stal się sławny, zdobywając tytuł mistrzowski w koszykówce, ten facet nigdy by cię nie zaczepił.

Pat szybko opróżnił butelkę.

— Niech się wypchają tym swoim stypendium. Ale pewnego dnia ja im jeszcze pokażę. Pokażę im, Ellen. I zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

Powoli sączyła piwo ze swojej butelki. Stwierdziła po chwili, że woli jednak desery owocowe.

Wstali i zaczęli spacerować. Wkrótce zostawili za sobą wioskę i jej jasne światła odbijające się matowo na ciemniejącej z każdą chwilą powierzchni jeziora. Żółte, ciepłe światła nadbrzeżnych domów rzucały dookoła jasny blask. Za wioską i na okolicznych wzgórzach stały domy bogatych: Brennanów, Cunninghamów i im równych.

Wkrótce znaleźli się na otoczonej drzewami plaży parku stanowego. W ciągu dnia plaża aż roiła się od ludzi. W nocy park był zamknięty i w zasadzie nie wolno było w nim przebywać. Ellen i Pat przeszli przez plot w zupełnym milczeniu, mimo że strażnicy bardziej strzegli parku od strony szosy niż od jeziora i na spacerujące tutaj pary raczej nie zwracali uwagi.

— Jesteś wspaniałą dziewczyną, Ellen — powiedział Pat, niespodziewanie przerywając ciszę.

— Dziękuję ci.

Ujął jej rękę i pocałował ją z uczuciem. Ellen pomyślała, że bardzo to lubi.

Niespodziewanie zmienił się. Wyrwał jej butelkę i odrzucił daleko do wody. Następnie przewrócił Ellen na piasek. Była zbyt zaskoczona, aby się bronić, i zbyt przestraszona, by krzyczeć. Zdarł z niej sukienkę i zaczął błądzić rękami po jej ciele. Teraz dopiero krzyknęła i spróbowała się oswobodzić.

— Nikt cię tutaj nie usłyszy! — warknął i z jeszcze większą siłą przygwoździł ją do ziemi. Poddała się i już bez przeszkód mógł się nią zabawiać.

Łzy, które pojawiły się w jej oczach, przerwały zaklęty krąg przemocy. Pat zerwał się z niej i niepewnym krokiem ruszył ku brzegowi jeziora. Ellen zebrała swoje rzeczy i pobiegła do lasu.

Potykała się, przewracała, raniła i wreszcie padła na ziemię, uderzywszy głową w grubą gałąź.

Oddychając ciężko, gwałtownie jak przerażony królik, usłyszała, że Pat znów nadchodzi. Zerwała się na nogi i znów ruszyła przed siebie poprzez ciemność. Dopiero przebiegłszy szosę, wilgotna od potu, z płucami pracującymi tak głośno jak wielkie miechy, padła na ziemię kompletnie wyczerpana.

Palcami zaczęła rozrywać wilgotny mech.

— Och, Boże, pomóż mi — jęknęła. Pełne gwiazd letnie niebo milczało.

Las za jej plecami był tak cichy jak niebo nad głową. Nagle jej sylwetka znalazła się w snopie światła.

Zamarła instynktownie. Przesunął się tylko po niej niczym zimny promień śmierci i po chwili zniknął, gdyż były to tylko reflektory szybko przejeżdżającego samochodu. Ellen stoczyła się do przydrożnego rowu. Dzwoniła zębami ze strachu, jej nogi i ręce drżały. Leżała w trawie, łkając, gdy ujrzała światła kolejnego pojazdu. Jeszcze raz zmusiła się i zamarła bez ruchu. Za chwilę wstanie i ruszy w drogę powrotną. Przed nią półtorej mili do domu Cunninghamów. Wśród zmiętych rzeczy znalazła sandały, które ściągnęła, gdy wraz z Patem rozpoczęli spacer brzegiem jeziora. Założyła je na nogi. Stopy bolały ją, poranione podczas panicznej ucieczki przez gęsty, ciemny park. Od zderzenia z parkową ławką miała poobijane nogi. Pomyślała, że musi ukryć swoje siniaki przed matką Maureen i wymyśleć jakąś historię w związku z kompletnie zniszczoną sukienką.

Znów ujrzała reflektory zbliżającego się samochodu. Jak ścigane zwierzę jeszcze raz sztywno przywarła do ziemi. Gdy wielki packard minął ją, rozpoznała samochód pana Brennana. Czy Brennanowie zauważyli ją w podartej odzieży, z pokrwawioną twarzą, posiniaczonymi nogami? Czy powiedzą Kevinowi?

Pat rzucił się do wody, rozdzierając spokojną powierzchnię jeziora. Boże, przebacz mi... proszę, proszę, wybacz mi!

Zaczął szukać Ellen w parku, pragnąc błagać ją o przebaczenie. Uwielbiał ją. Nie zamierzał jej przestraszyć. Nie mogąc jej odnaleźć, ruszył z powrotem nad jezioro. Znalazłszy się na brzegu, zrzucił ubranie i zanurkował. Miał nadzieję, że woda zmyje z niego wstręt, jaki odczuwał do siebie po popełnionym grzechu. Po kilkudziesięciu sekundach znalazł się daleko od brzegu, coraz bardziej zmęczony. Dało o sobie znać piwo, które pił niemal przez cały dzień. Niech to szlag trafi, pomyślał.

Zaraz się utopię. Nikt nie będzie mnie żałował. Obiecałem w zeszłym roku, w sierpniu podczas spowiedzi, że nigdy już nie powtórzę tego grzechu. Ksiądz wymógł to na mnie, zanim udzielił mi rozgrzeszenia.

Płynął pod wodą. W płucach zaczynało brakować mu powietrza. Bolały go, jakby płonął w nich ogień.

Uczynił instynktowny wysiłek, aby znów wynurzyć się na powierzchnię. Nagle poczuł coś w dłoni, schwycił to kurczowo i stwierdził, że trzyma linę. Ostatnia więź łącząca go z życiem. Postanowił skorzystać z tego nieoczekiwanego wybawienia. Postanowił żyć.

Była to lina kotwiczna całkiem pokaźnej żaglówki. Ciężko oddychając, Pat złapał za burtę. Na łodzi paliło się światło i rozlegały się czyjeś głosy. Pat postanowił, że uspokoi jedynie oddech i zaraz popłynie do brzegu.

Na łodzi znajdowali się mężczyzna i kobieta. Ani starzy, ani bardzo młodzi, niekompletnie ubrani, leżeli obok siebie obejmując się. Nie rozumial, co mówią. Kolejna pokusa. Powinien odpłynąć stąd, zanim usłyszy coś, co wypełni go jeszcze większym poczuciem winy.

A jednak nie odplynął. Zafascynowała go zażywająca pełnego relaksu para. Jakim cudem potrafili być tak spokojni w sytuacji, która doprowadzała jego krew do wrzenia? Kobieta co jakiś czas wybuchała prostym, radosnym śmiechem.

Starając się nie robić hałasu, Pat puścił burtę łodzi i popłynął w kierunku parkowej plaży. Gdy się na niej znalazł, leżał długo na piasku, nagi, wyczerpany, z trudem łapiąc oddech. Potem przewrócił się na plecy i długo patrzył w gwiazdy. Która mogła być godzina? Światła w wiosce już dawno pogasły.

Może jest druga albo trzecia nad ranem? Jęknął zdesperowany. Dlaczego Bóg, mimo wszystko, nie pokarał go śmiercią?

Zupełnie nagle ujrzał dziwne światło, niesamowitym łukiem wznoszące się ponad powierzchnią jeziora, płynące łagodnie ku plaży. Otoczyło go kołem i zamknęło w wąskim kręgu. Czas jakby się zatrzymał. Spokój, radość, otucha i miłość ogarnęły ciało i duszę Pata. Światło ogrzało go. Oczyściło go i odnowiło.

W tym świetle była Ellen i kobieta z łodzi; Maureen także. Wszystkie kobiety świata znalazły się przy Pacie, pieszcząc go, ogrzewając, lecząc, kochając.

A potem przekształciły się w sylwetkę jednej kobiety. Kobiety w bialo-złotej szacie. Powiedziała mu, co powinien uczynić, jeśli chce raz na zawsze uwolnić się od pokusy, która drąży jego duszę.

Szary, nerwowy dyrektor Quigley Seminary ostrzegał mnie, że będę musiał zapomnieć o znajomych ze średniej szkoły.

— O mężczyznach i kobietach — dodał, silnie akcentując to drugie słowo.

Właśnie rozpoczynałem podróż zupełnie inną ścieżką niż oni. Powinienem wyeliminować ich wszystkich z mojego życia. Powinienem zerwać wszystkie moje z nimi związki.

Im dłużej będę je podtrzymywał, tym zerwanie będzie trudniejsze.

TLR

Po roku Quigley trafię do siedmioletniego, głównego seminarium w Mundelein, na północ od Chicago, i tam zostanę wyświęcony. „Z boską pomocą", dodawał mój ojciec; w jego głosie wyraźnie brzmiała nutka wątpliwości. W przerwie wakacyjnej po pierwszym roku odbędę letni kurs greki, której, niestety, nie nauczali u jezuitów.

Wszystko odbyło się zgodnie ze scenariuszem. Rok później dzień w dzień opuszczałem brudne gotyckie mury Ouigley i miejskim autobusem (seminarzystom nie było wolno prowadzić samochodów) dojeżdżałem na kurs. Pamiętam ten okres jako najbardziej ponure i najnieznośniej gorące miesiące w moim życiu. Tęskniłem za jeziorem i przyjaciółmi. Ślęcząc nad okropną greką świętego Jana, wmawiałem sobie, że ta tęsknota prędko przejdzie i szybko przywyknę do swojej sytuacji.

Maureen zatelefonowała do mnie na tydzień przed Świętem Pracy, kiedy powróciłem właśnie do gorącego, pustego domu po ostatnich zajęciach.

— Cześć, kochasiu — powiedziała. — Czy wyświadczysz przysługę swojej starej kochance?

Dźwięk jej głosu sprawił, że zapomniałem o wszelkich zmartwieniach.

— Zależy, która to kochanka — odparłem, starając się nie zdradzić brzmieniem głosu, że na moich ustach pojawia się szeroki uśmiech.

— Zdaje się, że zamierzasz zostać w mieście przez cały weekend, co? Trzy wesołe dni chyba nie zachwieją twoim powołaniem.

— Wyjeżdżam stąd za pół godziny. O jaką przysługę ci chodzi?

— Żebyś zabrał Ellen Foley do kina w czwartek wieczorem, a w piątek na zabawę do klubu.

— A co się dzieje z Patem? — zapytałem. Zdaje się, że próbowałem wylać troszeczkę zimnej wody na mózg ucieszony z tego, że zatelefonowała Maureen.

— Och, wyjechał do Mayslake modlić się. Wciąż jeszcze rozpamiętuje swoją wizję. Poza tym, zdaje się, że między nim a Ellen zaszło coś nieprzyjemnego.

Wiesz, jaki on bywa porywczy.

Zacisnąłem odruchowo wolną rękę w pięść, a palce ściskające słuchawkę telefonu aż mi zbielały.

— Jaką wizję? — zapytałem. Roześmiała się serdecznie.

— Biedny, zwariowany Pat jest przekonany, że zobaczył Matkę Boską, a ona objawiła mu, jak ma sobie radzić w życiu. No, w każdym razie, zajmiesz się małą Ellen, zrobisz to dla mnie? Nie sądzę, aby mogła stanąć na drodze czyjegokolwiek cholernego powołania.

Gdyby mogła usłyszeć, jak szalenie zaczęło walić serce w mojej piersi, doceniłaby bardziej sex appeal Ellen.

— Chcesz, żebym ją zabrał dziś, jak będę jechał samochodem? — zapytałem, sam zaskoczony swoją zuchwałością.

TLR

— No, niestety, ta cholerna baba, jej matka, och, jak nienawidzę tej kobiety, nie puści jej z domu wcześniej niż w środę wieczorem.

Dopiero gdy odwiesiłem słuchawkę, zdałem sobie sprawę, że Maureen nigdy dotąd nie używała słów „cholera, cholerny". Cóż, dorastaliśmy bardzo szybko.

W każdym razie w czwartkowy wieczór siedziałem naprzeciwko Ellen w Sugar Bowl, obserwując, jak dokładnie oczyszcza puchar po kolejnej porcji deseru lodowego i słuchając jej porównania Wszystkich ludzi króla, filmu, który niedawno obejrzała, z bohaterami Strażnika honoru Cozzensa.

Była o wiele ładniejsza niż wówczas, gdy widziałem ją ostatni raz. Miała żywy uśmiech, błyszczące oczy i miły głos. Odkrywała dopiero swoje ciało i umysł, ciesząc się i jednym, i drugim.

— Czy mogę prosić cię o przysługę, Kevin? — zapytała nieśmiało, wbijając spojrzenie w stojącą przed nią szklankę. Grająca szafa zaczęła trzeszczeć płytą Riders in the Sky.

— Uczynię dla ciebie wszystko, a nawet więcej, piękna damo — odparłem.

Pasemko krótkich, jasnych włosów opadło na jej czoło. Odgarnęła je niecierpliwym ruchem.

— Cóż, nie będzie to część twojej umowy z Maureen na mój temat — jej policzki zaróżowiły się — i będziesz mógł, oczywiście, odmówić. Czy mógłbyś jutro... nauczyć mnie jeździć na nartach wodnych? Bardzo cię proszę...

Położyłem palec wskazujący pod jej podbródek i delikatnie, lecz stanowczo uniosłem jej głowę.

— Będę u ciebie o dziesiątej trzydzieści... I chcę, żebyś wiedziała, że umowa z Maureen sprawiła mi wielką radość.

A potem oboje siedzieliśmy zażenowani, przypomniawszy sobie związki między nami, o których nie powinniśmy już teraz wspominać.

Następnego ranka o dziesiątej trzydzieści cała wieczorna magia wyparowała. Byłem zły na Ellen, a ona chyba mnie nienawidziła.

— Jestem przemarznięta! — krzyczała. — Proszę wpuść mnie do łodzi!

Była nie tylko przemarznięta. Była małą, zmokłą, głupią myszą, zbyt tępą, aby poprawnie wykonywać moje nawet najprostsze instrukcje.

— Jesteś tchórzem! — wrzasnąłem do niej. — Jeśli przyznasz, że jesteś tchórzem, wpuszczę cię do łodzi. Jeśli tego nie powiesz, zostaniesz w wodzie.

Ze złością zaczęła mnie ochlapywać.

— A ty jesteś aroganckim, głupim snobem! Chcę wrócić do łodzi! Zignorowałem zarówno obelgę, jak i prośbę.

— Trzymaj tę cholerną linę pomiędzy nartami. Ich czubki muszą odrobinę wystawać z wody.

Kolana złącz razem. Nie panikuj, kiedy ruszę.

Wcale nie tak źle koordynowała ruchy. Jednak fale, ruch łodzi i warkot silnika przerażały ją.

Obok mnie siedział w łodzi Nick McAuliff, seminarzysta, który tego dnia przyłączył się do mnie.

Śmiał się wesoło. Właściwie to śmiał się bez przerwy od chwili, gdy powiedziałem do Ellen:

— Utrzymuj tę dolną część ciała ponad nartami. Ellen wrzasnęła na mnie w odpowiedzi:

— To nie grzech mówić „dupa", ty tępy świętoszku.

Zareagowałem w ten sposób, że zatoczyłem łodzią szerokie koło. Byłem tak zły na Ellen, że zbyt gwałtownie dodałem gazu. Nie było możliwe, aby teraz utrzymała linę.

— Trzyma się! — wykrzyknął Nick.

Odwróciłem się. Mała, przemoczona myszka zamieniła się w ślicznego ptaka. Ellen nie była dziewczyną, która łatwo się poddawała. Pozbierała się, wysunęła kolana przed siebie i przybrawszy wreszcie prawidłową postawę, sunęła po wodzie, krzycząc z radości w niemal zwierzęcej ekstazie.

W ten sposób zrobiliśmy pełną rundę wokół jeziora. I dopiero wtedy Ellen wykonała jakiś fałszywy ruch, puściła linę i wyleciała w powietrze, aby po chwili swoją śliczną, krągłą pupą trzasnąć o powierzchnię jeziora.

Potem trzykrotnie próbowała samodzielnie wspiąć się do łodzi i trzykrotnie wpadała z powrotem do

wody. Ale tym razem już nie była zła, lecz wesoło się śmiała.

— Chodźcie, potańczymy sobie w jeziorze! — nawoływała, plując wodą.

Wreszcie stanąłem przy burcie, ująłem ją pod ramiona i wciągnąłem na pokład. Nasze ciała na moment zetknęły się. Poczułem spazm pożądania tak potężny, że o mało się nie przewróciłem.

— Ważysz trochę więcej niż poprzedniego lata — zauważyłem.

— Dokładnie o cztery i pół funta — roześmiała się wesoło. — Ale zdaje się, że większość właśnie straciłam w wodzie.

Okryłem ją opiekuńczo dużym ręcznikiem, otoczyłem na chwilę ramieniem, a potem posadziłem na ławeczce na rufie.

— Widzisz teraz, jak Kevin traktuje dziewczyny od czasu, gdy poszedł do seminarium — powiedziała do Nicka, dzwoniąc zębami. — Wykańcza je nad ranem w dniu największej zabawy, tak że wieczorem są bez sił i nie musi z nimi tańczyć.

— Oboje powariowaliście — stwierdził Nick.

O Ellen można by powiedzieć wiele, ale nie, że nie miała tego wieczoru sił. Jej rozpuszczone włosy delikatnie powiewały. Buty na wysokich obcasach i cy-

trynowa sukienka bez rękawów dodawały jej co najmniej pięć albo sześć lat. Ten wieczór spędzałem już z młodą kobietą. W tańcu pod jej sukienką wyczuwałem jędrne ciało. Obok nas tańczyli moi rodzice.

— Widzę, że masz doskonały gust, jeśli chodzi o kobiety — zawołał do mnie ojciec.

— Kochanie, wyglądasz przeuroczo — matka powiedziała do Ellen.

Ellen przyjęła te pochwały, tylko trochę się rumieniąc. Przyciągnąłem ją bliżej do siebie. Była doskonałą tancerką.

— Chcę ci powiedzieć dwie rzeczy, Kevin — odezwała się tonem matki przełożonej udzielającej nauk młodszym siostrom.

— Powiedz choćby i sto.

— Tylko dwie. Pierwsza: myślę, że będziesz doskonałym księdzem, i będę się modliła, żebyś przetrwał wszystkie trudne chwile na drodze do kapłaństwa.

Och, mój Boże! Przetrwać to! Po cóż mi ta myśl podczas tańca z uroczą dziewczyną?

— A druga rzecz? — zapytałem cicho.

Oparła swoją śliczną, jasnowłosą główkę na mojej piersi.

— Druga rzecz to moje najszczersze podziękowania, Kevinie Brennan, za to, że byłeś dla mnie tak dobry wtedy podczas ostatnich wakacji. Wiem, że jesteś miły dla wszystkich, za których czujesz się odpowiedzialny. Ja... — Teraz słowa zaczęły wystrzelać z niej z szybkością pocisków z broni maszynowej. — Ja myślę, że wcale nie czujesz się odpowiedzialny za mnie. Jesteś dobry dla mnie, bo mnie lubisz i... i... cóż, jestem ci za to bardzo wdzięczna.

Moja dłoń zaczęła błądzić po jej plecach.

— Naprawdę cię lubię, Ellen Foley. Ale źle to ujęłaś. To ty jesteś dla mnie dobra...

Później, kiedy całowałem ją na dobranoc, zmarszczyła czoło.

— Czy seminarzyście wolno całować w ten sposób?

— Grzechem śmiertelnym byłoby, gdybym cię nie pocałował — zapewniłem ją. I żeby to potwierdzić, pocałowałem ją jeszcze raz.

Przez życie wędruje się, cały czas ciągnąc za sobą rany z przeszłości. Tak powiedział do mnie dyrektor seminarium. Kiedy zapadałem tej nocy w niespokojny sen, wiedziałem; już, że Ellen Foley i krótkie zetknięcie się naszych ciał na pokładzie łodzi to rana, która będzie sprawiała mi ból jeszcze przez długi czas.

Próbowałem być spokojny.

— Pat, to najgłupsza rzecz, jaką możesz zrobić. W ogóle nie czujesz powołania!

Tak jak i ja, był zdenerwowany. Mięśnie drżały na jego szyi. Dłonie aż do bólu zaciskał w pięści.

— Skąd, do cholery, możesz wiedzieć, co czuję, a czego nie czuję? Czy uważasz, że tylko ty możesz być księdzem?

Działo się to w środowy wieczór po Święcie Pracy. Rozmawiałem z Patem w słonecznym pokoju naszego starego domu przy Mason Avenue. Jezioro było puste. Dzieciaki z okolicy miały wkrótce pójść do szkoły. Zajęcia w Quigley Seminary rozpoczynały się o dziewiątej następnego ranka. Pat trzymał w ręce rekomendujący go list od naszego proboszcza. Chciał, żeby mój ojciec zatelefonował do wicekanclerza. W końcu wybierał tę samą drogę i miał u jezuitów prawie tak dobre oceny jak ja. Ojciec zgodził się na ten telefon i właśnie rozmawiał z aparatu w swoim gabinecie.

— A co z Notre Dame? — zapytałem.

— Pieprzyć to — odparł. — Moja nieśmiertelna dusza jest ważniejsza od koszykówki.

— Tyle innych dróg prowadzi do zbawienia.

— Dla mnie nie ma innej drogi! — wykrzyknął, czerwony ze złości. — Nie ma! Matka Boża powiedziała mi, że jeśli pragnę zbawienia, muszę zostać księdzem. — Jego doskonałe rysy wyostrzyły się, a jasnoniebieskie oczy lśniły, świadcząc o determinacji. — Poza tym ojciec Placid uważa, że mam powołanie. Gdybym mu się przeciwstawił, popełniłbym śmiertelny grzech.

— A twoja rodzina? — zacząłem drążyć z drugiej strony.

— Są wściekli na mnie, tak jak ty. Ale mnie to nie obchodzi. Uczynię to, czego żąda ode mnie Bóg. Kevin, proszę cię... potrzebuję twojej pomocy.

Trudno było złościć się na Pata. Był taki otwarty, takiszczery.

— Oczywiście, że ci pomogę — powiedziałem. — Bardzo się cieszę, że znów wiele czasu będziemy spędzać razem.

Słowa te tak go ucieszyły, że nie zwrócił uwagi, jak grobowym tonem zostały wypowiedziane.

Gdy sobie poszedł, długo wpatrywałem się tępym wzrokiem w ogrodowy trawnik. Słońce, z każdym dniem zachodzące coraz wcześniej, zapowiadało zbliżającą się zimę. Czy powinienem powiedzieć rektorowi o szaleństwie Pata? W Quigley nie lubiano ludzi, którzy zbyt do serca brali sobie nauki, jakich udzielał ojciec Placid. Nie, będę milczał, zdecydowałem. To ich sprawa, aby przejrzeć Pata, a nie moja, by go zadenuncjować i uniemożliwić dostanie się do seminarium. Albo uniemożliwić przyjęcie święceń kapłańskich.

Maureen podsumowała wszystko latem 1949 roku, kiedy spotkałem ją zmierzającą w butach na wysokich obcasach na niedzielną mszę o godzinie jedenastej:

— Ja jeszcze nie powiedziałam ostatniego słowa, kuzynie.

W jej oczach skrzyły się figlarne ogniki.

Biedna Maureen. Zapłaci za „powołanie" Patricka cenę o wiele wyższą, niż byłem w stanie sobie wyobrazić.

TLR

KSIĘGA DRUGA
LATA PIĘĆDZIESIĄTE

TLR

1953

— Cholera jasna, Kevin, nie próbuj ze mnie robić idiotki. — Maureen strząsnęła popiół z papierosa. — Tak bardzo chcesz wyjechać do Rzymu, że czujesz już w ustach smak spaghetti.

Próbowałem nie patrzeć na Ellen Foley siedzącą obok Maureen. Zmuszałem się do tego, aby gapić się przez okno na świeżo opadły śnieg, kryształowo czysty w świetle księżyca zalewającym ogród Cunninghamów. Ich nowy dom w River Forest, sąsiadujący z posiadłością należącą do słynnego włoskiego gangstera, był niemal pałacem, chociaż moja matka twierdziła, że nawet jeśli to jest pałac, to urządzony wulgarnie i zupełnie bez smaku.

— Byłem już w Rzymie z rodziną i jestem pewien, że kiedyś znajdę się tam znowu — powiedziałem, próbując panować nad swoim głosem. — Nie widzę natomiast powodu, żeby akurat tam studiować teologię.

— Gówno prawda — warknęła Maureen i pociągnęła spory łyk koniaku. — Jesteś bardzo ambitny i z pewnością chcesz zostać biskupem. Jeśli teraz do Rzymu pojedzie Pat, to on będzie biskupem, a nie ty. — Jej nerwowy śmiech był efektem Chateau Lafite, podanego do obiadu.

— Nie chcę być biskupem — powiedziałem zmęczonym głosem. — A od czasu, gdy na Janiculum zbudowano Kolegium Północnoamerykańskie, nie ma mowy o tym, aby każdy kształcony tam Amerykanin mógł zostać biskupem. To jest zwyczajne, duże amerykańskie seminarium.

— Kevin nie chce zostać biskupem. — Ellen Foley wtrąciła łagodnym tonem. Jej wielkie, okrągłe, szare oczy przez cały czas uważnie obserwowały moją twarz, pragnąc odnotować każdą zmianę, jaka na niej zachodziła. — Chce jedynie wygrać rywalizację. Czy tego chcesz, Kevin?

— Nie wiem — odparłem i westchnąłem. Minęło trzy i pół roku, kiedy ostatni raz rozmawiałem z Ellen Foley.

Nasze zimowe wakacje przypadały na koniec stycznia. Kardynał Mundelein był przekonany, że jego seminarium, kilkanaście budynków z czerwonej cegły w Lake County, zbudowanych w stylu georgiańskim, to leśny raj. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego jego seminarzyści tak bardzo pragną spędzać święta Bożego Narodzenia w domu. I chociaż Mundelein nie żył już prawie od piętnastu lat, sprawy w archidiecezji wciąż szły torem, który on wytyczył. Władze seminarium z uporem stosowały się do reguł Mundeleina, gdyż zależało im, abyśmy nie znajdowali się w naszych parafiach wówczas, gdy nasi koledzy i koleżanki ze szkół będą korzystać z bożonarodzeniowych wakacji. Jakoś nigdy nie przychodziło im do głowy, że okazją do takich spotkań mogą być z równym powodzeniem, o wiele dłuższe, wakacje letnie.

Rozmawiając z dwoma pięknymi młodymi kobietami, naruszałem jednocześnie kilka surowych zakazów. Ellen i Maureen były aż zbyt wyzywająco kobie-

ce w krótkich, obcisłych sukienkach. Wzbudzały dokładnie te emocje, przed którymi ojciec Meisterhorst, nasz przewodnik duchowy, ostrzegał wszystkich seminarzystów dokładnie na trzy tygodnie przed rozpoczęciem każdych wakacji.

Obie były studentkami drugiego roku i obie były nieprawdopodobnie piękne. Po czterech długich miesiącach spędzonych w seminarium, podczas których jedynymi widywanymi kobietami były zakonnice i siostry seminarzystów, przychodzące w odwiedziny w specjalnie wyznaczone trzy niedziele każdego miesiąca (zawsze tylko na dwie godziny), wszystkie dziewczęta musiały wydawać się piękne.

O dziwo, z tej dwójki piękniejsza wydawała się Ellen. Była wciąż tym samym kruchym dziewczęciem, ale na jej bladej twarzy głęboka mądrość zastąpiła ciągłą pogodę ducha i naiwną radość. Niepewnie poruszyłem się na krześle.

— Chcesz tego i wygrasz! — wybuchnęła Maureen. Przytknęła koniec kolejnego papierosa do tego, który paliła Ellen. Gdy głowy dziewcząt przybliżyły się do siebie, odniosłem wrażenie, że to flirtujące ze sobą dwa piękne ptaki. — Masz lepsze oceny, jesteś o wiele bardziej lubiany wśród seminarzystów i urodziłeś się przywódcą.

— To wszystko nie ma znaczenia. I jezuici, i księża wolą raczej Pata. Jest dowcipny i ujmujący. Mnie uważają za zbyt ponurego i — wino rozluźniło mój język i powiedziałem coś, czego natychmiast pożałowałem — za zbyt sprytnego i bogatego. Z powodu podróży z rodziną do Rzymu ostatniego lata przeszedłem wręcz piekło!

To było głupie! Mówić takie rzeczy tylko po to, żeby zyskać współczucie dwóch kobiet. Nawet jeśli byłem popularny wśród kolegów z klasy — do tego stopnia, że w Quigley zostałem jej przewodniczącym na ostatnim roku — nie byłem ulubieńcem, trzeba to jasno stwierdzić, władz seminarium. Przestrzegałem wszystkich nakazów i zakazów, wykonywałem sumiennie swoją pracę i modliłem się w czasie do tego przeznaczonym. Jednak władzom nie podobały się pieniądze mojej rodziny. Pata wyznaczano na najbardziej odpowiedzialne

funkcje, jak na przykład obecnie na przełożonego grupy. Sprawował swoje rządy z radosnym uśmiechem na twarzy, sprawnie i wesoło. Mnie przypadło w udziale jedynie podrzędne stanowisko odpowiedzialnego za sport Pat zwracał się czasami do mnie z tak „ważnymi" sprawami, jak prośba o zgodę na palenie papierosów w budynku w wyjątkowo paskudny dzień; w seminarium mogliśmy w ciągu pół godziny po każdym posiłku palić papierosy.

— To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam — oznajmiła Maureen. — Och, cholera, Kevin, usiądź. Nie zamierzamy cię zgwałcić. — Ujęła mnie za ramię i posadziła obok Ellen na wygodnej, stylizowanej nieudolnie na osiemnastowieczną, kanapie. Zupełnie nie pasowała do urządzonego bardzo nowocześnie pokoju. — Czy Kościół ma wreszcie zamiar przyznać, że żyjemy w dwudziestym wieku? Czy wszyscy będziemy musieli opuścić go, zanim się zmieni?

Dlaczego, do cholery, Kościół miałby zazdrościć ci tego, że twoja rodzina jest bogata?

— Kościół zmienia się — powiedziałem. Wstałem jednak i wybrałem sobie krzesło stojące jak najdalej od dziewcząt. — Na przykład nowa liturgia wielkanocna...

— Kevinie Brennan, tylko seminarzysta może wpaść na pomysł, że młodych ludzi obchodzi cokolwiek liturgia wielkanocna! — zawołała Maureen ze złością. Wstała z kanapy i podeszła do gramofonu.

— Jak wy się czujecie, ty i Pat, w rywalizacji, którą seminarium wam narzuciło? — zapytała Ellen łagodnym głosem, niemal szeptem. W przeciwieństwie do Manhattan-ville, gdzie Maureen pobierała nauki w towarzystwie potomków arystokracji Wschodniego Wybrzeża, Szkoła Pielęgniarek im. św. Anny nie wypuszczała w świat rozpuszczonych, hałaśliwych panienek.

— Nie rozmawiamy o tym ze sobą — wymamrotałem.

— Dlaczego nie? — nalegała Ellen.

— Ponieważ jesteśmy mężczyznami, a mężczyźni nie potrafią radzić sobie tak jak kobiety z trudnościami, o które potyka się przyjaźń.

— Widzisz, Kevin, to wcale nie ma wielkiego znaczenia, czy oni cię tam lubią czy nie — kontynuowała Ellen. — Nie ma też znaczenia, czy pokonasz Pata.

— Masz rację, Ellen. To tylko głupia gra.

Gdybym przegrał wyścig z Patem do Rzymu, musiałbym męczyć się w tym seminarium przez kolejne cztery lata, prowadzić monotonne i pełne rygorów życie, z każdą sekundą wypełnioną, od godziny piątej dwadzieścia pięć nad ranem do dziewiątej czterdzieści pięć wieczorem. Każdy mój ruch byłby obserwowany, w poszukiwaniu najmniejszego choćby sygnału „nieposłuszeństwa".

Ponieważ posłuszeństwo, przede wszystkim posłuszeństwo, a nie zapał czy miłość, uważane było w seminarium za najważniejszą z księżowskich cnót. Surowa seminaryjna dyscyplina była fatalnym przygotowaniem do kapłaństwa w dwudziestym wieku. A wykuwanie na pamięć łacińskich tekstów, które z trudem pojmowaliśmy, nie mogło nas dobrze przygotować do pracy wśród ludzi, którzy posiadali uniwersyteckie wykształcenie.

Ponieważ byliśmy w seminarium, ominął nas obowiązek uczestniczenia w wojnie koreańskiej, która wybuchła zaraz po tym, jak schroniliśmy się pod skrzydła kardynała Mundeleina. Larry Ryan, nasz rozgrywający u jezuitów, zginął podczas odwrotu znad rzeki Yalu. Wspominając go, w pewnym momencie miałem nawet zamiar opuścić seminarium i zaciągnąć się do wojska. Po wielkiej awanturze wybił mi to w końcu z głowy ojciec, wrzeszcząc, że powinienem raz a dobrze zdecydować się, jaki rodzaj służby ma dla mnie znaczenie. A front w Korei ustabilizował się i właściwie nie było potrzeby, abym tam jechał i bronił demokracji na przedmieściach Seulu.

Eisenhower był prezydentem, w seminarium dyskutowano o postępowaniu Joe McCarthy'ego, a kraj pogrążał się w długim śnie lat pięćdziesiątych. Wydawało się, że Pius XII będzie papieżem po wsze czasy, podobnie jak kardynał Stritch — naszym arcybiskupem.

— Co, do cholery, dzieje się z twoim przyjacielem Dona-hue? — Tony O'-Malley, otwarty, szczery seminarzysta o czerwonej twarzy, zadał mi to pytanie

pewnego chłodnego wiosennego wieczoru, gdy spacerowaliśmy dookoła jeziora.

— Co masz na myśli? — zapytałem, podświadomie przechodząc do obrony.

— Do czego on dąży? — naciskał Tony.

— Jakie to ma znaczenie? — Przeszliśmy mostek nad śmierdzącym strumieniem, który poprzednie generacje seminarzystów nazwały Rzeką Stritcha, od nazwiska arcybiskupa.

— Nikt tobie tego nie mówi, bo przecież razem z Patem dorastaliście i znacie się od długiego czasu, ale przełożeni są tutaj dla nas, w dużym uproszczeniu, jakby wrogami, a on stoi po ich stronie. Usprawiedliwia ich głupie decyzje, włazi im w tyłki bez wazeliny. Wielu wręcz sądzi, że im donosi.

— Wątpię — powiedziałem szybko. — Pat ma już taki charakter, że musi być doceniany.

— Przez nich — stwierdził Tony. — Dlaczego jednak nie przez nas?

Milczałem, czekając na dalsze słowa Tony'ego.

— Wielu uważa, że konkuruje z tobą w wyścigu o dalsze studia w Rzymie — powiedział cicho, nie patrząc na mnie.

— Jeśli tak bardzo pragnie tego Rzymu, nie będę mu przeszkadzał.

— To ty powinieneś tam pojechać. — Tony przyjął ton adwokata żarliwie broniącego sprawy. — Od bardzo dawna wysyłają stąd do Rzymu kogoś o naturalnych cechach przywódczych.

Przygotowują go do wyjazdu przez prawie dwa lata, udzielając mu szczególnie intensywnych lekcji włoskiego. Ty jesteś naszym przywódcą, i to właśnie ciebie nauczają włoskiego. A jednak, zdaje się, że Pat wchodzi ci w drogę.

— To „od bardzo dawna" trwa zaledwie trzy lata — powiedziałem. Dopiero po wybudowaniu kolegium w Rzymie polityka kardynała Mundeleina, polegająca na zatrzymywaniu najlepszych studentów w jego własnym seminarium, zo-

stała naruszona; jedna z niewielu zmian, w przeprowadzenie których kardynał Stritch włożył bardzo wiele energii.

— Czy nie zauważyłeś, że Pat bez wazeliny wchodzi w dupę temu przeklętemu, głupiemu Vandy'emu? — kontynuował O'Malley.

Profesor Harold F. X. Yandenberghe SJ był zgrzybiałym wykładowcą filozofii i zanudzał nas swoimi wykładami przez cztery długie popołudnia w tygodniu. Musieliśmy wysłuchiwać go, siedząc sztywno na twardych krzesłach, w wielkiej sali wykładowej, udekorowanej obrzydliwymi renesansowymi malowidłami, przedstawiającymi nagich mężczyzn. Ktoś powiedział, że znajdują się tutaj, ponieważ kardynał Mundelein wierzył, że są oryginałami Paola Veronesego. Yandy nigdy nie spoglądał na nas podczas wykładu, raczej był zainteresowany widokiem tego, co dzieje się za oknami. Jego wykłady były nie kończącymi się, monotonnymi łacińskimi komentarzami na temat różnic w postawach Tomasza z Akwinu i Francisca Suareza. Zawsze trzymał stronę tego drugiego.

— No i co z tego? — zapytałem. Powoli zaczynał denerwować mnie i Pat, i O'Malley.

— Doskonale wiesz, że w seminarium hołduje się bzdurnemu przeświadczeniu, iż Yandy to wykrywacz talentów. Donahue ma oko na wzgórze Janiculum, a ty wydajesz się jedynym człowiekiem w całym seminarium, który tego nie zauważa! — O'Malley popatrzył na mnie ostro.

— A co sądzisz o związku pomiędzy nim a Stanem Kokoleckiem? — zapytał. — Podnoszą się głosy o ich „szczególnej przyjaźni". Zdziwiłbym się, gdyby się nie pieprzyli.

Słowo „homoseksualizm" nie było wówczas przez seminarzystów w ogóle wymawiane.

Udawaliśmy, że nie istnieje. Nie miało to jednak specjalnego sensu. Wśród kilku setek skazanych wyłącznie na siebie mężczyzn „szczególne przyjaźnie" musiały być problemem, tym bardziej, że i nasi przełożeni zwykli faworyzować przystojnych studentów, takich chociażby jak Pat Donahue.

— Nie zajmuj się tym — powiedziałem z nadzieją, że mój głos zabrzmi szczerze. — Jeśli Patrick nigdy nie będzie kimś, nie będzie... — zawahałem się w poszukiwaniu odpowiedniego słowa — tym właśnie. Wiele dziewczyn z West Side mogłoby ci to potwierdzić.

Kilka dni później Pat złapał mnie na korytarzu i zaproponował spotkanie w kantorku przy sali gimnastycznej, podczas krótkiego wolnego czasu wieczorem. Chciał omówić plan rozgrywek w koszykówkę, które miały rozpocząć się za sześć tygodni. Jako przełożony grupy dysponował większą liczbą kluczy i mógł przebywać w sali gimnastycznej nawet w tych godzinach, kiedy nikogo do niej nie wpuszczano. Już w chwili, gdy znaleźliśmy się w kantorku, zdałem sobie sprawę, że powróciły dni, kiedy musiałem pomagać mu przebrnąć przez różne najdziwniejsze i najtrudniejsze sytuacje.

— Kevin, chyba oszaleję — zaczął bez wstępu roztrzęsionym głosem. — Potrzebuję pomocy. Już wystarczy to, że go utraciłem. Ale nie zniosę tego, że on jest z kimś innym. Kątem oka dostrzegłem śnieg padający za oknem: pierwsza wielka śnieżyca tego roku. Ponieważ było ciepło, od razu się topił. Kałuże na ziemi zdawały się w tej chwili moim jedynym związkiem z realnym światem.

— O czym ty mówisz? — zapytałem, starając się zyskać na czasie.

— Ja... och — przerwał na chwilę, zmieszany. — Pod-1 czas wakacji spędziłem z Koko wiele czasu, ale pewnego dnia, cholera, trochę za dużo wypiłem i... och, byłem chyba ! zbyt nachalny i on już mnie nie lubi... Powiedział, że woli Marty'ego Fitzpatricka.

— Dwóch małych, wstrętnych pedałów... — wykrztusiłem.

— Koko nie jest pedałem — powiedział Pat żałośnie. — Jest bardzo inteligentny i wrażliwy. Nie przetrwam tu bez jego pomocy. Potrzebuję go!

Przez głowę przebiegła mi myśl, aby zainteresować się, czy zamierza zabrać ze sobą Koko również do Rzymu. Powstrzymałem się jednak i zapytałem:

— Co ty i Stanley robiliście ze sobą, Pat? Jeśli mam ci w czymkolwiek pomóc, muszę to wiedzieć.

— Nic grzesznego — odparł. Był w tej chwili żałosny i mizerny. Zdruzgotany bohater, wsparty o zdezelowane biurko w pokoju o betonowych ścianach, skąd nikt już nigdy nie usunie smrodu męskiego potu. — Naprawdę nic grzesznego. Nic takiego, co się robi z dziewczyną.

— Między mężczyznami to znacznie większy grzech — powiedziałem ostro.

— Nie, nie, wcale nie. Nic złego nie robiliśmy. Uwierzysz mi, gdy zrozumiesz nasze wzajemne uczucia. Gdyby nie Koko, dawno już bym stąd odszedł. Czuję się tu taki samotny... — zaczął łkać. — Tęsknię za rodzicami i braćmi.

Moja złość i gniew zaczęły przeradzać się we współczucie. Może, mimo wszystko, to wina tego seminarium. Każdemu, kto przekroczy progi tego dziwacznego przybytku, pada na głowę.

— Co chcesz, żebym zrobił? — zapytałem.

—— Porozmawiaj z Koko. Powiedz mu, jak bardzo mi przykro, że go uderzyłem. Powiedz mu, że ma przerwać swoją przyjaźń z Martym. Oszaleję, jeśli jeszcze choć raz zobaczę ich razem.

— Weź się w garść, Pat. Wyspowiadaj się, zapomnij o tym. co było.

— Nie mogę iść do spowiedzi. Wyrzucą mnie stąd, jeśli się o wszystkim dowiedzą! — Próbował zapanować nad sobą, lecz mimo to jego przystojna twarz wyrażała drążące go desperackie myśli.

— Potrzeba ci specjalnego spowiednika. Nasze reguły zezwalają na to. Wszystko będzie dobrze, jeśli potrafisz zapomnieć o Koko.

Pat pokiwał przecząco głową.

— Wiem, że muszę z nim skończyć, Kevin. Już przed kilkoma miesiącami chciałem cię prosić o pomoc, ale jakoś tak wyszło... Zrób to dla mnie, porozmawiaj z Koko, a ja potem zrobię, co zechcesz.

Opuściliśmy salę gimnastyczną i brodząc przez zimne bajora, udaliśmy się do budynku mieszkalnego. Lekka mgiełka zaczęła przeradzać się w ciężką mgłę. Pat zapytał mnie wesoło o moje wakacje i o nowy dom Cunninghamów. Jeszcze nie minęło pięć minut od jego żałosnych wyznań, a już domagał się ode mnie, abym mówił o Maureen i Ellen.

Przez cały następny dzień obserwowałem Marty'ego i Koko. Rzeczywiście, byli dla siebie kimś więcej niż „przyjaciółmi". W końcu powiedziałem ojcu Meisterhorstowi w zaciszu jego udekorowanego świętymi obrazami gabinetu, iż bardzo martwią mnie stosunki, jakie wytworzyły się pomiędzy Martinem Fitzpatrickiem i Stanleyem Kokoleckim. Jezuita prześwidrował mnie spojrzeniem.

— Czy jesteś pewien, synu, że wiesz, o czym mówisz?

— Tak, ojcze. Dokładnie wiem, o czym mówię.

Obydwu nie było na wykładach następnego ranka. Kiedy powróciłem z sal wykładowych do budynku mieszkalnego, nie było tam już ich rzeczy. Gdy razem z Patem szliśmy do stołówki na lunch, zastanawialiśmy się, co takiego się wydarzyło. To jednak najwyraźniej nie zmąciło dobrego humoru Pata.

Tydzień później powitał mnie szerokim uśmiechem, gdy razem wchodziliśmy na zajęcia do Vandy'ego. (Zawsze siadało się w ławce obok osoby, na którą natknęło się przy wejściu — jeszcze jeden środek przeciwko „szczególnym przyjaźniom".)

— Jak dobrze, że wówczas się zdecydowałem z tobą porozmawiać, Kevin — odezwał się. — Dziś czuję się o sto procent lepiej.

Na tym nie wyczerpał się jednak tegoroczny limit pomocy, jakiej musiałem udzielać Patowi. Jakoś tak w połowie kwietnia, gdy wiosna powoli i nieśmiało zdobywała panowanie nad naszym światem, pewnego czwartkowego poranka (w czwartki nie było wykładów, bo tak przyjęto w rzymskim kolegium) spacerowałem samotnie wąską dróżką nad brudnym jeziorem. Takie samotne spacery

nie były zbyt życzliwie widziane w seminarium. Zakładano, iż rodzą brudne albo zbyt przenikliwe myśli, które niszczą wysiłki wychowawcze podejmowane przez ojców. Usiadłem na ławeczce przed małym molo i próbowałem w myślach uporządkować cały problem związany z wyjazdem do Rzymu. W pewnej chwili usłyszałem głosy dwóch mężczyzn, którzy nie mogli mnie zauważyć ze względu na rosnące tu krzaki. W tonie ich głosów było coś, co sprawiło, że poczułem się bardzo niepewnie. Jednym z rozmawiających był Tony O'Malley.

— Dwa razy w tygodniu? — zapytał go drugi głos. — Dlaczego?

— Bo dwa razy w tygodniu spotyka się z dziewczyną w mieście — powiedział O'Malley. — Zabrali mu Koko, to przerzucił się na kobiety.

— Czy jesteś pewien? — Właściciel drugiego głosu był najwyraźniej dumny z zaufania, jakim obdarzył go O'Malley, jednak żądał dowodów.

— Jerry, fryzjer, powiedział mi, że widział, jak Donahue spotykał się z nią w zajeździe, w którym pracuje. Ona jest uczennicą przedostatniej klasy w szkole średniej w Libertyville. Jerry powiedział, że spotykają się tam w każdy wtorek i czwartek o dziesiątej trzydzieści wieczorem i odjeżdżają jej gruchotem.

— Ale dlaczego Jerry o tym ci opowiedział?

W drugim głosie rozpoznałem wreszcie Teda Froelicha, jednego z najsympatyczniejszych i najrozsądniejszych seminarzystów.

— Nie wiem. Ważne są fakty oraz to, iż nie możemy pozwolić, żeby facet taki jak Donahue reprezentował Chicago w Rzymie. Musimy poinformować o wszystkim Maca. Jeśli mi nie wierzysz, obserwuj pokój Donahue dziś w nocy. A w następny wtorek będziesz mógł z czystym sumieniem pójść do Maca.

Po chwili rozmówcy oddalili się na tyle, że nie słyszałem już ich głosów.

Siedziałem bez ruchu na ławce. Mój mózg i całe nioje ciało zdawały się sparaliżowane. Patrick Donahue nigdy nie powinien był znaleźć się w tym seminarium. Wkrótce pozbędę się go stąd, raz na zawsze. Nie muszę nic robić w tym celu. A walkę o Rzym wygram przez dyskwalifikację przeciwnika.

Dziewczyna ostrożnie prowadziła samochód drogą w kierunku terenów seminarium, modląc się, aby pojazdu nie zauważyli policjanci z patrolu. Przy końcu drogi zatrzymała się pod transformatorownią, przechyliła się na prawą stronę i mocno objęła swojego pasażera.

Obdarzył ją zdawkowym pocałunkiem w czoło, wyśliznął się z samochodu i powoli, ostrożnie pospieszył w kierunku budynku mieszkalnego seminarium. Powrót do pokoju był najbardziej niebezpiecznym fragmentem tej wyprawy.

Niemal na palcach dotarł do frontowych drzwi. Wychodząc stąd, zostawił je otwarte i był pewien, że nikt ich nie zamknął, były używane i zapewne nawet Mac nie wiedział, że istnieje do nich klucz. Znalazłszy się w środku, ruszył korytarzem, oświetlonym jedynie bladą lampą na odległym końcu. Teraz musiał przebiec dwa piętra w górę wąską, ciemną klatką schodową i już będzie u siebie. Dziękował Bogu za pomysł kardynała Mundeleina, aby każdy seminarzysta miał osobny pokój. Nadchodził najbardziej ryzykowny moment wspinaczki po schodach. Na chwilę będzie musiał ukazać się w świetle korytarza pierwszego piętra. Jeśli Mac akurat otworzy drzwi swojego pokoju, zobaczy go...

Te kilka sekund było dla niego chwilą ekscytującego napięcia. Uwielbiał to uczucie, ten fragment gry, bardziej nawet niż chwile, gdy pieścił ciało dziewczyny.

Mac nie pojawił się. Z mieszaniną ulgi i irracjonalnego zawodu pokonał ostatnie stopnie.

Pozostało już tylko kilkanaście kroków korytarzem do azylu własnego pokoju. Przeszedł go dreszcz, niczym w ostatnich sekundach przed zdobyciem kobiety. Otwierając drzwi, myślał o tym, co zrobi z nią następnym razem. Ostatniego lata czytał o kilku ciekawych pozycjach...

W połowie drogi do łóżka zamarł z przerażenia. Ktoś siedział przy jego biurku.

Jak z katapulty wyskoczyłem z półmroku kaplicy zaraz po wieczornej modlitwie, chcąc wziąć prysznic przed dziewiątą czterdzieści pięć, godziną gaszenia

świateł. Mundelein było zapewne jedynym seminarium na świecie, w którym każdy seminarzysta miał łazienkę w swoim pokoju.

Kiedy ujrzałem Teda Froelicha, jak idzie korytarzem i puka do drzwi Maca, szybko pobiegłem na drugie piętro, do pokoju Pata. Zapukałem, najpierw cicho, delikatnie, a potem bardzo głośno.

Żadnej odpowiedzi. Otworzyłem drzwi i zajrzałem do środka. Ciemno. Włączyłem na moment światło i szybko je zgasiłem. Łóżko było równo, starannie zasłane. Pat nawet nie próbował stworzyć pozorów, że go używał tej nocy.

Jeśli Mac tutaj wejdzie i zastanie puste łóżko, usiądzie i będzie czekał do powrotu Pata.

Szybko ściągnąłem sutannę i resztę garderoby, znalazłem pidżamę Pata, wiszącą na drzwiach łazienki, ubrałem się w nią i wśliznąłem się do łóżka. Głowę nakryłem poduszką, gestem sugerującym, że chcę odseparować się od wszelkich dźwięków dochodzących z zewnętrznego świata.

TLR

Ledwo dosłyszałem, jak otworzyły się drzwi. Nie poruszyłem się. Czy ta poduszka spełni swoje zadanie?

Przez jeden straszny moment przygotowywałem się do tego, że będę musiał naśladować głos Pata. Oczy miałem kurczowo zaciśnięte. Usłyszałem ciężki oddech Maca. Krążył po całym pokoju. Ostrożnie otworzywszy jedno oko, ujrzałem wąski strumień światła z małej elektrycznej latarki. Po chwili światło zatrzymało się na łóżku. Powoli poruszając latarką, Mac upewniał się, czy pod kołdrą znajduje się ludzka istota. Jeszcze kilka sekund i światło zgasło. Bezszelestnie Mac wycofał się w kierunku nie domkniętych drzwi, wyszedł na korytarz i zamknął je za sobą.

Cicho szczęknęła klamka, gdy odchodząc, puścił ją.

Uff...

Jeszcze długo leżałem bez ruchu. W końcu wstałem. Starannie zaścieliłem łóżko; na tyle dokładnie, na ile pozwalały na to ciemności — nie odważyłem się zapalić światła. Odwiesiłem na miejsce pidżamę Pata i ubrałem się w własne rzeczy.

Usiadłem na twardym krześle przy metalowym biurku. Na półkach nie stało zbyt wiele książek.

Mój przyjaciel Pat nie był zawołanym intelektualistą. W miarę jak mijał czas, w pokoju robiło się coraz chłodniej, gdyż na noc w seminarium wyłączano ogrzewanie. Kaloryfery ożyją znowu, gdy o godzinie piątej czterdzieści pięć trzy długie, szarpiące nerwy dzwonki obwieszczą pobudkę.

Zastanawiałem się już, czy nie opuścić stanowiska u Pata i nie schronić się w cieple własnego łóżka. Namówiłem dobrą siostrę zawiadującą naszym piętrem, aby wydała mi dwa dodatkowe koce — to tylko niewielkie, „techniczne" naruszenie obowiązujących w seminarium reguł.

I wówczas usłyszałem odgłos czyichś kroków w korytarzu. Z pewnością nie należały do Maca. Wstrzymałem oddech, kiedy zbliżyły się do drzwi, za którymi się znajdowałem. Będzie mi bardzo głupio, jeśli ktoś z kadry znajdzie mnie siedzącego o tej porze za biurkiem w pokoju Pata.

Drzwi otworzyły się i ktoś, ciężko oddychając, wszedł do środka. W świetle lamp z korytarza zdążyłem zobaczyć jego twarz, zanim zamknął drzwi. A więc tak wygląda mężczyzna po seksualnej zabawie z kobietą...

— Jak się bawiłeś, Patrick? — odezwałem się.

Pytanie, którego się zupełnie nie spodziewał, zachwiało nim. Jak pijany zatoczył się na biurko.

Obie dłonie oparł na jego płaskiej, zimnej powierzchni, głowę zwiesił między ramionami.

— Co?... — wykrztusił, z trudem łapiąc oddech.

— Jeden z twoich przyjaciół dowiedział się o dziewczynie i nasłał Maca. Mac przyszedł tu, chcąc się upewnić, że ciebie nie ma. Przypadkiem leżałem w twoim łóżku. Cholera, Pat, znowu miałeś szczęście.

Nogi ugięły się pod nim, głowę oparł o biurko.

— Jak...

— Nieważne. — Nie dałem mu dokończyć. — Dowiedziałem się. Nie zacierasz zbyt dobrze za sobą śladów.

— Nie powinieneś był tego robić, Kevin — odezwał się chrapliwym tonem. — Nigdy więcej nie ryzykuj dla mnie swego powołania. Nie jestem tego wart.

— Może to właśnie część mojego powołania. Wyciągać cię z kłopotów.

Otworzyłem drzwi i rozejrzałem się uważnie w lewo i w prawo po korytarzu. Do swojego pokoju miałem zaledwie sześć kroków. Chciałem coś jeszcze powiedzieć Patowi, ale nie potrafiłem znaleźć właściwych słów. Ostrożnie wysunąłem się w półmrok korytarza.

Pat nigdy nie wspomniał o tym nocnym spotkaniu. Froelich nie powrócił do seminarium po letnich wakacjach. Myślę, że nie pasował tutaj ze swoim zamiłowaniem do krętactwa i szpiegowania. Ukończył jednak inne seminarium i jest teraz biskupem w stanie Kansas.

Trzy tygodnie później moje współzawodnictwo z Patem dobiegło końca.

Kiedy wychodziliśmy z kaplicy, zakończywszy cichą modlitwę poobiednią, McNulty skinął na mnie głową, a gdy podszedłem, powiedział oschle:

— Chodź do mojego gabinetu.

Udałem się za nim do zagraconego, śmierdzącego cygarami pokoju i czekałem około dwudziestu minut; wystarczająco długo, abym poczuł się spięty i niepewny co do jego zamiarów.

Mac był wysokim, szczupłym mężczyzną, mniej więcej mojego wzrostu i zaledwie jakieś dwanaście lat starszym ode mnie; według moich obecnych kryteriów był młodym księdzem. Miał rzadkie, jasne włosy i duży nos, który nadawał mu wyglądu wyniosłego orła. (Wciąż jeszcze jest księdzem, umiarkowanie dobrym proboszczem. I wciąż go nie lubię.)

— Jesteś bardzo dumnym młodzieńcem, Brennan, bardzo dumnym — powiedział wreszcie, wyciągając w moim kierunku palec wskazujący.

W tym momencie zdałem sobie sprawę, że przegrałem. W tej strasznej chwili bałem się nawet, iż usuną mnie z seminarium; byłby to jedyny, w moim pojęciu, sposób pozwalający im usprawiedliwić to, co zamierzali zrobić. Wiele lat później dowiedziałem się, że Yandy i kilku innych jezuitów miało właśnie taki zamiar, ale Mac ich przed tym powstrzymał.

— Sądzę, że muszę jeszcze dużo nad sobą popracować — powiedziałem bez przekonania.

— Powinieneś pojechać do Rzymu, powinieneś... Nie możemy jednak posłać tam kogoś tak dumnego jak ty. Pat Donahue nie jest ani tak inteligentny jak ty, ani nie ma takiego wpływu na innych, ale ty jesteś zimny i arogancki. Głupio postępujesz z ludźmi...

— Dlaczego mam więc na nich taki wpływ? — wtrąciłem, pragnąc zdobyć choć jeden punkt, zanim zostanę stąd wyrzucony.

Mac pochylił się ku mnie w swoim krześle, obserwując mnie wyniośle.

— Jeśli masz zamiar ze mną się kłócić, możemy zakończyć rozmowę już w tej chwili — powiedział.

— Nie, nie, ojcze — powstrzymałem się. — Oczywiście, nie zamierzam się kłócić. Próbuję tylko zrozumieć. Niespodziewanie złagodniał.

— Twój problem polega na tym, że uważasz się za lepszego od innych, a to dlatego, iż twoja rodzina jest bardzo bogata.

— Nie wiodło się nam dobrze, gdy mój ojciec walczył przeciwko hitlerowcom — powiedziałem, przekonany, że ten patriotyczny wstęp przysporzy mi plusów.

— Niestety, ta lekcja niczego cię nie nauczyła. Będziesz więc miał jeszcze cztery lata nauki w tym seminarium, żeby zrozumieć, iż pieniądze z nikogo nie robią lepszego od innych.

— Tak, ojcze — przytaknąłem posłusznie. — Spróbuję. Chciałem wykrzyczeć mu w twarz swoją pogardę, tak głośno, aby słyszało mnie całe seminarium.

— Rzym to nie wszystko — kontynuował. — Powinieneś spojrzeć na najbliższe cztery lata jako okres pokuty, czas opamiętania się, czas refleksji nad tym, jak mało znaczącą rzeczą są pieniądze.

— Tak, ojcze — powiedziałem. Nie mogłem się jednak powstrzymać, żeby nie dorzucić: — Jednak lubię to seminarium i pobytu tutaj przenigdy nie będę uważał za pokutę.

— Jesteś bardzo inteligentnym młodym człowiekiem, Brennan — rzucił Mac z namysłem, niepewnie. — Wcale nie jestem pewien, czy ukrywając swoje rozczarowanie, nie drwisz ze mnie.

— Nie, ojcze — rzekłem hardo. — Może to niewiarygodne, ale wcale nie jestem rozczarowany.

Pat czekał za drzwiami. Jego twarz, wyrażająca skrajny niepokój, była niemal szara.

Potrząsnąłem jego ręką.

— Gratuluję — powiedziałem. — Sprzedam ci słownik angielsko-włoski.

Przez jego twarz przebiegł grymas bólu, a nie radości.

— Nie pojadę tam, Kevin — wyszeptał. — To ciebie powinni tam posłać. Powiem im to. Moja rodzina potrzebuje ode mnie pomocy tutaj, w kraju.

Mówił to szczerze, szczere było każde jego słowo. Ale wiedział też, co mu odpowiem.

— Nie jesteś tu ani odrobinę bardziej użyteczny dla rodziny niż w Rzymie. A mnie i tak tam nie wyślą, nie mam żadnych szans. Po co więc zostawiać to miejsce komuś innemu? Musisz pojechać, bez dwóch zdań.

Mógł nalegać, upierać się. Zapewne w końcu wysłaliby mnie. Wiedział o tym i ja doskonale wiedziałem. Tego dnia, wówczas, w tym seminaryjnym ciemnym korytarzu, nasze ścieżki zaczęły się rozchodzić.

1955

Nie mogłem zapomnieć tych kłujących iskierek, jakie pojawiły się w oczach Pata Donahue. Czy były tam również przedtem, zanim w ogóle zaświtała mu myśl, że pojedzie do Rzymu? Skąd wziął się dziwny strach w spojrzeniu miłego, dojrzałego rzymianina, jakim Pat stał się przez te dwa lata? Dlaczego był taki nerwowy, kiedy rozmawiał ze mną? Nie stracił nic ze swego wdzięku i uroku osobistego, widocznych zwłaszcza wtedy, gdy opowiadał zabawne, ośmieszające Watykan historie. A jednak jego śmiech i radość zdawały się wymuszone. Co się z nim stało w tym Rzymie?

Nasz rozklekotany furgon, pożyczony z willi Clearwater Lake, gdzie wypoczywałem razem z Nickiem McAuliffem, trząsł się głośno podczas całej drogi do „letniego domu" Tanseyów. Z całą mocą nakazałem sobie wyrzucić Pata z myśli w chwili, gdy samochód wjechał na podjazd. Na ławce przed domem siedziały cztery kobiety. W skupieniu czytały książki, sprawiając wrażenie, jakby były mieszkankami dużego i drogiego domu starców. W gruncie rzeczy posiadłość Tanseyów przywodziła na myśl taki przybytek. Moja matka marszczyła czoło nad The Quiet American. Mary Tansey z krzywym uśmiechem na twarzy wpatrywała się w kartki Andersonville.

Jej mała, ostra twarz wydawała się jeszcze bardziej ściągnięta niż zwykle. A „zwykle" oznaczało grymas niechęci wobec wszelkich wysiłków, jakie należy wkładać w życie. Maureen, wprost uderzająco śliczna, leniwie przewracała karty The Mań in the Gray Flannel Suit, a Georgina Carrey, ciemnowłosa, dobrze zbudowana kobieta, siedem albo osiem lat starsza od Maureen, Nudziła się nad tygodnikiem z Eagle River. Wszystkie ubrane były dość skąpo; wyglądały, jakby miały iść na plażę albo do łóżka. Jeśli chodzi o panią Carrey, to chyba znajdowała szczególne upodobanie w noszeniu strojów tak skąpych, jak to tylko możliwe. Na stojącym przy ławce stoliku walały się pozostałości po śniadaniu: okruchy po grzankach, puste szklanki po soku pomarańczowym i dwie do połowy tylko pełne filiżanki z kawą.

Obszerny i doskonale utrzymany trawnik opadał nieskazitelną zielenią do samego brzegu jeziora. Błękitne wody Lake Minocąua lśniły zwodniczo, nie zdradzając, iż są o wiele zimniejsze niż wody naszego małego jeziorka na drugim końcu stanu.

— Za późno, Kevin — zakomunikowała Maureen, całując mnie na powitanie z takim zapałem, że zrobiło mi się nieznośnie gorąco. — Golfiarze wyszli już na pole.

Miała fryzurkę a la Audrey Hepburn z Rzymskich wakacji.

Matka powitała mnie bardziej macierzyńskim pocałunkiem. Mary Tansey ledwie zauważyła moje przybycie, a Georgina Carrey obdarzyła uważnym, taksującym spojrzeniem, po czym powróciła do swojego tygodnika. Przedstawiłem im Nicka.

Nick przyjął zaoferowaną mu kawę. Ja zdecydowałem się na herbatę. Golfiarze — Arnold Tansey, Pułkownik, Pat Donahue, chłopak Maureen (niejaki Burke Haggarty z Bostonu) oraz John Carrey — rzeczywiście zaczęli bardzo wcześnie. Byłem pewien, że zarządził tak Arnold, twardy jak skała były footballowy gwiazdor z Notre Damę i jeden ze stu pięćdziesięciu czterech tegorocznych amerykańskich milionerów. Nie pomyliłem się.

To Tanseyowie byli odpowiedzialni za tę pielgrzymkę do północnego Wisconsin. Spotkali Pata w czasie podróży do Rzymu i, naturalnie, z miejsca ich oczarował. Zapłacili mu koszty podróży samolotem tylko po to, aby gościł u nich przez dwa tygodnie pod koniec lipca. Przybył więc, niczym zwycięski bohater, przywożąc z sobą powiew doskonałej rzymskiej ogłady. Ponieważ mój ojciec był prawnikiemTanseyów, zaprosili go również razem z matką, podobnie zresztą Maureen oraz pana Burke'a; tego ostatniego ze względu na jego bliżej mi nie znane koneksje polityczne. John i Georgina Carreyowie przebywali tu już od paru tygodni z kilkuletnim synem. Nie dowiedziałem się, jakiego rodzaju związek jest pomiędzy Carreyami a Tanseyami. Zorientowałem się jedynie, że obie rodziny pochodzą z tej samej bogatej parafii z South Side w Chicago.

— Jaki film oglądałeś wczoraj wieczorem? — zapytała mnie matka, z niesmakiem zatrzaskując powieść Grahama Greene'a.

— Wczoraj wieczorem On the Waterfront, przedwczoraj Rzymskie wakacje, a dzień wcześniej High Noon.

— A co sądzisz o Audrey Hepburn? — wtrąciła się Maureen.

— Ta fryzura lepiej wygląda na tobie niż na niej — odparłem.

— Hmm... — westchnęła. — I co będziesz tutaj robił? Jedynie grał w golfa i oglądał filmy?

— Przynajmniej nadrobię zaległości i obejrzę to, co straciłem w seminarium.

— Dlaczego zamknęli was tam na całą połowę lata? — zapytała Maureen, tupiąc w podłogę z dezaprobatą.

— Ponieważ władze kościelne chronią seminarzystów przed niebezpieczeństwami czyhającymi na tym świecie, Maureen — odparła moja matka, która absolutnie nie zgadzała się z dyscypliną, jakiej byłem poddawany. — Według nich takim niebezpieczeństwem są kobiety jak ty, moja droga, w kostiumach kąpielowych nie lepszych od bielizny. Przecież nie wypada, aby księża znali się na tych sprawach, prawda?

TLR

— Nie jest to rzecz, o której powinni rozmyślać księża — odezwała się Georgina Carrey nabożnym tonem. — Wystarczy im taki problem jak pijaństwo... Za dużo piją.

Odniosłem wrażenie, że wtrąciła się, ponieważ koniecznie chciała coś powiedzieć, a nie dlatego, że wierzyła w to, co mówi. Nadal natomiast milczała Mary Tansey, skupiona nad Andersonville.

— W oczekiwaniu na tych zapalonych golfiarzy popływajmy trochę — powiedziała Maureen. — Woda w jeziorze jest wystarczająco zimna, aby oczyścić nas z wszelkich pokus. Chodź, Nick.

Powiedziałem, że wątpię, czy zwykła woda jest w stanie tego dokonać, ale po kilkunastu sekundach pływania musiałem przyznać Maureen rację. Nawet ona, w dwuczęściowym, seksownym kostiumie kąpielowym, nie stanowiła pokusy w wodzie o temperaturze około szesnastu stopni Celsjusza. Po krótkiej kąpieli wybiegliśmy na nowiutkie drewniane molo. Tam położyliśmy się i wygrzewaliśmy w promieniach słońca, wdychając wspaniały, ostry zapach okolicznych młodych sosen.

TLR

— Cholera, jak ci nieprzyzwoicie bogaci kapitaliści sobie żyją, kosztem nas, proletariuszy — odezwał się w końcu Nick. — Do diabła, idę o zakład, że na noc włączają ogrzewanie.

Maureen z uśmiechem pokiwała głową.

— Georgina, oprócz tego, że jest nieprzyzwoicie bogata, jest na dodatek bardzo męcząca — stwierdziła. — Mary jest nudna, Arnold tępy. John jest tak cichy, jakby go w ogóle nie było.

Dzięki Bogu przynajmniej za twojego ojca i matkę, Kevin. — Ułożyła się wygodniej na ręczniku.

— A co myślisz o Burke'u?

— Całkiem miły facet jak na Irlandczyka z Bostonu — skłamałem. Burke Haggarty był przystojnym, ale pustym bufonem i nawet fakt, że nie wymawiał „r", nie mógł pasować go na inteligenta.

Maureen gwałtownie usiadła i pochyliła się ku mnie.

— W zeszłym miesiącu zabrał mnie do posiadłości Ken-nedych — powiedziała. — Grałam z nimi wszystkimi w football. To zabawni i mili ludzie. Kiedy Jack zostanie prezydentem w 1960, Burke odziedziczy jego fotel w senacie. Wszystko już postanowione. — Jej nagie ramiona falowały, gdy mówiła z nie ukrywanym entuzjazmem.

— Wątpię, czy katolik może zostać prezydentem — stwierdził Nick z powątpiewaniem.

— Jack Kennedy może — stwierdziła Maureen z przekonaniem w głosie. — Hej, patrzcie, kto nadchodzi. Jeśli nie przestanie flirtować z Burke'em, wydrapię jej oczy — warknęła, patrząc w kierunku Georginy Carrey zbliżającej się w naszym kierunku. Przy Georginie, ubranej w obcisły kostium kąpielowy, odsłaniający całe plecy, Maureen wyglądała jak uosobienie cnoty.

— Mogę się do was przyłączyć? — zapytała Georgina ochrypłym głosem.

— Dlaczego nie? — odparła Maureen bez śladu entuzjazmu w głosie. Po chwili zwróciła się do mnie: — Hej, co sądzisz o naszym rzymianinie? Czy nabrał tam klasy, czy też ją stracił?

— Cały czas jestem pod wrażeniem — odparłem zgodnie z prawdą. — Sądzę, że wyniesie z Rzymu wszystko to, co najwartościowsze. Pewnie kiedyś będzie biskupem.

— Wyglądamy przy nim jak chłopi małorolni — powiedział Nick z odrobiną goryczy. Na jego okrągłej, piegowatej twarzy wyraźnie malowała się zazdrość. — Nie jestem pewien, czy mam ochotę na sielankowe wakacje z dystyngowanymi osobami.

Maureen uniosła brwi.

— Czyżby tłuszcza miała coś przeciwko naszemu bohaterowi? Hej, Kevin, powinieneś coś z tym zrobić.

— Zazdrość wobec osoby duchownej to straszna i bezsensowna rzecz — powiedziałem, próbując rozsmarować sobie na plecach trochę olejku do opalania. — Wszyscy lubimy Pata, a odległość od Clearwater Lake do Via Yeneto nie ma na to żadnego wpływu.

Ale Maureen nie ustępowała.

— Zdaje się, że Pat prowadzi w Rzymie zupełnie inne życie niż wy w swoim seminarium. Ma o wiele więcej swobody.

— Nie wstaje o piątej dwadzieścia pięć — Nick wpatrywał się pustym wzrokiem w jezioro, a w jego głosie czuć było napięcie. — Nie musi modlić się przez półtorej godziny, zanim zezwolą mu pomaszerować pół mili na śniadanie. Nie ma wyznaczonych trzech krótkich przerw na zapalenie papierosa w ciągu dnia. Nie mieszka w warunkach podobnych do tych, jakie panują na łodziach podwodnych. Nie pj się przez większość dnia w cztery puste ściany. I nikt mu nie zabrania przebywać między ludźmi dłużej niż kilka tygodni w roku. My jesteśmy więźniami, podczas gdy on uczy się, i cokolwiek by powiedzieć, smakuje życia w Rzymie. — Nie jest aż tak źle — mruknąłem. Bezmyślnie wpatrywałem się w sosny rosnące po drugiej stronie jeziora. Georgina Carrey wcale nie zamierzała wskoczyć do jeziora, jej doskonały strój był na pokaz, a nie do kąpieli.

— Pat jest Patem i nie powiedziałem, że go nie lubię — stwierdził Nick. — Nie można się na niego złościć, cholera, niech nawet zostanie papieżem. Mówię to wszystko dlatego, że przetrwałem cholerne pięć lat w bezsensownym, głupim systemie i zazdroszczę człowiekowi, który tego uniknął.

— A więc przyznajesz, że nienawidzisz tego swojego seminarium! — wykrzyknęła Maureen triumfalnym głosem. Aż wstała z podniecenia.

— Dlatego my, seminarzyści, jesteśmy sobie tak bliscy — odezwałem się spokojnym głosem, widząc, że za chwilę mogą paść niebezpieczne stwierdzenia.

— Stanowimy jedność wobec wspólnego przeciwnika, czyli władców wielkiego muzeum rozciągającego się na setkach akrów w północnym Illinois. Władcy ci próbują produkować księży w taki sam sposób, w jaki pierwsza lepsza fabryka produkuje salami.

— I udaje im się to — stwierdził Nick gorzko. — Tylko po to, żebyśmy nie poznali, czym naprawdę jest życie, każą nam w tym bezdusznym miejscu spędzać większość lata.

— Pat Donahue był dla nas bardzo miły, kiedy wraz z Tanseyami zwiedzaliśmy Rzym — odezwała się Georgina nijakim tonem. — Nawet zaprowadził nas do katakumb pod kaplicą świętego Piotra.

— Och, to z pewnością bardzo podniecające miejsce — powiedziała Maureen ze złośliwym błyskiem w oczach.

— Chyba już pora na lunch — przerwałem w porę i zaczęliśmy się podnosić.

Kiedy wróciliśmy, rzeczywiście wszyscy już jedli, chociaż w bardzo posępnym nastroju. Arnold Tansey, potężny mężczyzna o ramionach szerokich niczym słupy wysokiego napięcia, łysej czaszce okolonej koronką czarnych włosów i szczęce wielkiej jak młot parowy, był najwyraźniej nie w humorze. Przeciwników takich jak on Pułkownik bez większego problemu ogrywał na polu golfowym. Tansey zrobił pieniądze w przemyśle budowlanym; kapitał początkowy dał mu spadek po ojcu. Był dość tępym facetem, o wielkiej byczej głowie; miał jednak siłę czołgu. W wieku czterdziestu pięciu lat został milionerem. Nie miał dzieci, posiadał natomiast żonę, która go ignorowała, oraz głębokie przekonanie, że pozjadał wszystkie rozumy. A jednak, w swojej tępej prostocie, był dość atrakcyjnym człowiekiem, szczególnie na tle uprzejmego, cichego Johna Carreya, który na dodatek nosił zupełnie nie pasujące do niego okulary. Kobiety na zmianę dopilnowywały przyrządzania lunchu. Z tej umowy wyłamywała się jedynie Maureen, która nie uznawała zwyczaju formalnych i niemalże oficjalnych lunchów w domu Tansey ów.

— Dowiedziałem się, że kiedy mnie nie było, Chicago otrzymało nowego burmistrza — odezwał się Pat, próbując przerwać niezręczną ciszę, która panowała przy stole już od dłuższego czasu.

— Dick Daley nie przetrwa dłużej niż jedną kadencję — stwierdził Arnold Tansey, chcąc podtrzymać rozmowę. — Martin Kenelly był doskonałym burmistrzem i uczciwym biznesmenem.

Dick Daley jest marionetką związków zawodowych. Jemu i Billowi Lee wydaje się, że potrafią rządzić miastem. Jeśli AFL i CIO połączą się tej zimy, Chicago stanie się pierwszym miastem rządzonym przez robotników. Dick Daley i George Meany planują walkę o Biały Dom.

Poprowadzą kampanię prezydencką Waltera Reuthera, zobaczycie. A przecież pierwszym zadaniem biznesmenów jest w tej chwili zastopowanie ekspansji związków. Oni jednak chcą wykorzystać atak serca prezydenta i nie wątpią w swoje zwycięstwo. Cóż, w tej sytuacji musimy zjednoczyć się pod skrzydłami senatora Goldwatera.

— Zawsze myślałem, że senator Daley jest socjalistą — powiedział mój ojciec. — Podobnie jak niegdyś jego ojciec, Wielki Mike.

— Zobaczycie — Arnold zniżył głos do konfidencjonalnego szeptu. — Ten cały socjalizm zrówna cały kraj z ziemią- Musimy przypomnieć sobie stare czasy i najważniejsze zasady skutecznego działania w interesach, żeby sięnie dać.

— Jak rok 1933 — powiedział Pat.

Moja matka i Maureen w tej samej chwili zakrztusiły się sałatką z tuńczyka, serwowaną na nieskazitelnej porcelanie przez dwóch służących.

— Powiedz nam coś o senatorze Kennedym — zwróciła się Maureen do towarzyszącego jej młodego człowieka.

Burke Haggarty pił właśnie drugie piwo. Ziewnął szeroko. W jego bladoniebieskich oczach widniało wyraźne znudzenie, a ostry orli nos zmarszczył się lekceważąco.

— Jack jest doskonałym politykiem — wycedził. — Bardzo dobrze sobie radzi. Chociaż, szczerze mówiąc, Bobby, z którym chodziłem do Harwardu, jest o wiele lepszy od Jacka. Ma nadzwyczajny zmysł polityczny. Razem zrewolucjonizujemy amerykańską politykę.

Haggarty miał jakieś dziesięć do piętnastu funtów nadwagi, jego wzrok przywodził na myśl nałogowego alkoholika, a włosy, siwiejące na skroniach, mimo oczywistych wysiłków z jego strony, bezustannie sprawiały wrażenie niechlujnie potarganych. Och, dobry Boże, Maureen, niech to nie będzie on, nie on, nawet gdyby miał zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych.

— Katolik nigdy nie będzie prezydentem — powiedział Arnold Tansey.

— Do diabła, dlaczego nie? — wykrzyknąłem gorąco. Wpatrywałem się w powabne ciało Georginy Carrey wystarczająco długo, aby moja krew zawrzała. — Nie wiem, czy już teraz, ale z całą pewnością przed końcem lat sześćdziesiątych prezydentem będzie katolik.

— Obyś miał rację, młody człowieku — powiedział Tansey chłodno. — Widzę, że w twoich żyłach płynie krew równie gorąca jak u twojego ojca.

— O nie, to raczej temperament matki, a poglądy ojca — stwierdził Pat.

Kiedy przebrzmiał śmiech, swoje trzy grosze do rozmowy postanowiła wtrącić Georgina Carrey.

— Czy mógłbyś podać mi szynkę, Arnoldzie? — zapytała takim tonem, jakby to było zaproszenie na randkę.

Po lunchu Pat odwiózł nas odkrytym wozem terenowym z powrotem do willi. Zamierzaliśmy pograć w tenisa, a potem przygotować się do wieczornej imprezy — dzikiej satyrycznej rewii opartej na Showboat, na którą zaproszono rodziny wszystkich seminarzystów przebywających w okolicy; rzecz, o której lepiej, żeby w Mundelein się nie dowiedziano.

— Opowiedz nam wreszcie o Rzymie — odezwał się Nick do Pata, gdy wąską, zakurzoną drogą, wijącą się przez sosnowy las, jechaliśmy w kierunku autostrady stanowej.

— Miałem wielkie szczęście — zaczął Pat. — Moi nauczyciele to najwspanialsze umysły w Kościele, moi koledzy zjechali do Rzymu z całego świata; studiujemy w sercu chrześcijaństwa i znajdujemy się w Rzymie w czasie największego, najważniejszego pontyfikatu ostatnich kilku stuleci. Pius jest z pewnością świętym.

— I nie szkodzi mu to, że współpracował z Hitlerem i Mussolinim? — zapytałem głosem niewiniątka.

— Och, przestań, Kevin — westchnął Pat. Akurat wjeżdżaliśmy na autostradę. — To nieuczciwe.

Jego młodzieńczy czar podlegał teraz świadomej i pełnej dyscypliny kontroli. Szybkie, celne wypowiedzi układały się w rozwinięte, logiczne zdania. Ciepły uśmiech pojawiał się na ustach Pata zawsze w odpowiednim momencie. Tylko te jego oczy... wciąż jakby się czegoś bał.

Dziwne... przez wiele lat z trudem to do mnie docierało, teraz jego strach widziałem bardzo wyraźnie.

— Zazdroszczę ci wolności — powiedział Nick. Aż zatrząsł się ze złości na system seminaryjny, którego wszyscy z głębi serca nienawidziliśmy. — Żyjesz w jednym z najsłynniejszych miast na świecie, a my w Lake County. Lato spędzasz, wędrując po Europie, a my zjeżdżamy się, ku chwale boskiej, nad Clearwater Lake.

Pat roześmiał się beztrosko.— Wcale nie ma pomiędzy nami tak wielkiej różnicy, naprawdę, Nick. A poza tym, czy pomyślałeś o tych wszystkich pokusach, które wiążą się z przebywaniem w Rzymie?

— W Mundelein też bywają pokusy.

— Skoro o tym mowa — powiedział Pat — ta Carrey ma niezgorsze ciało, co? Chyba wiele głów tu się za nią ogląda.

— Nie wiem — odparł Nick. — Raczej wolę patrzeć na twoją przyjaciółkę, Maureen.

— I nie jesteś w tym odosobniony. Chociaż, prawdę mówiąc, chciałbym, żeby w tym tłumie nie było tego snoba z Bostonu.

— Cholera, chłopaki, zawsze otaczają nas piękne dziewczyny — westchnął Nick. — Kevin, powiedz, co się stało z tą małą blondynką, którą uczyłeś jeździć na nartach wodnych? Pamiętasz ją?

— Dość mgliście — odparłem.

— Ukończyła college świętej Anny w czerwcu — powiedział Pat szybko. — Pracuje na oddziale psychiatrycznym szpitala Loretto.

— Dałeś sobie z nią spokój, co? — zapytałem.

— Tak, dałem sobie z nią spokój. Zdaje się, że spotyka się z Timem Curranem, wiesz...

— Ostatni z bandy Czarnego Wędrowca — zauważyłem.

— Przestał nawet pić. Sprzedaje buty w Marshall Field i chodzi do szkoły wieczorowej. Chce być prawnikiem.

— Czy to wszystko robi dla Ellen?

— Chyba nie. Myślę, że ona go bardzo pilnuje i jest swego rodzaju surowym nadzorcą tej „przemiany". Chociaż, może i Tim na poważnie chce się zmienić? Już nie jest tym samym starym komediantem.

Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek mógłby podtrzymać w Timie Curranie ochotę do żartów, to osobą tą jest jedynie Ellen Foley.

Po gorącym dniu, wieczorem, odbyło się „lodowe party" na drewnianej ławeczce przed głównym wejściem do willi. Ponad Clearwater Lake świecił pełny sierpniowy księżyc.

— Czy będziesz miał kłopoty, jeśli zobaczą, że razem rozmawiamy? — zapytała Maureen, odstawiając pustą czarkę po lodach czekoladowych.

— Przypadną mi w udziale jedynie wyrazy uznania za J dobry gust, Maureen. Co sądzisz o naszej willi? To kardynał Mundelein kazał ją dla nas zbudować, jak zresztą i wszystko inne wokół tego jeziora; drewniane domki, które mają skrywać przyszłych księży podczas tych długich, grzesznych letnich miesięcy.

— Jakaż gorycz przez ciebie przemawia — westchnęła. Jej serdeczny uśmiech i wesołe oczy sprawiły, że poczułem wewnątrz przyjemne ciepło. — Uważam, że jest to bardzo miłe miejsce i w rzeczywistości podoba się również tobie. J Możesz tu czytać i wypoczywać, a od czasu do czasu pogapić się trochę na figurkę Georginy Carrey. Czego jeszcze przyszły ksiądz może chcieć od życia?

— O wiele więcej, zapewniam cię.

Ubrana była w białą sukienkę z krótkimi rękawami, jednak ramiona otuliła lekkim swetrem, mającym chronić ją przed chłodnym północnym wiatrem.

— Jesteś romantykiem, Kevin, a nawet gorzej, bo absolutnie niewinnym marzycielem — odrzekła. Skrzyżował ramiona na piersiach, jakby wpływ niewinnego romantyzmu mógł być bardziej niebezpieczny od chłodu nocnego powietrza. — Mam nadzieję, że twój Kościół cię z tego niej wyleczy.

— Zapewne wyleczy — odparłem ponuro.

— Czy przegrałeś z nim dziś po południu? — zapytała pochylając w bok głowę.

TLR

— Dołożyłem mu sześć do dwóch i sześć do zera — powiedziałem z przygnębieniem. — Ale to była głupia zabawa. Pat doskonale opanował sztukę wdzięcznego przegrywania.

— A ty ciągle nie potrafisz udawać radosnego zwycięzcy,

— Nadejdzie taki dzień — stwierdziłem i roześmiałem się razem z nią pojawił się Pułkownik, niosąc znów lody czekoladowe.

— Jerome Kern udusi was za to, co zrobiliście z jego Showboat — powiedział.

Tej nocy, trzęsąc się z zimna mimo kilku warstw okrywających mnie kocy, modliłem się za Czarnego Wędrowca i jego damę. A potem, gdy skończyłem, odmówiłem jeszcze modlitwę za to, aby Bóg usunął ten dziwny strach z pięknych oczu Pata Donahue.

Dwa dni później Maureen i Pat wypłynęli kajakiem na jezioro Minocąua. Temperatura znacznie przekroczyła trzydzieści stopni Celsjusza, a niebo było bezchmurne. Przepłynęli jezioro wszerz i wylądowali po drugiej stronie, na małej plaży w ustronnej zatoczce.

— Dziewiczy las! — wykrzyknęła Maureen i w radosnym geście rozłożyła szeroko ręce.

— Nie całkiem — poprawił ją Pat. — Nie ma najpiękniejszych sosen, które wycięto na początku wieku.

— Ale jest tu i tak o wiele przyjemniej niż po drugiej stronie. — Maureen ściągnęła koszulkę, którą miała założoną na kostium kąpielowy. Po chwili zanurzyła się w chłodnej wodzie.

— Powałęsam się trochę po lesie — powiedział Pat.

Był już o wiele spokojniejszy niż podczas pierwszych dwóch dni po swoim przyjeździe. Swoboda w zachowaniu Maureen dobrze na niego wpływała.

Znalazł wąską ścieżkę i zagłębił się w las. Po około dziesięciu minutach znalazł starą, piękną sosnę, tak szeroką, że był w stanie objąć ramionami jedynie trzecią część jej obwodu. Aż dziwne, że pozostała tutaj tak długo nie zauważona. Przecież od szerokiego traktu, używanego dawniej przez drwali, dzieliło ją zaledwie kilkanaście jardów. W pewnej chwili Pat usłyszał jakieś głosy i ukrył się za drzewem, nie chcąc zostać przez nikogo spostrzeżonym.

Ukryty za sosną zorientował się, że glosy należą do Arnolda Tanseya i Georginy Carrey. Już miał opuścić swoją kryjówkę i powiedzieć coś wesołego, ale zawahał się. Niech sobie idą. Przed nimi daleka droga do domu.

Podczas gdy Pat zastanawiał się, co powinien zrobić, Tansey wziął dziewczynę w ramiona i pocałował ją. Zdawała się opierać, ale nie miała szansy, aby wyrwać się z jego stalowego uścisku. Pat z satysfakcją przyglądał się temu niby-gwałtowi. Pamiętał aż za dobrze, że Georgina niby to podrywała go w Rzymie, a przecież w gruncie rzeczy sobie z niego drwiła.

Wkrótce protesty Georginy przerodziły się w aktywne uczestnictwo w zabawie. Pat przypatrywał się baraszkującej parze do samego końca. Dopiero wtedy, z nagłym poczuciem winy wycofał się i szybko ruszył w kierunku jeziora. Znalazł Maureen na plaży, opalającą się, ale pogrążoną w drzemce.

To już tyle czasu minęło od dni, kiedy się ze sobą zabawiali. Jak niewinne były to igraszki w porównaniu z żądzami, które atakują go teraz.

W drodze powrotnej, kiedy oboje intensywnie machali wiosłami, Pat nie mógł wyrzucić z pamięci widoku ciała Georginy, obejmowanego przez Tanseya.

Następnego dnia Pułkownik i Pat nie dali nawet najmniejszej szansy parze Tansey-Burke w golfa.

Gospodarz nie był zadowolony z takiego obrotu sprawy i przez kilka godzin chodził nadąsany po domu. Widząc to, Pat, zamiast znosić ciężką atmosferę milczącego koktajlu, wyniósł leżak na trawnik i postanowił udzielić „wypoczynku oczom". Było ciepłe, lecz parne popołudnie. Zasnąwszy śnił o tym, że

został sam na sam z Maureen na bezludnej wyspie. Okazało się jednak, że wyspa leży za kołem podbiegunowym.

Obudził się nagle, drżąc z zimna. Pogoda gwałtownie się zmieniła. Słyszał dobiegające z oddali grzmoty; niebo przecinały błyskawice. Deszcz padał już na taflę jeziora.

Pat wstał i podniósł z trawnika sweter. Akurat, kiedy odwracał się w kierunku domu, dostrzegł na jeziorze samotny kajak.

Siedzieli w nim kilkuletnia dziewczynka i chłopiec. Ich słowy stanowiły małe punkciki na groźnym teraz jeziorze. Pat przypatrywał się temu z uczuciem, że ogląda jakiś horror w kinie. W pewnej chwili kajak zaczai kręcić się dookoła własnej osi, a wysiłki dzieci, aby nad nim zapanować, nie dawały rezultatów. Znajdowali się ponad pięćdziesiąt jardów od brzegu. Zapewne bali się porzucić kajak i popłynąć wpław. A może nie potrafili pływać? Pat stał jak wryty. Nagle zobaczył, że ktoś rzuca się w fale i płynie ku dzieciom. Nie był w stanie tej osoby rozpoznać. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że to Maureen.

Teraz, jakby ktoś go popchnął, popędził do domu. Akurat w drzwiach ukazał się Kevin, z gazetą, którą miał zamiar czytać na ławeczce.

— Maureen ratuje jakieś dzieciaki na jeziorze! — krzyknął Pat. — Szybko, zaalarmuj kogoś.

Nie czekając na odpowiedź, Pat ruszył pędem do jeziora. Gdy znalazł się na plaży, padały już ciężkie, gęste krople deszczu. Mała dziewczynka była już bezpieczna na śliskim molo i łkała histerycznie.

Burza zalewała wszystko kurtyną wody, a ciężkie fale z wściekłością waliły o pomost.

Na chwilę jednak kurtyna uniosła się. Pat ujrzał przewrócony kajak podskakujący na falach. Na powierzchni wody widoczna była czyjaś głowa. Krótkie, czarne włosy. Głowa zniknęła. To Maureen zanurkowała po raz kolejny w poszukiwaniu chłopca. Pat ściągnął z nóg buty i już miał ruszyć w kipiel, gdy Maureen wynurzyła się. Trzymając chłopca, powoli płynęła w kierunku brzegu.

Pat rzucił się jednak w fale i ruszył jej na spotkanie. Dotarłszy do niej, przejął od niej chłopca. Maureen z trudem łapała oddech, a dziecko sprawiało wrażenie, że w ogóle nie oddycha. Gdy tylko Pat ułożył je na deskach, nagle zjawił się Pułkownik i rozpoczął sztuczne oddychanie. Pani Brennan otuliła ramionami łkającą dziewczynkę. Wkrótce na molo znaleźli się i Tanseyowie, próbujący przekrzyczeć wiatr grzmoty.

Po chwili chłopiec mógł już oddychać — krztusił się, charczał, jęczał, pluł wodą, ale oddychał, żył.

Maureen nie było na molo. Gdzie się podziała? Po krótkich poszukiwaniach Pat znalazł ją i Kevina w hangarze. Siedziała na podłodze, z głową opartą o twardą ławkę, i łkała.

— Z nim wszystko w porządku — mówił Kevin, otaczając dziewczynę ramieniem. — Wszystko w porządku. Chyba nie sądzisz, że ten mały śmiał się oprzeć zabiegom Pułkownika?

Przez szloch Maureen rozległ się śmiech.

— W porządku, Maureen, w porządku — mówił Kevin. — Ocaliłaś ich oboje.

Stopniowo szloch ucichł i Maureen uspokoiła się w ramionach Kevina.

Pat zostawił ich, czując się jak intruz, który przypadkiem wszedł do małżeńskiej sypialni.

Wędrując później bez celu po wzgórzach, obserwując tęczę, która pozostała jedynym wspomnieniem po szalejącej burzy, bezsilnie zaciskał pięści. Wściekła furia ogarniała go coraz bardziej. Nienawiść, pożądanie, wrażenie ogromnej samotności — to uczucia, które walczyły w jego duszy o pierwszeństwo. Kevin, Maureen, Ellen, ludzie, którzy mieli dla niego największe znaczenie, zdawali się zupełnie go lekceważyć.

Następnego ranka symulował ból żołądka, chcąc uniknąć gry w golfa. Demon drążący jego umyśl stawał się coraz gwałtowniejszy.

TLR

Wkrótce usłyszał, jak samochody jeden po drugim opuszczają podjazd. Służba miała wolne tego dnia.

W domu pozostał tylko on i Georgina, która do tej pory nie opuściła swojej sypialni; nie pojawiła się nawet na śniadaniu.

Wmówił sobie, że musi pójść nad jezior o i trochę popływać. Założył spodenki kąpielowe i wyszedł z pokoju jakby w transie. Śmiało postąpił pierwsze dwa kroki w kierunku klatki schodowej i plaży.

Nagle jednak przystanął, zawrócił i ruszył w kierunku jej pokoju. Skronie mu pulsowały.

Gwałtownie pchnął drzwi. Pokój był duży, jasny, tonął w promieniach słonecznych przebijających przez cienkie firanki. Leżała na łóżku w luźnej, białej sukience.

— Wyjdź stąd — powiedziała. Zamknął drzwi na klucz.

— Prosisz się o to od dnia, kiedy spotkaliśmy się w Rzymie.

— Powiem mojemu mężowi — rzuciła bez przekonania.

— Nie sądzę. — Jego podniecenie stało się aż nadto widoczne, gdy ściągał kąpielówki. — Widziałem cię z Tanseyem. Chyba nie chcesz, żeby John dowiedział się, że dajesz wszystkim dookoła.

— Skurwysyn — warknęła ze złością.

Wziął ją dziko i brutalnie. Tak jak się spodziewał, bardzo jej się to podobało.

Powróciwszy do swojego pokoju, żałośnie łkał w bezsilnym żalu wobec tego, co zrobił, w nienawiści do samego siebie. Uspokoiwszy się trochę, zaczął powtarzać akt skruchy.

Kilka dni później Pat znajdował się w drodze powrotnej do Rzymu. Tanseyowie i Carreyowie zamknęli letni dom i powrócili do św. Praksedy. Moi rodzice pojechali nad swoje jezioro, gdzie temperatura była co najmniej o kilka

stopni wyższa. Maureen wróciła do Chicago. Burke Haggarty, niemal śmiertelnie znudzony, uratował swoje życie, odlatując do domu, do Bostonu.

Kiedy Pat wyjeżdżał, razem ruszyliśmy drogą w kierunku stacji kolejowej i wioski Clearwater Lake. Znajdował się tam, w sklepie, telefon, z którego czasami dzwoniliśmy do naszych rodzin w Chicago. Tylko w nagłych wypadkach wolno nam było telefonować z willi. Po jednej stronie drogi trenowała drużyna baseballowa, a po drugiej znajdowały się pola golfowe, całkowicie zatłoczone. Na niebie kłębiły się wielkie chmury w kolorze lodów waniliowych. Natarczywy gwizd lokomotywy kazał nam przyśpieszyć.

Szliśmy w zupełnym milczeniu.

— Cholera, Kevin, w tym Rzymie brakuje jednego... — Pat przerwał wreszcie krępującą ciszę.

Ręce trzymał w kieszeniach nieskazitelnie białych spodni. — Rzym jest wspaniały, ale tęsknię za kumplami z Mundelein. I za tobą, oczywiście. Ty też powinieneś tam być. To niesprawiedliwe, że zaczęli wysyłać do Rzymu po dwóch akurat rok po nas.

— Zdaje się, że chcą uniknąć podobnego współzawodnictwa jak między nami — powiedziałem, nie chcąc kontynuować tego tematu.

— Jeśli o mnie chodzi, to nie było to żadne współzawodnictwo. — Jego szczera twarz ożywiła się. — To oni tego chcieli, nie my.

— Tak.

Wkrótce ujrzeliśmy pociąg. Niespodziewanie nie miał żadnego opóźnienia.

Pat wzruszył ramionami, westchnął głęboko i wyciągnął do mnie rękę.

— A jednak wciąż za tobą tęsknię, Kevin. Na szczęście to jeszcze tylko dwa lata. Mam nadzieję, że wyślą cię do Rzymu na studia podyplomowe.

Potrząsnąłem jego dłonią, starając się włożyć w ten gest przynajmniej tyle ciepła co on.

— Nie sądzę. W gruncie rzeczy mam już dość nauki — odparłem.

Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Małe iskierki strachu znów pojawiły się w jego oczach. Milczał, ale jeszcze raz uścisnął moją rękę.

Pociąg stanął. Pat szybko pobiegł w kierunku wagonu i wspiął się na schodki. Wręczyłem mu jego elegancką, czerwoną torbę podróżną.

— Przekaż ode mnie ukłony dla całej twojej rodziny — powiedziałem.

— Och... tak, z pewnością. Spędzę jeszcze z nimi ze dwa, trzy dni, zanim odlecę do Rzymu.

Tydzień z Tanseyami i dwa dni z rodzicami. Nieźle. I ja jako jedyny seminarzysta, który się z nim tutaj żegna.

Znalazł miejsce przy oknie po mojej stronie i machał mi długo, wychylony na zewnątrz, podczas gdy żółto-zielony pociąg coraz bardziej się oddalał. Patrzyłem za nim, dopóki ostatni wagon nie stał się małym, czarnym punkcikiem na horyzoncie.

Sezon w willi nieubłaganie dobiegał końca, który miał nastąpić piętnastego sierpnia. Z niepokojem myślałem o konieczności powrotu do seminarium. Pocieszała mnie myśl, że jeszcze tylko dwa lata i walka z systemem zostanie zakończona. Za dwa lata rozpocznę życie księdza i będę robił to, czego pragnąłem od dnia, gdy zacząłem — jako mały chłopiec — obserwować księży w mojej parafii.

Ósmego sierpnia, na tydzień przed zakończeniem sezonu, ojciec Desmon, stary, schorowany jezuita, który sprawował opiekę nad willą, wywołał mnie z codziennej mszy. Powiedział, że telefonuje do mnie matka. Jego zatroskana twarz zdradzała więcej, niż chciałby powiedzieć, okulary o malutkich szkiełkach zsunęły mu się na czubek nosa.

Byłem przerażony. Zbyt wielu spośród moich kolegów dowiedziało się o śmierci kogoś bliskiego w ten właśnie sposób. Czy chodzi o ojca? O któreś z rodzeństwa?

Mama nie traciła czasu na wstęp.

— Dom Cunninghamów w River Forest doszczętnie spłonął ostatniej nocy.

— A Maureen?! — wykrzyknąłem.

— Nie było jej tam. — Głos matki drżał. — Oboje Cunninghamowie nawdychali się jednak tlenku węgla. Umarli wkrótce po przybyciu do szpitala. Ellen była przy nich, kiedy... Och, Kevin, musisz tutaj przyjechać, przynajmniej na pogrzeb, pojutrze. Maureen cię potrzebuje.

Czy mnie potrzebowała, czy nie, nie miała mnie jednak zobaczyć. Spokojnie wyjaśniłem ojcu Desmonowi, że Tom Cunningham i mój ojciec byli partnerami i wspólnikami przez dwadzieścia pięć lat, że wspólnikami byli również ich ojcowie, że Cunninghamowie opiekowali się moją rodziną podczas wojny, że Maureen jest dla mnie niemal siostrą.

Smutno potrząsnął głową.

— Gdyby to zależało ode mnie, Kevin — powiedział, wbiwszy wzrok w posadzkę — za pięć minut byłbyś już w pociągu. Niestety, nie ja ustalam tu reguły. Wiesz, co powiedziałby rektor, gdyby dowiedział się, że wyjechałeś na ten pogrzeb. Jeśli raz pozwolimy wyjechać komuś z powodów osobistych, będziemy już musieli pozwalać na to wszystkim. Przykro mi, Kevin, naprawdę.

I naprawdę było mu przykro, biednemu starcowi. Oddzwoniłem do mojej matki.

Gdy jej powiedziałem, wpadła w rzadko jej się przydarzający antykościelny ton.

— Bezlitosne sukinsyny — wycedziła. — Zapomnieli, czego nauczał Jezus.

Mama miała rację. Mimo to pozostałem w willi.

Maureen nie zginęła w płomieniach, ponieważ dopiero o trzeciej nad ranem powróciła ze spotkania; z dzikiej, pijackiej imprezy, jak się później dowiedziałem. Przed domem zobaczyła wozy straży pożarnej i dogasające zgliszcza w

miejscu okazałego budynku. Mama powiedziała mi później, że Maureen obwiniała siebie za śmierć rodziców, twierdząc, że gdyby była w domu, odpowiednio wcześnie wyczułaby dym. Pożar spowodował ojciec, który zasnął w łóżku z zapalonym papierosem w ręce.

— Biedne dziecko, o mało nie umarło z rozpaczy — mówiła mi matka, nie dopuszczając w ogóle myśli o jakiejkolwiek winie Maureen.

Maureen nie mogła sobie jednak wybaczyć tej nocy. Tego lata przeczytałem dość podręczników psychologicznych, aby wiedzieć, że dzieci będące oczkiem w głowie rodziców są dla nich największym utrapieniem, ale też czują się najbardziej winne, gdy rodzice umierają.

Złożyłem Maureen wizytę w dzień po powrocie z willi. Znalazłem ją nad brzegiem nowego basenu za letnim domem Cunninghamów. W ręce trzymała puszkę piwa. Jeszcze dwie, puste, stały na trawie obok jej fotela. Obserwowała jakiś punkt na zasnutym cienkimi chmurami niebie, wysoko ponad wierzbami rosnącymi po drugiej stronie basenu. Jak zwykle gdzieś w domu nastawiony był gramofon. Zdaje się, że odtwarzał Rock Around the Clock — muzykę raczej nie żałobną.

TLR

— Cześć, Maureen — zacząłem niepewnie.

— Kevin! Kevin! Kevin! — Przewróciwszy fotel, wyrwała się do mnie, chcąc jak najszybciej paść w moje ramiona.

— Przepraszam, że nie mogłem być tu wcześniej — powiedziałem. Z trudem znajdowałem słowa.

— Lepiej, że jesteś dopiero dzisiaj — stwierdziła. Miała na sobie białe bikini, na tyle śmiałe, że raczej trudno byłoby sobie wyobrazić ją w tym stroju na publicznej plaży. Maureen nie była już świeżą, kwitnącą dziewczyną, lecz pełną wdzięku, elegancką kobietą. — Potrzebuję właśnie silnego męskiego ramienia, żeby się wypłakać... — jej słowa przerodziły się w szloch. Po chwili oderwała się ode mnie. — Założę się, że przenigdy nie obejmowałeś Ellen Foley w bikini

tak długo — uśmiechnęła się uwodzicielsko, ocierając łzy papierową chusteczką.

— Ellen Foley jest zbyt skromną dziewczyną, żeby tak się obnażać przed pożądliwymi oczami mężczyzny — odpowiedziałem zadowolony, że wróciliśmy do poufałego tonu.

— Wciąż ten sam Kevin — stwierdziła. Starłszy z twarzy ostatnią łzę, podniosła krzesło i znów na nim usiadła. — Opowiedz mi, co robisz. W Eagle River w ogóle nie mieliśmy czasu dla siebie.

Usiadłem przy niej na krześle, które musiałem sobie przynieść z drugiej strony basenu.

— Chyba nie mam wiele do powiedzenia. Wyrastam w spokoju i cnocie na katolickiego księdza. Ale to w końcu o tobie powinniśmy dzisiaj porozmawiać.

— No cóż, za kilka tygodni wrócę do tej zasranej dziury, Purchase, i znów będę musiała znosić tych głupich snobów ze wschodu, licząc dni do absolutorium. A potem... — Wzruszyła uroczymi ramionami. — Nie wiem, Kevin. Mam mały basen, którego moi rodzice nigdy nie używali — wskazała ruchem ręki — więcej pieniędzy niż kiedykolwiek będę w stanie wydać i żadnego celu w życiu. Czy modląc się za mnie, przypuszczałeś, że znajdę się w takiej sytuacji?

— Nie obwiniaj się za śmierć rodziców — poprosiłem.

— Nie mam się obwiniać? — Mrugnęła do mnie. — Do cholery, wcale mi to nie w głowie, Kevin. Tylko nie mów mi przypadkiem, że oboje trafili do nieba. W jaki sposób ludzie bez energii mogą zajść tak daleko? Nie rozumiem, jak oni byli w stanie zebrać w sobie dość siły, żeby mnie począć?

Słuchałem w milczeniu.

— Ale z pewnością nie pójdą też do piekła. Rano odmawiam w ich intencji litanię do Matki Boskiej, a wieczorem różaniec. Może Bóg znajdzie jakieś miejsce dla ludzi, którzy nie mieli dość żaru i do grzechów, i do cnót. Ucieszyliby się, gdyby znalazło się dla nich takie osobne, specjalne miejsce. — Niepewnie

poruszała się w fotelu. — Jeśli chodzi o mnie, z pewnością trafię do piekła, Kevin. Wiem to już teraz. Jestem bardzo płytka, a talenty, które posiadam, bez wątpienia zmarnuję. Pożyję jeszcze kilka lat, a potem zacznę cierpieć tak, że stanie się to nie do zniesienia. Nic wspaniałego, dobrego, nie czeka mnie w życiu.

Jej śliczna twarz upodobniła się do pustej maski.

— Nie, mylisz się — powiedziałem, chcąc przerwać jej desperackie myśli. — Gdy będziesz szła do nieba, powiedz tylko świętemu Piotrowi, że znasz mojego ojca. On wszędzie ma wpływy.

Roześmiała się, wstała z krzesła i wskoczyła do wody. Przepłynąwszy kilka długości basenu, wyszła na zewnątrz, otrząsnęła swoje czarne włosy z wody i okryła ramiona dużym ręcznikiem kąpielowym.

— Dzięki ci, że wyrwałeś mnie z tego ponurego nastroju — powiedziała. — Przyniosę ci piwo, drogi kuzynie.

Kiedy powróciła z butelką zimnego heinekena, znów była poważna.

— Czy uważasz, że jest dla mnie jakaś nadzieja? — zapytała.

— Tak samo jak śmiertelnicy, i Bóg ci się nie oprze, gdy zbliżysz się do niego w bikini.

— Och, do diabła. Przecież, jeśli tylko zechce, może oglądać mnie nagą i rozmawiać ze mną, gdy biorę prysznic — powiedziała z uśmiechem. — Czy myślisz, że On mnie podgląda, Kevin? Czy podobają Mu się nasze ciała? Myślę, że tak. To On w końcu je stworzył.

O mało nie ostrzegłem jej przed bezsensownym humanizowaniem Boga, ale jakoś się powstrzymałem.

— Gdyby wybrał dla siebie płeć żeńską, z pewnością byłby zazdrosny o twoje ciało, Maureen.

Kiedy wróciłem do domu, matka siedziała na werandzie. Zerknęła na mnie sponad okularów do czytania.

— Pocieszyłeś ją? — zapytała.

— Przez pół godziny śmialiśmy się — odpowiedziałem, niezbyt zadowolony z siebie. — Tego chyba Maureen potrzebowała, chociaż zapewne jeszcze czegoś więcej.

— Będziesz z pewnością dobrym księdzem — stwierdziła matka i powróciła do swojej powieści szpiegowskiej.

Jeszcze długo zamartwiałem się stanem Maureen. Co można powiedzieć o osobie, która jest przekonana, że nie pójdzie do nieba? Na to pytanie nie udzielono odpowiedzi w seminarium, ostrzegano jedynie, że takie myślenie to niewybaczalny grzech.

W następny piątek wieczorem byłem w Chicago. Jechałem Austin Boulevard, wracając z księgarni przy Oak Park, gdzie kupiłem wszystkie dostępne tam książki psychologiczne. W pewnej chwili zauważyłem znajomą sylwetkę jasnej blondynki, cierpliwie stojącej na przystanku autobusowym. Ubrana była w bluzeczkę z krótkimi rękawkami i spódnicę o krzykliwym wzorze.

Zatrzymałem mojego nowego chery. Używanie samochodów przez seminarzystów było właściwie zakazane, lecz władze seminaruim przymykały już oczy, gdy korzystało się z nich w mieście.

— Czy pani na kogoś czeka?! — zawołałem. Jej twarz zesztywniała, a potem pojawił się na niej wyraz ulgi.

— Och, tak mi przykro, Kevin, że robisz sobie przeze mnie kłopot — powiedziała, wsiadając do

auta. — Raczej nie przywykłam do tak wspaniałomyślnych gestów.

— Nie rozumiem dlaczego. Przecież wyglądasz uroczo. Dokąd cię podwieźć? Do szpitala?

— Nie, jadę do Loyoli na zajęcia — odparła nerwowo. — To dosyć daleko. Wyrzuć mnie przy El.

Serce zabiło mi mocniej. Boże drogi, ona jest wspaniała.

— Nigdy w życiu. Czego się uczysz, biologii? Zaczerwieniła się.

— Literatury, uwierzyłbyś?

— Myślałem, że chcesz zostać pielęgniarką.

— A czy pielęgniarkom nie wolno pisać? — zapytała ze złością.

Przełknąłem to.

— Czy zawsze ubierasz się w ten sposób na zajęcia? A może masz potem randkę z Timem Curranem i to nie moja sprawa?

Uśmiechnęła się.

— Oczywiście, że to twoja sprawa. Tim jest kochany. Pracuje do dziesiątej, ale potem się spotkamy.

Skręciłem w Chicago Avenue, nie bardzo zwracając uwagę na inne samochody. Na moment uchwyciłem spojrzenie jej poważnych, szarych oczu, taksujących mnie z niejaką adoracją. Och, Boże!

— Wspaniale zachowałeś się wobec Maureen — powiedziała Ellen. — Wszystko mi powtórzyła.

Kevin, chyba przywróciłeś ją do życia.

Poczułem się bardzo dumny z siebie.

Palcami delikatnie dotknęła mojej ręki.

— Parafia, do której trafisz, ojcze Kevinie, będzie miała wielkie szczęście.

Mimo Pata Donahue i Burke'a Haggarty'ego, i Georginy Carrey, i Arnolda Tanseya, świat wydał mi się w jednej chwili całkiem przytulnym miejscem.

TLR

— Czy zauważyłaś ten dziwny wyraz w oczach Pata? — zapytałem impulsywnie.

— Oczywiście. — Jej delikatna twarz przybrała znów surowy, poważny wyraz.

— Czego on się boi? — Zwolniłem nieco, a przecinając Cicero Avenue, pragnąłem, żeby podróż do Loyoli trwała całą noc.

— Cóż, ciebie, kiedy przebywa z tobą. I innych, w zależności od sytuacji.

— Dlaczego?

— Chce, żeby ludzie go lubili.

— Wszyscy tego chcemy. — Uważnie patrzyłem przed siebie.

— Nie w ten sposób — stwierdziła. — Nie tak desperacko. Coś ci poradzę, Kevin. Nie przejmuj się tym strachem. I tak go od niego nie uwolnisz.

Zatrzymałem samochód pomiędzy Rush Street a Pearson Street, dokładnie pod znakiem zakazu postoju. Brudny gotycki budynek Quigley Seminary stał naprzeciwko ciemnych, ceglanych murów Loyoli. Lewis Towers przypomniał mi, że nie powinienem być widziany z piękną dziewczyną w samochodzie.

— Zmieniasz się z wiekiem, Kevin — powiedziała Ellen.

— Nie jestem już tym złośliwym fanatykiem czy przemądrzałym pedantem?

— Nie, ale wciąż udajesz takiego, ponieważ byłbyś bezbronny, gdyby ludzie zorientowali się, że naprawdę jesteś miły i subtelny. — Na jeden krótki moment przywarła ustami do moich warg, a ja odniosłem wrażenie, że świat zapłonął. — Jesteś tak zimny jak deser lodowy.

Szybko wyskoczyła z auta, zatrzasnęła drzwiczki i ruszyła przed siebie. Po chwili odwróciła się.

— Jak czekoladowy deser lodowy! — krzyknęła i odeszła na dobre.

Patrzyłem za nią długo, dopóki nie zniknęła mi z oczu w tłumie młodych ludzi śpieszących do Loyoli.

Ale to nie Ellen nawiedzała moje sny tej jesieni w Mundelein, lecz Pat Donahue i ogniki strachu, które widziałem w jego oczach.

1958

— Ojcze, za drzwiami czeka jakaś dziewczyna, która twierdzi, że ojca zna! — krzyknął Harry Fagan, tylko częściowo przekrzykując *Volare*, grane przez dziewiętnaście niezbyt zestrojonych instrumentów orkiestry *„Melody Knights",* działającej przy gimnazjum jezuitów.

— Powiedz jej, że zobaczę się z nią jutro przed meczem! — odkrzyknąłem. Zespół muzyczny wkładał więcej entuzjazmu w grę niż ten, który istniał za moich czasów, ale cóż, byli o wiele słabsi. Jednak pięciuset nastolatkom, tłoczącym się w sali koncertowej naszej parafii, wcale to nie przeszkadzało. Z niezrozumiałych powodów występy „Melody Knights" cieszyły się ogromnym powodzeniem. Lou Carmody, błękitnooka nauczycielka, bardzo się starała, żeby ta właśnie orkiestra zagrała na naszym balu. Ja, porządny, nowy ksiądz (według oceny miejscowych nastolatków), nie miałem w tej sprawie nic do powiedzenia.

— Powiedziała, że ma na imię Ellen! — znów krzyknął Harry. Jego kompletnie łysa głowa śmiesznie lśniła w sztucznym świetle.

— W takim razie porozmawiam z nią teraz! — odkrzyknąłem. Ruszyłem w kierunku drzwi, próbując przebić się pomiędzy kołyszącymi się tancerzami, chłopakami podpierającymi wszelkie możliwe ściany i filary oraz dziewczętami tańczącymi ze sobą w parach.

— Pamiętaj o zasadzie, że wprowadzamy tu tylko członków! — zawołał za mną Harry. Nowy ksiądz u św. Praksedy miał nie jednego, ale setki proboszczów. Każdernu w parafii zdawało się, że jego obowiązkiem jest nauczyć mło-

dego duchownego porządnych zachowań. Nawet ci, którzy wiedzieli, kim jest mój ojciec, nie mogli pozbyć się przekonania, że wszyscy księża pochodzą z ubogich rodzin.

Niektórzy parafianie, nie mający nastoletnich dzieci, przyszli do klubu tylko po to, aby sprawdzić, jak się zachowuję. Leonard Kaspar, nasz kościelny, ubrany w nieskazitelny garnitur, krzywił swoją przystojną twarz i podkręcał wypielęgnowanego wąsa, cienkiego jak ołówek. Patrzył na tańczące pary z wyraźnym niesmakiem.

— Czy ksiądz nie uważa, że mężczyźni powinni przychodzić w marynarkach i krawatach, a kobiety w spódnicach? — zapytał mnie, wskazując na młodzież w swetrach i krótkich szortach.

— Proszę z nimi porozmawiać na ten temat, panie Kaspar — warknąłem do niego i odwróciłem się tyłem, przekonany, że mam pełne poparcie ludzi, których proponowana przez Kaspara reforma z pewnością wymiotłaby z sali.

Ellen czekała u dołu schodów wiodących do sali koncertowej.

— Nie mam karty członkowskiej, proszę księdza — powiedziała z leciutkim uśmiechem na ustach.

— Nastolatek nie wpuszcza się na dół bez karty — stwierdziła Georgina Carrey stanowczo.

Georgina poświęciła wiele czasu dla parafii św. Praksedy, chcąc, jak przypuszczałem, przez cały czas mieć na oku swojego kilkunastoletniego syna. — Nie możemy robić wyjątków, ojcze. — Pogroziła mi palcem.

Mogłem zrozumieć jej pomyłkę. Ellen w prostych spodniach i białej bluzeczce, w lekko przybrudzonym płaszczyku, z włosami spiętymi w prosty koński ogon i z twarzą nie noszącą śladu makijażu, rzeczywiście sprawiała wrażenie co najwyżej licealistki z ostatniej klasy.

— Oto moje prawo jazdy — powiedziała Ellen, wyciągając przed siebie dokument.

— Georgino — odezwałem się — to jest Ellen Foley. Na nastolatkę będzie wyglądała jeszcze co najmniej przez dwadzieścia lat. Obecnie jest wykwalifikowaną pielęgniarką o specjalności psychiatrycznej.

Georgina zawahała się, nie wiedząc, czy powinna mi uwierzyć. Ale spojrzawszy na pierścionek zaręczynowy Ellen, podjęła decyzję i uśmiechnęła się.

— Przepraszam — powiedziała z wdziękiem. Uciekliśmy od Georginy w zgiełk sali balowej.

— Och, ojcze Kevinie! — wykrzyknęła Ellen z entuzjazmem. — Ty będziesz nastolatkiem do końca życia!

Byłem spocony, zmęczony i trochę zdenerwowany tym hałasem.

— Przyszłaś tu ot tak, z wizytą, czy chcesz o czymś ważnym porozmawiać?

Jej duże, szare oczy w jednej chwili spoważniały.

— Od wielu dni przymierzam się do tej rozmowy. W końcu Tim dał mi dzisiaj samochód i powiedział, że mam to z siebie wyrzucić.

Zadrżałem. Bałem się, że zamierza poprosić mnie, abym udzielił im ślubu. Ojciec Rafferty, mój proboszcz, przenigdy nie zgodzi się, abym w sobotę udzielał ślubu poza parafią.

— Zrobię wyjątek, mój synu, tylko wówczas, kiedy będzie chodziło o członków twojej najbliższej rodziny. O brata, o siostrę. Dla kuzynki już nie — odparł, gdy zadałem mu pytanie na ten temat.

— Czy możemy poczekać, aż wszyscy pójdą do domu? — zapytałem Ellen.

— Nie ma pośpiechu. Przed nami cała noc.

Zawołałem Monikę Kelly, jedną z lepszych uczennic drugiej klasy. Jej śliczne, złote, kręcone włosy wyróżniały ją w tłumie dziewcząt. Przedstawiłem ją Ellen.

— Cześć! — zawołała Monika po prostu. — Do której szkoły chodzisz?

— Do Sienny — odparła Ellen, nawet nie mrugnąwszy okiem.

Powróciłem do najmłodszych członków klubu. Wyrzucałem podpitych, przerywałem zbyt głośne, grożące bójką sprzeczki, zbierałem szkło po porozbijanych butelkach coca-coli i ogólnie pilnowałem dobytku św. Praksedy przedzniszczeniem. Jutro i tak usłyszę swoje od proboszcza, siostry przełożonej, głównego inżyniera, głównego kościelnego i jeszcze kilku innych funkcjonariuszy parafialnych, zainteresowanych wykurzeniem stąd nastolatków. Lubiłem to. Istnienie takiej młodzieży było jedną z przyczyn, dla których zostałem księdzem.

W seminarium nauczono mnie postawy, która teraz przydawała się w parafii: cynizmu. Kościół w najbliższym czasie się nie zmieni. Przywództwo pozostanie w rękach takich mężów, jak ojciec Rafferty, przynajmniej do końca mojego życia. Jeżeli chciałem uczynić cokolwiek dla ludzi — a naprawdę chciałem — musiałem się nauczyć, jak przechytrzyć podobne osoby. Nie sprawiało mi to specjalnych trudności. Należało być małomównym, trzymać ich z daleka od tego, co się samemu robiło, robić jak najwięcej rzeczy za ich plecami i mieć nadzieję, że nie będą się tym zanadto interesować.

Leo Mark Rafferty niezbyt przychylnym wzrokiem patrzył na młodzież przychodzącą tutaj w piątkowe wieczory. W gruncie rzeczy nieprzychylnie patrzył na wszystkich przebywających w zabudowaniach parafii, no, z wyjątkiem niedzielnych poranków, ale i wówczas odpowiadali mu jedynie ci, którzy przybywali na msze z grubymi kopertami. Nigdy nie sprzeciwiał się Georginie Carrey, której fortuna mu imponowała. Ilekroć pragnęła wynająć klub dla swojego czternastoletniego Johna-juniora, uzyskiwała zgodę.

Sprzątanie skończyliśmy pół godziny przed północą. Wysłałem do domu sprzątaczki, zapłaciłem orkiestrze, pożegnałem się z Georginą, jej synkiem i mężem i dopiero wtedy usiadłem z Ellen przy stoliku. Oboje znaleźliśmy gdzieś po butelce coli, a Ellen dodatkowo wyszperała paczkę czekoladowych ciasteczek.

— Czy ta kobieta już próbowała cię uwieść? — zapytała, zapalając papierosa.

— Nie, ale z pewnością jeszcze spróbuje.

— To dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę.

— Nie uda się jej to — obiecałem.

— Nie wątpię. Masz zupełnie inny gust. — Popatrzyła na paczkę z ciastkami. Wciąż uwielbiała czekoladę pod wszelkimi postaciami, choć jak dotąd tych kalorii nie było po niej widać.

— Co cię gnębi, Ellen? W głębi twoich oczu widzę wielkie zatroskanie.

Piękne oczy powoli skupiły się na mojej twarzy.

— Chodzi o Maureen. Nie powinna za niego wychodzić — powiedziała po prostu.

— Też tak myślę — stwierdziłem. — Jest od niej ponad dziesięć lat starszy i wygląda jak wiecznie pijany playboy.

— No właśnie. Maureen wychodzi za mąż, bo ja wychodzę za mąż.

— Uważasz to za kaprys Maureen?

— Od czasu śmierci rodziców ona po prostu wariuje. Och, ojcze Kevinie, musisz ją powstrzymać.

— Jeśli nie chcesz, żebym zwracał się do ciebie „siostro Ellen", daj sobie spokój z tym ojcem. Jej uśmiech zdawał się rozjaśniać ciemną salę.

— W porządku. A przy okazji, kim jest ten mężczyzna z purpurowymi guzikami, kręcący się przy drzwiach i zerkający na mnie, jakbym była kobietą lekkich obyczajów?

— To nie jest mężczyzna. To nasz proboszcz — powiedziałem z westchnieniem. — Przepraszam cię na chwilę.

Leo Mark Rafferty, który przypominał mi złego, tłustego krasnala nawet wtedy, gdy był w dobrym humorze, właśnie pojawił się w drzwiach. Był wyraźnie w złym nastroju.

— Co tutaj robisz, młody człowieku? — zapytał mnie. Twarz miał czerwoną ze złości.

— Rozmawiam z młodą kobietą — odpowiedziałem nonszalancko. Podbudowany obecnością Ellen, zdecydowałem się pozbyć wszelkiej uniżoności. Nawet wikariusz — najdrobniejszy pionek w Kościele — nie powinien być poniżany w obecności kochającej go kobiety.

— Czy uważasz to za właściwe zachowanie? — Niewiarygodne, ale twarz Rafferty'ego zrobiła się jeszcze bardziej czerwona, a policzki nadęły się, jakby za chwilę miały eksplodować.

— Ta kobieta jest bardzo bliską przyjaciółką mojej rodziny i zaręczona jest z jednym z moich szkolnych kolegów. Rozmawiamy o problemach, z jakimi boryka się inna nasza wspólna przyjaciółka.

— A może by tak ksiądz odbył tę rozmowę o bardziej stosownej porze? Proszę pożegnać się z kobietą i wrócić na probostwo. Chyba ksiądz pamięta, że w tej diecezji od godziny dwudziestej trzeciej obowiązuje cisza nocna.

— Coś księdzu powiem — zacząłem chłodnym tonem. — Może ksiądz wezwać jutro wikariusza generalnego i zadać mu pytanie, czy kapłan rozmawiający z kimś w szkolnej sali po zabawie tanecznej łamie zasadę ciszy po godzinie dwudziestej trzeciej. Może też ksiądz zażądać, aby mnie przeniesiono do innej parafii. Mało mnie obchodzi, co ksiądz zrobi. Ja natomiast zostanę tutaj tak długo, jak długo będzie trzeba, po prostu dopóki nie dokończę rozmowy z moim gościem.

Zaskoczony Leo Mark nagle pobladł. Zaczął przebierać nogami i zupełnie niespodziewanie zmienił ton.

— Och, nie wiedziałem, że to takie ważne, Kevin. Zostań tutaj tak długo, jak chcesz. Mógłbyś zaproponować kawę swojemu gościowi.

Wycofał się grzecznie. W duchu dziękowałem Bogu za zesłanie mi Ellen. Przypadkiem nauczyłem się dzięki niej, jak rozmawiać z Leo Markiem.

— Kevin znów górą — powiedziała z uśmiechem.

— Nie byłbym taki pewien — westchnąłem. Zabrałem jej jedno ciasteczko. — A teraz o Maureen.

— Wyperswaduj jej to małżeństwo. Westchnąłem i odłożyłem ciasteczko na talerzyk.

— A czy mógłbym wyperswadować to tobie?

— Oczywiście, że nie, kochamy się z Timem.

— Nie sądzisz, że odpowiedź Maureen będzie taka sama?

— Czy Tim i ja jesteśmy tak ślepi jak ona? — westchnęła, odsuwając od siebie talerz z ciastkami.

Poczułem się bardzo stary i zmęczony.

— Posłuchaj, Ellen, tak krótko jestem księdzem, że nawet nie znam jeszcze na pamięć tekstu ceremonii ślubnej. Ale jednego już zdążyłem się nauczyć. Jeśli dwoje młodych ludzi uważa, że są w sobie zakochani, nikt nie jest w stanie przekonać ich, że jest inaczej.

— Czy nawet nie porozmawiasz z Maureen? — zaniepokoiła się.

— Jeśli zechce... Być może będzie chciała porozmawiać J żeby upewnić się w słuszności swojej decyzji. Cóż, wówczas porozmawiam z nią. Twoje doświadczenie w klinice psychiatrycznej powinno podpowiedzieć ci, że jest to jedyna rzecz, jaką mogę uczynić.

Zmarszczyła czoło.

— Jesteś kapłanem, a nie psychiatrą...

— Skoro Maureen czuje się winna śmierci swoich rodziców i chce za to odpokutować, niszcząc samą siebie, nar pozostaje bardzo niewiele do zrobienia.

— A więc nic nie zrobisz?

— Jeśli wymyślę coś, co może mieć sens, bądź pewna, to uczynię.

— Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć. — Ellen wstał; i zaczęła zapinać guziki lekkiego ortalionu. —Pójdę już. Z przyjemnością rozmawiałbym z nią do białego świtu.

Nastawiłem budzik na piątą czterdzieści pięć. Proboszcz ukarał mnie za klub, wyznaczając mi najwcześniejszą mszę w sobotę rano. Po mszy natychmiast wróciłem do łóżka, tylko po to, żeby za piętnaście minut zerwać się do telefonu. Dzwonił Pat Donahue.

— Cześć, Kevin! — Był w zadziwiająco dobrym nastroju jak na wczesne sobotnie godziny. — Masz chwilę czasu dla mnie?

Ciężko opadłem na fotel przy stoliku.

— Gadaj.

Nasza przyjaźń zaczęła nabierać właściwych kształtów, od kiedy powrócił z Rzymu. Obaj ciężko pracowaliśmy i obaj lubiliśmy tę pracę. We wspólnym oddaniu służbie kapłańskiej znaleźliśmy, jak mi się wydawało, podstawę do „dojrzałej przyjaźni" — to określenie znalazłem w jednym z podręczników psychologicznych. Pat był ciągle bardzo nieśmiały wobec mnie, ale błysk strachu w jego oczach pojawiał się coraz rzadziej.

—Wiem... jak wiele znaczy dla ciebie Maureen

—Bardzo wiele, ale nie mogę udzielić im ślubów. — Czy będziesz miał więc coś przeciwko temu, jeśli ja ich im udzielę?

— Dobry Boże, oczywiście, że nie, Pat! Dlaczego? Dlaczego miałbym mieć coś przeciwko? Udziel im sakramentów z całą rzymską elegancją. Naprawdę na to zasługują.

Natychmiast powrócił mu dobry humor.

— Dziękuję ci, Kevin, bardzo ci dziękuję. Musiałem się upewnić. Zobaczymy się w czwartek, jeśli ci to pasuje.

Gdy się rozłączył, popatrzyłem pustym wzrokiem na telefon. Potem szpetnie zakląłem i położyłem się z powrotem do łóżka.

W czwartek, mój wolny dzień, popołudnie spędziłem w słabo oświetlonych podziemiach kościoła przy North Avenue, siedząc na twardym, trzeszczącym krześle i słuchając wykładu na temat powinności Kościoła wobec miasta. Spotkanie zorganizował Catholic Action Clergy, organizacja liberalnych księży diecezji chicagowskiej, lojalnych wobec monsiniora Reynolda Hillenbrada, charyzmatycznego i bardzo stanowczego rektora seminarium, zesłanego przez kardynała Stritcha do małej parafii kilka lat przed moim pojawieniem się w Mundelein. Większość intelektualnego i organizacyjnego fermentu w diecezji powodowali sympatycy wciąż popularnego „Hilly'ego".

Kardynał Stritch był na tyle pobłażliwy — lub na tyle leniwy — że ich działalność coraz bardziej kwitła, przyczyniając się do podtrzymania powszechnie panującego przekonania, że gdyby Hilly postępował bardziej dyplomatycznie wobec proboszczów z miasta i jezuickiego wydziału w Mundelein, nic podobnego by mu się nie przytrafiło.

Nie byłem członkiem Catholic Action Clergy. Miałem zbyt wiele pracy w parafii, a ponadto ojciec Rafferty odwodził swoich księży od myśli uczestnictwa w „tej przeklętej antykościelnej działalności". Uczestniczyłem w wykładzie, ponieważ jednym z mówców miał być Pat Donahue.

Pat, przystojny i promieniejący szerokim uśmiechem, stał w drzwiach i ściskał ręce każdemu, kto wchodził do środka.

— Och, cześć, Kevin! — wykrzyknął, gdy mnie zobaczył. — Jak wspaniale, że przyszedłeś! Mam nadzieję, że cię nie zanudzę.

Pat cieszył się wprost niewiarygodną popularnością, pracując w kościele Czterdziestu Świętych Męczenników na niedalekiej South Side. W niemal magiczny sposób potrafił znajdować wspólny język z Murzynami. Dziesiątki z nich zapisywało się każdego semestru na jego lekcje i większość po zakończeniu nauk przyjmowała chrzest. Osobiście ochrzcił ponad dwieście dorosłych osób, w większości rodziców, którzy postanowili posłać swoje dzieci do szkoły przy pa-

rafii Czterdziestu Świętych Męczenników zamiast do którejś z chylących się ku upadkowi, zaniedbanych szkół publicznych. Słuchałem kiedyś jednej z jego mów w sali pełnej nie ochrzczonych dorosłych

Murzynów i muszę przyznać, że byłem pod wrażeniem prostych, ale trafiających do wyobraźni słów.

— Ten chłopak jest wspaniały — szepnął mi do ucha stary Hugh Mulcahey, jego proboszcz, po takich zajęciach. Cóż, zapewne nigdy nie usłyszę czegoś podobnego o sobie.

Większość publiczności zgromadzonej tego popołudnia w kościelnej piwnicy pragnęła, aby Pat mówił o technikach, które stosuje do nawracania Murzynów na katolicyzm, a także o tym, jak postępuje wobec rodziców niekatolickich dzieci, że słuchają go i posyłają je do przyparafialnej szkoły. Rozczarowali się — Pat opowiadał o „społecznych problemach śródmieścia". Muszę przyznać, że był to mistrzowski występ, a sposób prowadzenia wykładu był doskonale dostosowany do mentalności odbiorców — liberalnych księży.

Rzucał ostrymi przykładami świadczącymi o ubóstwie, niesprawiedliwości i krzywdzie dziejącej się Murzynom w parafii Czterdziestu Świętych Męczenników. Opisywał zagrożenia nieustannie towarzyszące życiu w slumsach falował czarny obraz niebezpiecznych pokus, które czyhają na najbardziej nawet niewinnych młodych Murzynów, powodził, że Kościół ma obowiązek dostrzeżenia obok religijnych również ludzkich i społecznych potrzeb Murzynów. (Słowo „czarni" było wówczas niemodne.)

Nie traktował protekcjonalnie „wiernych", jak zwykło czynić wielu księży w swojej „pracy". W gruncie rzeczy słowa tego nawet nie używał.

— Musimy stać się kościołem biednych! — wołał, kończąc swoją dynamiczną oracje. — Powinniśmy skorzystać z niezwykłej sposobności, aby ich wyzwolić, nauczać i uświadamiać.

Musimy stać się dla Murzynów przyjaciółmi, tymi, których będą utożsamiać z dążeniem do poprawy ich bytu! Obecnie wkładamy zbyt wiele pieniędzy i

zbyt wiele wysiłku w bogate parafie z przedmieścia, gdzie ludzkie problemy w porównaniu z tymi ze śródmieścia są znikome i kapłan nie jest tam tak rozpaczliwie potrzebny. Musimy zaprzestać budowy szkół, kościołów, budynków parafialnych i sal sportowych dla bogatych, a zająć się budowaniem domów dla biednych!

Wybuchnął gromki aplauz, do którego i ja bez wahania dołączyłem. Wręcz grubiaństwem z mojej strony była myśl, która teraz przyszła mi do głowy: czy garnitur za dwieście dolarów i drogie francuskie spinki do mankietów pasują do słów, które Pat właśnie wypowiedział z katedry! W jaki sposób, mając wynagrodzenie w wysokości siedemdziesięciu pięciu dolarów miesięcznie, zdołał się tak wystroić? W gruncie rzeczy, skoro miał hojnych przyjaciół, była to jego sprawa.

Jakieś dwa tygodnie później w drzwiach mojego pokoju pojawił się Leo Mark.

— W biurze na dole jest jakaś młoda kobieta. Twierdzi, że jest twoją siostrą — wymamrotał.

— Cóż, pewnie nią jest — odparłem. — Czy przedstawiła się jako Mary Ann? Brązowe, kręcone włosy i zielone oczy, piegowata jak ja? Słuszna sylwetka, jakby uprawiała lekkoatletykę?

Pokiwał tylko głową, nie do końca pewien, czy z niego niej żartuję.

— Lepiej sam zobaczę — powiedziałem, zapinając sutannę i przeciskając się na zewnątrz pomiędzy nim a framugą drzwi. (W biurach parafii św. Praksedy nie było wolno pokazywać się bez sutanny nawet własnej siostrze.)

— Cześć, kapłanie! — zawołała Mary Ann, kiedy wszedłem do biura. Ubrana była w luźny żakiecik i krótkie szorty.

— Ksiądz proboszcz powiedział, że podałaś się za moją siostrę.

— Co to za facet? — Uszczypnęła mnie w policzek. — I co to za plebania? — Z niesmakiem rozejrzała się po prostych, ale nowoczesnych duńskich me-

blach i surowych twarzach trzech dwudziestowiecznych papieży — Piusów X, XI, i XII, spoglądających z oficjalnych portretów.

— Musisz wiedzieć, że wszystko to zostało starannie zaprojektowane. Nie mogłem nawet kupić sobie lampy na biurko bez zgody oficjalnego dekoratora parafii.

— Macie tutaj dekoratora wnętrz? — zapytała z niedowierzaniem. — Myślałam, że coś takiego może powstać tylko przez głupi przypadek.

— Z czym przychodzisz? — Byłem bardzo zmęczony i chciałem jak najszybciej znaleźć się w łóżku. Rano miałem w planie roznoszenie komunii po mieszkaniach obłożnie chorych. Proboszcz stwierdził, że nie powinienem do tego celu używać samochodu. — Czy w domu wszystko w porządku?

— Och, nie o dom chodzi — powiedziała, machając f ręką. — O Ellen. Powinieneś zapobiec jej małżeństwu.

— Dlaczego?! — zawołałem, a serce niemal zamarło | w moich piersiach. — Przecież oni oboje tak do siebie pasują.

— Tak, oboje są spokojnymi, poważnymi, rozumnymi ludźmi — powiedziała Mary Ann sardonicznie. —Bracie, nie wiem, co działo się pomiędzy tobą a Ellen, ale jeśli chociaż trocheja rozumiesz, musisz zdawać sobie sprawę, że | jest inteligentna, dowcipna i zawsze bardzo przekorna.

— Nie mogę powiedzieć, że o tym nie wiem.

— Posłuchaj, nie mam nic przeciwko twojemu przyjacielowi Timowi, ale on wydaje się chodzącą powagą. Nigdy się nie śmieje, nie żartuje, nie robi dowcipów jak dawniej. Trwa to już od pięciu lat. To Ellen zabije! Szybko urodzi mu kilka dzieciaków i wkręci się w kierat, w który matka zagnała ją niemal od urodzenia.

Ellen i Mary Ann były bliskimi przyjaciółkami. Diagnozy mojej siostry musiały być właściwe. W starannie zaplanowanym i wykalkulowanym życiu Tima Currana nie było widać miejsca dla impulsywnej Ellen.

TLR

— Mary Ann, zostały już tylko dwa tygodnie, poza tym nie wiem, jak mógłbym nie dopuścić do tego małżeństwa. Nie jestem Panem Bogiem, a poza tym nie chcę grać roli Pana Boga w życiu Ellen.

Siostra popatrzyła na mnie uważnie, jakbym był jakimś złym stworem pod soczewką jej mikroskopu.

— Wiesz, jesteś bardzo interesującym typem księdza, bracie — powiedziała powoli. — Masz wiele entuzjazmu i energii, a bardzo mało współczucia i dobroci.

— Może i to przyjdzie z biegiem czasu? Speszyła się.

— Przepraszam za moją złośliwość. Ale przecież musi cię obchodzić, co się dzieje z Ellen.

Przecież nie możesz ot tak, po prostu pozwolić jej, żeby zmarnowała sobie życie!

— Nie jestem przekonany, że ślub z Timem oznacza dla niej zmarnowanie życia — zaoponowałem. — A poza tym, ona i tak mnie nie posłucha.

— Z pewnością posłucha — napierała Mary Ann. — Pewnie nie byłbyś w stanie powstrzymać Maureen, ale Ellen możesz. Zadzwoń do niej rano i umów się na rozmowę.

Wciąż się wahałem.

— Nawet jeśli ją przekonam, ingerowanie w jej życie nie będzie zbyt dobrym posunięciem.

Ciężkim westchnieniem moja siostra potwierdziła, że przypuszczała, iż to właśnie powiem. Jej misja zakończyła się niepowodzeniem. Opuściła probostwo i powróciła na West Side.

W gardle miałem sucho, gdy powoli wchodziłem po schodach do swojego pokoju. Gdy dotarłem na piętro, gwałtownie otworzyły się drzwi do pokoju pro-

boszcza. Sprawdzał, czy młody ksiądz nie chce przypadkiem wymknąć się na noc.

I Ellen, i Maureen wyszły za mąż zgodnie z ustalonym terminem. Za każdym razem pisałem grzeczny list, wyjaśniający przyczyny mojej nieobecności na ślubie i na przyjęciu weselnym.

Maureen przeprowadziła się z mężem do Bostonu; powiedziano mi, że była wściekła na mnie, że nie byłem na uroczystościach.

Wiosną i latem tego roku wiele wydarzyło się na świecie. Charles de Gaulle znów stanął na czele francuskiego rządu, Robert Welch założył John Birch Society, a w Rzymie zmarł kardynał Stritch.

Pius XII, sam bliski już śmierci, storpedował wysiłki Kurii, aby do Chicago wysłać Leo Binza i przeforsować osobę „świętego człowieka", jak o nim mówił, arcybiskupa Alberta Gregory'ego Meyera. Na początku października Pius zmarł. Jego następcą 25 października został Angelo Giuseppe Roncalli.

Pat był z nami na probostwie, kiedy CBS nadawało przez telewizję wiadomości z Rzymu. Nie było transmisji na żywo, nie słyszano przecież wówczas jeszcze o satelitach, ale i tak, „z poślizgiem", głos Winstona Burdette'a poinformował nas, że nowy papież jest siedemdziesięciosiedmioletnim patriarchą Wenecji.

— Och, Boże — powiedział Pat, przerażony. — Chyba im padło na mózgi. Roncalli to dyplomata drugiego garnituru; nigdy w życiu nie osiągnął niczego poważnego. To katastrofa... — powiedział do Leo Marka, który c/ul się zaszczycony, że może gościć „eks-rzymianina" w czasie wyborów papieskich.

I wówczas usłyszeliśmy niespodziewanie silny głos papieża Roncalliego udzielającego błogosławieństwa Urbi et orbi — miastu i światu. Nie minie dwadzieścia lat, a kardynałowie wybiorą następnego papieża. Trzech spośród tych, którzy wybierali Roncalliego — Wyszyński, Leger i Siri — znów znajdą się w składzie Świętego Kolegium. A wśród nich — Pat Donahue.

Lecz tego złotego październikowego poranka na South Side w Chicago Pat mógł tylko z przerażeniem potrząsnąć głową.

— To przejściowy papież, wkrótce będzie nowe konklawe — powiedział, utkwiwszy ręce głęboko w kieszeniach spodni.

25 stycznia 1959 roku Jan XXIII zapowiedział Drugi Sobór Watykański.

Rok 1959

Dokładnie pamiętam moment, kiedy nabrałem przekonania, że Leonard Kaspar, nasz kościelny, kradnie pieniądze zbierane co niedzielę od wiernych parafii św. Praksedy. Było to w październiku, w roku, w którym Chicago White Sox po raz pierwszy od 1919 roku awansowali do World Series — i tam, oczywiście, z kretesem wszystko przegrali. Pat, Nick McAuliff i ja siedzieliśmy w pokoju proboszcza, słuchając The Sound of Musie z gramofonu hi-fi za sześćset dolarów, należącego do Leo Marka; właściciel nigdy tego sprzętu nie używał. Leo Mark był na wakacjach, a więc po dokończeniu wszystkich obowiązków mogłem właśnie tutaj zjeść kolację z przyjaciółmi. Pat był bardzo przejęty Janem XXIII i jego ostatnią encykliką o łacińskiej liturgii, która jednoznacznie zakazywała nawet wszelkich dyskusji o odprawianiu mszy świętej w języku angielskim.

— Ta bzdura będzie się ciągnąć tak długo, jak długo on pozostanie u władzy — lamentował Pat nad drugim martini; używką, której zabraniały mi śluby powstrzymywania się od picia alkoholu przez najbliższe pięć lat. Ta! przyjemność nie była wzbroniona Patowi jako alumnowi

Północnoamerykańskiego Kolegium. — Roncalli to hierarcha trzeciego garnituru. Wszyscy zgadzają się, że ten sobór jest katastrofą. Tylko Bóg wie, w jaki sposób będzie przebiegać. Mój przyjaciel, Tonio Martinelli, napisał do mnie, że sobór najprawdopodobniej nigdy się nie zbierze.

— Czy ten papież naprawdę uważa, że encykliką utnie rozważania o angielskiej liturgii? — zapytał Nick.

— Najprawdopodobniej wszystko mu jedno. — Pat niechętnie popatrzył na swój pusty kieliszek.

— Szkic tej encykliki napisał jego stary przyjaciel, Tonio, który wszem wobec głosił, że trzeba utrzymać łacinę, aby możliwe było centralne sterowanie Kościołem. Ot, taka przyjacielska przysługa.

—— Pułkownik by chyba to zrozumiał — zauważyłem.

— Może twoi parafianie nie mają nic przeciwko łacinie — powiedział Pat ze smutnym uśmiechem na ustach — ale na 35. Ulicy msze można by równie dobrze odprawiać w języku suahili.

Słuchaliśmy muzyki, pragnąc choć na chwilę zapomnieć o Kościele, który każe uczestniczyć w łacińskich mszach ludziom mieszkającym przy 35. Ulicy.

W połowie Edelweiss doznałem natchnienia. To był gramofon Leo Marka, ale... Leonard Kaspar miał taki sam. Pamiętam, jak zapytałem proboszcza, kiedy dumnie ogłosił podczas kolacji, że „Len" (dla wikarych pan Kaspar oczywiście) postanowił również kupić coś takiego, w jaki sposób człowiek o jego dochodach, co najmniej średnich, może sobie pozwolić na taki wydatek.

— To pytanie nie na miejscu, młody człowieku — odparł Leo Mark. — Powinieneś skoncentrować się na kapłańskiej posłudze dla wiernych, zamiast wypowiadać się na temat ich dochodów. Musisz wiedzieć, że pani Kaspar i pani Tansey są siostrami.

Ta odpowiedź nie miała sensu. Arnold Tansey nigdy nie szastał pieniędzmi.

Moje rozmyślania przerwane zostały przez dzwonek telefonu. To była Georgina Carrey; z przejęciem pytała o orkiestrę, która powinna zagrać podczas majówki Towarzystwa Ołtarzowego.

Nawet pod nieobecność proboszcza trzeba podejmować decyzje. Czy wiem, gdzie go można złapać?

— Nigdy nie mówi nam, dokąd się udaje, Georgino — odparłem zmęczonym tonem — ani kiedy wróci. Może pan Kaspar coś będzie wiedział?

— Och, Leonard i Martha są na Florydzie — powiedziała. — Jestem pewna, że nie ma z nimi ojca Rafferty'ego.

— Jak może funkcjonować parafia bez proboszcza i kc cielnego? — westchnąłem. — W każdym

razie, jutro spróbuję coś dla ciebie zrobić.

— Kto dzwonił? — zapytał z uśmiechem Pat, gdy od łożyłem słuchawkę. — Byłeś bardzo grzeczny i troskliwy Założę się, że kobieta.

— Nie w twoim typie — odburknąłem. — Zbyt pobo ż-f na. Codziennie jest w kościele.

— Zawsze można spróbować — stwierdził Nick, zupeł-f nie nie interesujący się kobietami z parafii.

— Mam trochę pracy — stwierdziłem. — Bawcie się dalej beze mnie.

Odprowadziłem ich do nowego falcona Pata. Samochód był zaparkowany za probostwem.

Młodym księżom nie f było wolno posiadać własnego auta przez pięć lat po wyświęceniu, ale najwidoczniej w Rzymie nikt Patowi o tym nie powiedział.

— Boże, to miejsce oświetlone jest jak choinka bożonarodzeniowa. — Pat zatoczył rękami szeroki okrąg, wskazując na budynki parafialne wokół probostwa. — Co tu się dzieje?

— Normalny jesienny wieczór w takiej parafii, niby--podmiejskiej — odpowiedziałem. — Chór ma próbę w kościele, w sali gimnastycznej ćwiczą koszykarze ze szkoły średniej, w salach wykładowych dzieci ze szkół publicznych uczą się religii, Marty Herlihy prowadzi kurs przedmałżeński, rada parafialna obraduje w biurze, w bibliotece trwa | turniej brydżowy, w piwnicy probostwa

naradza się Towarzystwo Świętego Wincentego i tak dalej... Wszystkiego nie pamiętam. Ale tak jest co wieczór.

Pat z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Czy po to cię wyświęcono, Kevin? Czy tak właśnie naucza się ewangelii w tej parafii?

— Cóż, nie umiem ci odpowiedzieć — westchnąłem. —Większość tych ludzi dobrze się bawi i nie potrzebuje mojej J pomocy. Zresztą sam widzisz. Cholera, oni w końcu utrzymują te budynki. Skoro chcą tu grać w koszykówki brydża, to ich sprawa.

— Pewnie masz rację. Tak powinien myśleć młody ksiądz. — Pat uśmiechnął się jednak lekceważąco. — Tak właśnie: to, co ja robię, jest najważniejszą rzeczą na świecie.

Gdy tylko jego samochód ruszył, popędziłem do pokoju, wyciągnąłem z teczki koperty i dokładnie przyjrzałem się liczbom znajdującym się na raporcie, który niemal wyszarpnąłem z koperty. Leo Mark bezustannie narzekał. Twierdził, że koszty utrzymania parafii wciąż rosną, a wpływy nie wystarczają na ich pokrycie. Jego roczny raport był wprost doskonałym przykładem wodolejstwa, aby nie było można wyciągnąć z raportu niczego konkretnego. Stopniowo jednak liczby zawarte w sprawozdaniu uzmysłowiły mi, że jest naprawdę źle. Nasza parafia z trudem wiązała koniec z końcem.

A ksiądz proboszcz nigdy głośno nie poprosi o więcej pieniędzy, bo w takim wypadku musiałby sporządzić szczegółowy raport finansowy dla parafian. Byłby to, jak powiedział mi wyniośle, pierwszy krok ku dopuszczeniu parafian do kontroli finansowej jego parafii. Zapewne powodem jego wahań było także to, że nie bardzo potrafił dociec przyczyny finansowego upadku i mógłby zostać uznany za nie nadającego się do prowadzenia parafii, zamieszkanej przez biznesmenów, ludzi, dla których umiejętność obchodzenia się z pieniędzmi i finansami jest najważniejszym elementem oceny człowieka.

Podsumowałem dochody z pierwszych czterech mszy niedzielnych z ostatnich trzech miesięcy.

Wikariusze regularnie liczyli pieniądze po każdej mszy w piwnicy probostwa, gdzie był skarbiec, nie mieli jednak polecenia sumować ich ani porównywać.

Od kilku miesięcy otwierałem nad parą wyciągi z naszego banku, przychodzące w poniedziałkowej poczcie, i spisywałem cotygodniowe „zastrzyki" parafii do amerykańskiego systemu bankowego. Wolno mi było jedynie wpłacać pieniądze, a po drodze z banku odbierać z pralni świeżo wyczyszczone sutanny, nie mogłem natomiast oficjalnie czytać wyciągów; to zadanie spoczywało na o wiele bardziej godnym zaufania Leonardzie Kasparze.

Nasza tygodniowa wpłata wynosiła zwykle około dwóch tysięcy czterystu dolarów, z czego tysiąc czterysta pochodziło z pierwszych czterech niedzielnych mszy. O siódmej rano kościół był niemal pusty, o ósmej zapełniony do połowy, a zatłoczony o dziewiątej, lecz głównie przez dzieci, które wrzucały do koszyków zwykle drobny bilon. Nigdy nie było pełno o dziesiątej na sumie. Ponad połowa parafian, w tym ci najbogatsi, przychodziła na dwie ostatnie msze. A jednak mieliśmy z nich co niedzielę tylko ponad tysiąc dolarów. Z tego tysiąca jakieś pięćset było zawsze w czekach. Pozostawało więc zaledwie pięćset dolarów gotówką od ponad dwóch tysięcy ludzi!

Datki z ostatnich dwóch mszy Kaspar zabierał do domu, tam je liczył, po czym późnym popołudniem wracał z nimi na probostwo, wypełniał przekaz bankowy na następny dzień i zamykał gotówkę w naszym wielkim, archaicznym sejfie. Proboszcz twierdził, że nie ma obawy, iż nastąpi jakaś kradzież, bo tylko kilka osób wie, że Kaspar liczy pieniądze w domu. A ja zaczynałem rozumieć, dlaczego Leonard przylatywał na każdą niedzielę do domu, nawet gdy był na wakacjach; to poświęcenie ze strony kościelnego proboszcz corocznie wychwalał na pasterce.

Udałem się do pokoju jedynego wikariusza, młodszego ode mnie.

— Marty — powiedziałem. — Czy mógłbyś wpaść do mnie na chwilę? Chciałbym ci coś pokazać.

Marty Herlihy był niskim, krępym młodym człowiekiem, o płonącym wzroku, jasnych włosach i wielkim zamiłowaniu do spędzania długich godzin na modlitwie w pozycji klęczącej. Miał jednak wesołe usposobienie i był bardzo ufny. Gdyby moje dowody przekonały go, stałby się moim nieocenionym sojusznikiem.

Opowiedziałem mu o swoich podejrzeniach, obserwując, jak jego oczy rozszerzają się ze zdziwienia, które przeradza się w złość. Po chwili pokazałem mu liczby.

— Dobry Boże, Kevin —jęknął cicho. — To może trwać już całe lata.

— I będzie jeszcze trwało, jeżeli tego nie powstrzymamy — odparłem gorzkim tonem.

Pokiwał głową.

— Proboszcz nigdy ci nie uwierzy. Mój brat jestw Kurii...

— Nie chcę iść tą drogą. To ostateczność. Teraz najważniejsza rzecz to zebrać niezbite dowody.

— Ale jak udowodnić tę kradzież? — zapytał, pocierając policzki. — To znaczy, nawet jeśli to wszystko jest absolutną prawdą, jak przekonamy proboszcza.

— To łatwe. Po prostu musimy potajemnie zsumować zawartość kopert z ostatnich dwóch mszy.

Odejmiemy to, co Kaspar wykaże jako wpływy z tych mszy w zestawieniu dziennym i już będziemy wiedzieli, ile zabrał.

Marty zmarszczył czoło. Zdawało się, że niechętnie podąża za tokiem mojego rozumowania.

— Ale Kaspar miesza koperty. Skąd będziesz wiedział, która pochodzi z której mszy?

— Nie ma problemu. Kiedy będziemy liczyli pieniądze z czterech pierwszych mszy, na kopertach zrobimy małe, niezauważalne dla Kaspara znaczki. Następnego ranka wydzielimy nie oznaczone koperty i policzymy, ile jest w nich pieniędzy.

— W ten sposób przyłapiemy złodzieja.

— Właśnie.

Przez chwilę milczeliśmy.

— Chyba to ci się podoba, Kevin, prawda? — usłyszałem. Marty nie oceniał mnie, po prostu pytał.

Wykorzystałem nieobecność proboszcza, aby zatelefonować do Ellen Curran i umówić się z nią i Timem na obiad u nich w mieszkaniu.

Ellen, która powitała mnie w progu, miała niezdrową cerę i wyraźnie przybrała na wadze. Jej włosy były proste jak druty i straciły połysk. Co gorsza, zniknął gdzieś blask jej dużych, szarych oczu. Zdołała uśmiechnąć się do mnie, ale wiele ją to kosztowało.

— Kevin — przynajmniej uścisk jej dłoni był ciepły, szczery, serdeczny — to wspaniale, że cię znów widzę. Zdaje się, że praca w parafii pochłonęła cię bez reszty, prawda? Co ty na to, Tim?

Uśmiech Tima był szeroki i niewymuszony, ale sam Tir wyglądał na przemęczonego, zestresowanego i był straszni) wychudzony. Uczęszczanie na kursy wieczorowe i prac przez cały dzień zrobiły swoje. Co chwilę tarł dłonią o dłor jakby obcierał je z wilgoci.

— Na Boga, ojcze Kevinie, tyle czasu się nie widzieliśmj Ostatni raz chyba na twojej pierwszej mszy. Wejdź do pokoju, usiądź, poznaj naszą córeczkę. Jest naprawdę1 piękna.

Karolina była rzeczywiście śliczna, żywa, tryskająca niespożytą energią sześciomiesięcznego bobasa.

— Bardzo udane dziecko — pochwaliłem.

— Ta mała cipka zawsze stawia na swoim — powiedziała Ellen, patrząc na swoją córeczkę wzrokiem pełnym uwielbienia. — A spania w nocy w ogóle nie uznaje.

— Nie powinnaś tak mówić o swojej córce, Ellen. — Tim łagodnie zwrócił jej uwagę. — To nie przystoi chrześcijańskiej matce.

Ellen nawet nie zareagowała; jakby Tim nic nie powiedział.

— Ma szare, piękne oczy swojej matki — odezwałem się, j aby przerwać ciszę, jaka zapadła po słowach Tima. — Nie i mogę oderwać od nich wzroku.

— A wiosną będzie miała braciszka — obwieścił Tim z dumą. — Proszę, jaką jesteśmy przykładną katolicką rodziną. Dwoje dzieci w ciągu dwóch lat.

— I dziesięcioro w dziesięć lat — dodała Ellen bez-] namiętnym tonem. — Ale, na razie porównamy Karolinę z córką Maureen, Sheilą, gdy ją ujrzymy w przyszłym' miesiącu.

Zanim zaczęliśmy rozmawiać o Haggartych, mała Karolina, ku wielkiemu zawstydzeniu swoich rodziców, zabrudziła moją marynarkę sporą dawką swego ostatniego posiłku. Wydawała się ogromnie zadowolona, gdy Ellen i Tim skakali wokół mnie, chcąc jak najdokładniej usunąć wszelkie plamy. Stanowczo też odmówiła opuszczenia wygodnego miejsca w moich ramionach, gdy Ellen starała się położyć ją w łóżeczku.

Przed obiadem nic nie piliśmy, ponieważ Tim wyrzekł się alkoholu i nie wyraził entuzjazmu wobec mojej propozycji, aby otworzyć butelkę białego wina, którą ze sobą przyniosłem do piątkowej ryby.

— Cholera, ale z ciebie teraz abstynent! — roześmiałem się głośno, chcąc ukryć coraz bardziej ogarniającą mnie złość. W mieszkaniu czuć było przypalo-

nym mięsem. Meble robiły wrażenie zniszczonych, a dywany brudnych. — Dawniej nie darowałeś żadnej puszce piwa.

Tim pochylił się w moją stronę i znów potarł ręce.

— Wówczas ani mi do głowy nie przyszło, jak wielkie pieniądze tracę na alkohol. Nie mogę teraz sobie tego wybaczyć. — Z rezygnacją rozłożył ramiona.

Timmy, pomyślałem, co się z tobą stało?

— Czy oglądałeś ostatnio jakieś dobre filmy, Kevin? — zapytała Ellen, gwałtownie zmieniając temat rozmowy.

— Powinnaś zwracać się do niego „ojcze Kevinie". — Znów ta cicha, łagodna reprymenda. — Przecież jest księdzem. I ponownie Ellen nie zareagowała.

— Porozmawiajcie sobie o starych czasach — rzuciła — a ja pójdę do kuchni przygotować naszą rybę. Ojcze Kevinie, jeśli ta mała psotnica będzie sprawiała ci jakiekolwiek kłopoty, połóż ją do łóżeczka. Zareaguje wrzaskiem, ale to jej dobrze zrobi na płuca.

Wychodząc do kuchni, dłonią potarła policzek Tima.

— Kochanie, nie pozwól mu zjeść zbyt dużo krakersów, bo straci apetyt.

Tim uśmiechnął się szeroko i zaczai wspominać naszą drużynę koszykówki z gimnazjum jezuitów. Ser i krakersy nie mogły odebrać mi apetytu na rybę. Ten pierwszy, niedawno wyciągnięty z lodówki, był twardy jak kamień, a ciasteczka suche i stare.

Okoń i ziemniaki nie były lepsze; wszystko gotowało się zbyt długo, głównie dlatego, że Karolina zrobiła kupkę w najmniej odpowiedniej chwili. Jedynie wino smakowało normalnie. Jedliśmy w kuchni — w tym mieszkaniu nie byłojadalni. Rozmawialiśmy o Chruszczowie i Castro, którzy wystąpili na forum Zgromadzenia

Ogólnego ONZ; Tirn uważał, że Stany Zjednoczone powinny opuścić tę organizację. Oboje Curranowie zgodzili się, że Maureen miała rację i w przyszłym roku John Kennedy powinien uzyskać nominację swojej partii.

W końcu rozmowa zeszła na śmiałe plany Tima.

— Zamierzamy kupić dom w River Forest, no i letni domek nad jeziorem, niedaleko rezydencji twojej rodziny. Ellen niedługo będzie najlepiej ubraną kobietą w całej parafii. Ma gust, a wkrótce będzie miała i pieniądze.

— Najważniejsze — dodałem — że ma wspaniałą rodzinę i córkę, która z pewnością wyrośnie na piękną księżniczkę.

Powtórzyłbym to jeszcze z tysiąc razy, żeby jeszcze tysiąc razy zobaczyć te jasne ogniki, które na chwilę błysnęły w jej pięknych oczach.

— To samo mówię Timowi, ojcze Kevinie. Nie ma nic piękniejszego niż rodzina. Tim zatarł ręce.

— Będziesz miała i inne rzeczy, kochanie — powiedział.

— Jaką pracę zamierzasz podjąć, gdy skończysz prawo? — zapytałem Tima.

— Mam nadzieję dostać się do jakiejś firmy prawniczej o powiązaniach politycznych — odparł szczerze. — Może moglibyśmy zrobić coś dla Chicago? Dla dobrego prawnika to nic trudnego.

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Odebrał Tim, lecz wkrótce powrócił do nas wyraźnie przygnębiony. Jutro, zamiast malować kuchnię, będzie musiał pójść do pracy.

— Ale w końcu — pocieszał się — bardziej potrzebujemy pieniędzy niż eleganckiej kuchni, prawda, kochanie? Gdy ojciec Kevin odwiedzi nas następnym razem, będziemy już mieli nową, lśniącą, świeżo wymalowaną kuchnię.

Wyszedłem od nich wcześnie, wymawiając się koniecznością odprawienia mszy o osiemnastej trzydzieści, a później odmówieniem brewiarza. Faktycznie

mszę miałem o dwudziestej czterdzieści pięć: po prostu zabrakło już tematów do rozmów z Timem i Ellen.

Tim z szacunkiem poprosił mnie o błogosławieństwo dla jego rodziny. Ellen wyciągnęła z łóżeczka spokojnie śpiącą Karolinkę. Matka i ojciec uklękli obok siebie, ramię przy ramieniu.

Pobłogosławiłem ich, prosząc w duchu Boga, żeby uczynił dla nich to, czego ja nie jestem w stanie zrobić. Po „amen" rodziców Karolina zaczęła płakać.

Już w drzwiach Tim objął żonę wokół talii i powiedział:

— Mam nadzieję, że szybko znów cię ujrzymy, ojcze Kevinie. To wielki dla nas zaszczyt gościć cię w tym domu. Przyrzeknij nam, że wkrótce się tu znów pojawisz.

— Przyrzekam — skłamałem. Smutny wyraz twarzy Ellen powiedział mi, że mnie rozszyfrowała.

— Najgorsze w tym wszystkim jest to — mówiłem następnego dnia przez telefon do matki — że ona wie, iż dokonała złego wyboru. Widziałem łzy w jej oczach, gdy od nich wychodziłem. Jeśli długo będzie oszukiwać samą siebie, że wszystko się ułoży...

— Dlaczego wszystko widzisz tak czarno? — zapytała moja matka z niecierpliwością, której zwykle nie ujawniała wobec swego pierworodnego syna. — Daj im trochę czasu. Będzie dobrze...

— Wczoraj wieczorem nic na to nie wskazywało.

— Ich małżeństwo przeżywa po prostu trudne chwile, mój drogi. Wiele kłopotów z jednym dzieckiem, drugie w drodze... Jestem pewna, że bardzo się kochają.

— Ellen jest przykro z powodu Tima...

— To część uczucia, to miłość. Ellen jest bardzo silną kobietą i łatwo się nie podda. Poczekaj, niech tylko zakosztują trochę swobody, niech zrzucą z siebie trochę kłopotów, ich małżeństwo odżyje.

Mimo wszystko byłem innego zdania.

— Co mam robić? — zapytałem.

— Bądź ich dobrym przyjacielem. Często ich odwiedzaj, jadaj z nimi obiady albo kolacje, doradzaj, pocieszaj.

Zamierzałem posłuchać rady matki. A jednak telefon do Curranów odłożyłem na później.

Po południu w najbliższą środę, przy dokładnie zamkniętych drzwiach do mojego pokoju, żeby siostra proboszcza, która była gosposią, nie mogła podsłuchać, razem z Martym podsumowaliśmy niedzielne ofiary. Dużą pomocą okazała się stara maszyna do liczenia.

— Tysiąc pięćset dolarów, nie licząc czeków i drobnych monet — powiedziałem.

— To również da przynajmniej pięćset dolarów — odrzekł Marty głosem drżącym z przejęcia.

— A więc tysiąc dolarów co niedzielę, pięćdziesiąt tysięcy każdego roku, od jak dawna? — zapytałem, zaciskając pięści.

— To jest warte coniedzielnych, nawet lotniczych powrotów do domu, prawda? A one ze złodzieja robią bohatera! — Marty był jeszcze bardziej wściekły niż ja. — Jak się za to zabierzemy?

— Będziemy powtarzać naszą robotę co niedzielę, aż do Bożego Narodzenia. W Boże Narodzenie też popracujemy, żeby dowiedzieć się, ile bierze wtedy. A potem pójdziemy z tym do Leo. Jeśli nam nie uwierzy, w co jednak wątpię, będziemy musieli zwrócić się do twojego brata.

TLR

— W porządku, Kevin, ale jeśli po mieście rozniesie się, że zrobiłeś coś takiego Leo Markowi, nigdy nie zostanie ci to wybaczone. Wiesz, jak bardzo jest szanowany.

— Jeśli ta historia wyjdzie na jaw, już nie będzie — odparłem. — Poza tym, co mnie obchodzi, co inni o mnie powiedzą? Czyż nie ważniejsze jest moje sumienie?

Przez pierwsze dwa tygodnie listopada gościliśmy w parafii misjonarzy, dwóch wysokich, krzywo uśmiechających się facetów w błękitnych habitach i czarnych płaszczach. Codziennie wieczorem, a w niedzielę nad ranem grzmieli z ambony o grzechu, śmierci i piekle, poruszając co wrażliwsze sumienia i czyniąc małżeńskie łoża zimnymi jak lód w reakcji na surowe oskarżenia o „cielesne uciechy" i „świntuszenie". Dwóch wikarych musiało misjonarzom ustąpić miejsca w swoich pokojach w pierwszym tygodniu ich rekolekcji, a dwóch kolejnych w drugim. Marty postarał się, aby wziąć wolne w pierwszym tygodniu, ja miałem wolny drugi tydzień, a więc przez cały czas jeden z nas miał oko na niedzielne koperty.

TLR

Pierwszy tydzień przeminął niczym jakiś surrealistyczny horror. Co dziwne, ofiarami misjonarzy stali się przede wszystkim mężczyźni; każdego wieczoru po kazaniu i każdego poranka podczas mszy wysłuchiwałem grzechów, które popełnili od samego urodzenia. Wiele potu i sił straciłem, przekonując z ciasnego pudła konfesjonału, że Bóg nie jest bynajmniej surowym prokuratorem ścigającym ich za wszystko, co tylko czynią. Zadanie było utrudnione, głównie dlatego, iż misjonarze z miejsca zyskali opinię ludzi świętych i mądrych; bardziej świętych i mądrzejszych od jakiegoś tam młodego, rudego wikarego, do którego już zdążyła przylgnąć opinia radykała.

Mimo że mężczyźni z parafii byli przeważnie biznesmenami i dobrze prosperującymi, inteligentnymi urzędnikami, wychowanie religijne sprawiło, że ich podejście do problemu grzechu i Boga przesycone było zabobonami i wiarą w magię. Zresztą tego właśnie misjonarze sobie życzyli.

— Zdarzają się tutaj bardzo złe spowiedzi — powiedział do mnie jeden z nich, o długich siwych włosach, upijający się co wieczór na probostwie. — Poprzedniego wieczoru słuchałem mężczyzny, który nie odbył dobrej spowiedzi od pięćdziesięciu lat. Cóż za świętokradztwo! — Wykrzyknąwszy, pociągnął spory łyk taniego bourbona.

Ja upiłem tyleż pepsi.

— Zdaje mi się, że to wstyd, iż nie dajemy Bogu radości, jaką by mu sprawiło karanie tych wszystkich świętokradców — stwierdziłem.

— A mnie się zdaje — burknął misjonarz — że stwierdziwszy, iż w parafii mają miejsce tak fatalne spowiedzi, nie sposób nie zastanawiać się nad kompetencją pracujących tu księży.

Leo aż pobladł.

— To dotyczy wikariuszy, nie proboszcza — rzuciłem, wstając, aby odebrać telefon, który

właśnie zadzwonił. —To oni wysłuchują tych świętokradczych spowiedzi od pięćdziesięciu lat. Telefonowała Monika Kelly.

— Czy ci faceci poupadali na głowy, ojcze? — zapytała. —-Pete powiedział mi, że nie może

pocałować mnie na dobranoc, bo jeśli to zrobi, jego wargi będą płonęły przez całą wieczność. Hej, ojcze, aż taki namiętny to on nie jest!

Pete był prezydentem Klubu Nastolatków i aktualnym chłopakiem Moniki.

— Przekaż koleżankom i kolegom, Moniko, że nie powinni wierzyć w ani jedno słowo z tego, co wygaduje tych dwóch, szczególnie, gdy twierdzą, że aby kochać Boga, trzeba być księdzem albo zakonnicą. Mów, że tylko ojca Herlihy'ego i mnie należy słuchać. Jesteśmy nieomylni, tak jak papież. Czy mnie zrozumiałaś?

— Tak, ojcze — odparła z powątpiewaniem. — ciężko przestraszyli naszych chłopaków.

— Powiedz chłopakom, żeby przyszli do mnie jutro szkole. O piątej. Spotkamy się w bibliotece.

Dziewczęta niech nie przychodzą. Wami zajmę się następnego dnia. W porządku?

— Tak, w porządku. Powiem wszystkim. Ojcze, czy naprawdę całowanie nie jest grzechem? No, przynajmniej jeśli się tego nie robi zbyt długo?

— Moniko, możesz całować Pete'a całymi godzinami i nie popełnisz nawet lekkiego grzechu.

Zachichotała.

— Nie byłabym tego taka pewna.

Pat zaproponował, że zawiezie mnie na lotnisko, na samolot do Nowego Jorku. Oszczędziło to Mary Ann i Pułkownikowi długiej jazdy na South Side.

Wyglądał jednak nieszczególnie.

— Kevin, jestem twoim dłużnikiem i wiem, że nie zdążę ci się odwdzięczyć przez całe życie.

Chociaż w części chciałbym ci się odpłacić tym, co teraz powiem. Być może zabrzmi to wręcz odwrotnie... — zawahał się.

— Strzelaj.

— Cóż, pewni ludzie z twojej parafii, orientując się, że Jesteśmy przyjaciółmi, zwrócili się do mnie, żebym z tobą porozmawiał... o twojej postawie, podejściu do obowiązków... Chcieliby to zmienić, więc poprosili mnie o pomoc.

— Kasparowie, Tanseyowie i Carreyowie — powiedziałem. W nagłym olśnieniu uświadomiłem sobie, skąd mogą pochodzić nowe spinki do mankietów Pata i samochód, którym właśnie jedziemy.

— Tak, a w szczególności Len Kaspar, który jest nam, wikariuszom, bardzo życzliwy. Ostatnio pokrył część wydatków związanych z naszymi spotkaniami. A przecież nie ma nawet połowy tych pieniędzy, co Arnold albo John.

— Jak miło z jego strony! — zawołałem z sarkazmem, którego Pat nie mógł zrozumieć. Nasze pieniądze idą na wykłady o nawracaniu Murzynów i na samochód dla Pata.

— Jeśli chcesz, żebym przestał...

— Mów dalej.

Podrapał się po głowie, wykrzywił twarz i zatrzymał samochód przed światłami na 67. Ulicy.

— To bardzo szerokie oskarżenie. Nie będę wydawał żadnych sądów...

— Wiem, że nie będziesz.

— Uważają, że nie darzysz szacunkiem Leo Marka, że z pogardą odnosisz się do bogatszych parafian, że forsujesz radykalne zmiany w liturgii, że zbyt wiele modlisz się w intencji zrównania praw wszystkich ras, że chciałbyś zawładnąć parafią i kierować nią według swoich pomysłów.

— Jestem winny na całej linii — stwierdziłem. — Idź do nich i powiedz im, że przyznałem się do wszystkiego i że absolutnie nie mam zamiaru zmienić swojego postępowania.

Zatrzymaliśmy się przed terminalem United Airlines. Wysiadłem z samochodu i zabrałem torbę z tylnego siedzenia.

— Czy to prezent od Kaspara? — Wskazałem na auto.

— Tak, od niego. Mój stary samochód kompletnie się rozsypał i nie miałem dość pieniędzy...

— Tak myślałem. — Trzasnąłem drzwiczkami i ruszyłem w kierunku terminalu.

Przed powrotem z Nowego Jorku po tygodniowych wakacjach wsiadłem w pociąg do Bostonu, by odwiedzić Maureen.

Sheila jest uroczą, małą dziewczynką, zupełnym przeciwieństwem żywej i ruchliwej Karoliny.

Gdy już ją dokładnie obejrzałem, bez protestów pozwoliła, abym zwrócił ją do rąk dostojnej i bardzo otyłej niani, która odprowadziła ją do jakiegoś spokojnego i cichego zakątka domu, skąd jej ewentualne krzyki, płacze i ataki złego humoru nie będą słyszalne dla dorosłych, pragnących w spokoju porozmawiać. Matka Sheili również stanowiła ogromny kontrast wobec matki Karoliny: zadbana, szykowna, wyglądała wręcz uroczo w dwuczęściowej sukni. Maureen, która nie ukrywała swej ekscytacji nabierającą coraz większego rozpędu kampanią polityczną, zasiadła przy pięknym antycznym stoliku w swym eleganckim mieszkaniu w Back Bay, przybierając pozę, jakby co najmniej ćwiczyła rolę waszyngtońskiej hostessy.

— Uda nam się, Kevin! — Trzasnęła pięścią w stół. — Jack Kennedy uzyska nominację i wygra wybory. Burke za dwa lata zasiądzie w Kongresie, otrzymamy największy procent głosów, jaki dotąd zanotowała historia wyborów. W wyborach uzupełniających miejsce Jacka wygra Burke i zostanie nowym senatorem Stanów Zjednoczonych z okręgu Massachusetts.

— A ty przeniesiesz się do Waszyngtonu. Jak Burke j radzi sobie podczas kampanii? Zmarszczyła czoło.

— Nie jest w tym najlepszy na świecie. Oczywiście, mai! tutaj wiele niedoścignionych przykładów do naśladowania: Jacka albo Bobby'ego. Liczy się jednak dopiero to, co będzie robił, kiedy zostanie wybrany.

Nie zapytałem, ile alkoholu już dzisiaj wypiła, chociaż miałem na to wielką ochotę.

— Zdaje się, że uczestniczysz w kampanii, podobnie jak kobiety od Kennedych.

— Oczywiście. To jest niezwykle przyjemne. — Rozpromieniła się na chwilę. — Niektórzy mężczyźni mówią, że nawet jestem lepsza od Jean czy Eunice, a już z pewnością nie można zachowywać się gorzej od

Jackie.

—-A co ty sama sądzisz o swoim zachowaniu?

— Mówię wszystkim, że jestem dobra, ponieważ pochodzę z Chicago. To ucina dyskusję. Czy myślisz, że burmistrz Daley zdobędzie Chicago dla Jacka? Niektórzy doradcy Burke'a mówią, że Daley nieco obawia się anty-katolickiej rewolty...

— W Cook County — roześmiałem się. — Oczywiście, że Daley wygra w Chicago... dla Jacka, jeśli będzie pewien, że Kennedy nie przegra. My w Chicago nie popieramy straceńców. Mój ojciec mówi, że Daley jest tak katolicki jak sam papież, a może jeszcze bardziej. Oczywiście, że poprze Kennedy'ego.

— Skoro już wspomnieliśmy papieża — powiedziała, a jej anielska twarz niespodziewanie zmieniła wyraz. Palcami zaczęła nerwowo bębnić po stoliku. — Co się dzieje z moim przyjacielem, papieżem z West Side? Nie należy do ludzi, którzy lubią pisać listy.

— Jest bardzo zajęty. Naprawia Kościół i ostrzega wszystkich przed niekompetencją papieża Roncallego — odparłem, uważnie przypatrując się Maureen. — Myślę, że zajdzie bardzo daleko. Powiem ci jeszcze coś: od czasu, gdy powrócił z Rzymu, odnowił kontakty ze wszystkimi przyjaciółmi ze szkoły. Jest znów jednym z nas.

— I zastąpił cię na pozycji lidera, Kevin? — rzuciła, zabawnie poruszając brwiami.

— Ustąpiłem z niej, gdy miałem dziewiętnaście lat. Oparłszy łokcie na stoliku, Maureen pochyliła się ku mnie.

— Czy przypuszczasz, że on chce zostać biskupem? Pamiętam, kiedy przyjechał tu latem, był w swoim żywiole. — Gwałtownie odsunęła krzesło i zaczęła

nerwowo spacerować po pokoju, niczym lew w klatce. — Musiałbyś go widzieć, jaki był czarujący w Hyannis. A przecież rodzina Kennedych przyzwyczajona jest do takich złotoustych księży. Kilka uśmiechów, chłopięcy śmiech, parę dowcipów i wszyscy jedli księżulkowi z ręki. A on to bardzo lubi. Lubi przebywać w towarzystwie bogatych i potężnych.

— A któż tego nie lubi? Nie słuchała mnie.

— Kocham tego chłopaka, ale zdaje się, że on nie potrafi przeciwstawiać się pokusom. Pieniądze, władza, przyjemności budzą w nim mroczne demony. Albo te demony opuszczą go wśród jego ubogich parafian, albo go zniszczą.

— Mroczne demony? Obawiam się, że nie...

— Daj spokój, Kevin, one trapią nas wszystkich. Patj znajduje się obecnie w punkcie zwrotnym swojego życia, S w połowie drogi do całkowitego skorumpowania... No, nie f patrz na mnie w ten sposób. Naprawdę tak jest. Jeśli go nie i powstrzymasz, zapomni o swojej parafii i pójdzie za bogatymi, ku władzy. Wówczas wszyscy będziemy mieli kłopoty, a on sam, największe.

— Myślę, że przesadzasz.

Jakby zmęczyła się rozmową o Patricku Donahue, nagle zmieniła temat.

— A co słychać u Ellen? Jej listy wiele mi nie mówią.

— Znów jest w ciąży, ale to im chyba nie pomoże...

— Ja też uważam, że to małżeństwo długo nie potrwa — stwierdziła przerywając mi.

— Mimo że oboje bardzo się kochają, zdaje się, iż czegoś jakby między nimi brakuje.

— Myślisz, że problemem jest seks? — Usiadła przyj stoliku. Kucharka właśnie podawała nam obiad. — Och,; Ellen nie wspomniała mi o tym, ale to może być właśnie seks. Ellen jest romantyczną marzycielką, a oni oboje są tacy niewinni... To znaczy, tak niewiele wiedzą o seksie.

Myślę, że kiedy Tim Curran po raz pierwszy zobaczył jej małą, biedną cipkę, nie bardzo wiedział, jak się za nią zabrać.

— Mam nadzieję, że czas będzie jednak pracował na ich korzyść. Potrzebują trochę spokoju i

szczęścia — powiedziałem.

— Czyż my wszyscy tego nie potrzebujemy? — zapytała Maureen, odsuwając talerz i sięgając po kieliszek z winem.

W Logan Airport, oczekując na samolot do Chicago, rozmyślałem o tych wszystkich rzeczach, które oprócz seksu decydują, że małżeństwo bywa nieudane. W samolocie skoncentrowałem się już na prostszej rzeczy: konieczności ujawnienia oszustw Leonarda Kaspara.

Dopiero w samochodzie jadącym na probostwo przypomniałem sobie, że zapomniałem pobłogosławić Sheilę Haggarty, kiedy opuszczałem mieszkanie jej matki w Bostonie. Maleństwo przypuszczalnie potrzebowało wszelkich możliwych błogosławieństw.

TLR

1959

Wielkie zimowe burze objęły Chicago w posiadanie, i Twarze przechodniów śpieszących Michigan Avenue były j ściągnięte mrozem i zatroskane. Nikt nie zadawał sobie] trudu, aby unieść wzrok i popatrzeć na niedawno ukończoną wieżę Hancock ze stali i szkła, wbijającą się w chmury niczym Wieża Babel. Oba lotniska były zamknięte: zarówno l Midway, jak i nowo otwarte O'Hare. Len Kaspar nie będzie l mógł powrócić do Chicago z Florydy. Byłem pewien, że go mamy. Schemat jego kradzieży był śmiały, lecz niezbyt inteligentny. Tylko taki tępak jak Leo mógł się dać nabrać. Ale wcale nie było pewne, że następcą Leo nie zostanie również ktoś ograniczony.

Pierwsze trzy msze z powodzeniem odbyły się bez kościelnego. O dziesiątej, akurat podczas pięknych chóralnych śpiewów, słońce przebiło się przez chmury.

Ostatnia msza rozpoczęła się o dwunastej piętnaście, a Lena Kaspara wciąż nie było na stanowisku przy głównym wejściu do kościoła.

— Szef ma poważny problem. Zastanawia się, kto policzy pieniądze — powiedział Marty. — Wystarczy więc, że zgłosimy się na ochotnika.

— Nie ma pośpiechu — odparłem. — Jeśli będziemy .j działali zbyt gorączkowo, możemy wszystko popsuć.

Pięć minut po pierwszej pojawił się Leonard Kaspar;! spokojny, uprzejmy i rozluźniony.

Przeprosił proboszcza, tłumacząc swoje spóźnienie fatalną pogodą, a po chwili ze skromnie spuszczoną głową przyjął pochwałę Leo Marka za pełną oddania, wierną służbę.

Jeszcze tego samego popołudnia znalazłem się w gabinecie mojego ojca. Patrzeliśmy przez okno na śnieg gromadzący się na trawniku przed domem.

— Niewiarygodne — stwierdził, gwałtownie zaciągając się aromatycznym dymem z fajki. — Absolutnie nieprawdopodobne. Jakim doskonałym policjantem mógłbyś być, Kevin. Chociaż, w gruncie rzeczy, jesteś równie doskonałym księdzem — dodał. Te ostatnie słowa przyszły mu na usta raczej z trudem.

— Prokuratorze, na czym stoimy? — zapytałem. Zmarszczył czoło i zmierzwił swoje siwe włosy.

— Twoje dowody są dość słabe, synu. Masz podstawy, aby sądzić, że w czasie kiedy to sprawdzałeś, pieniądze bywały kradzione. Jeśli zaś chodzi o minione dziewięć lat, wszystko ogranicza się do mglistych analogii i przypuszczeń. Ława przysięgłych prawdopodobnie wydałaby wyrok skazujący na podstawie dowodów, które posiadasz, pod warunkiem, że byłbyś w stanie doprowadzić do procesu przed ławą przysięgłych. Jeśli pójdziesz na policję, z pewnością zechcą wszystko sprawdzić, ale od razu na początku cała sprawa wymknie ci się z rąk.

Może przerodzić się w wielce ambarasujący skandal, który przyniesie wiele zła parafii i Kościołowi.

Prawdopodobnie pogrzebałoby to twojego proboszcza, a tego chyba nie chcesz.

— A więc mamy nastraszyć Kaspara, odkryć karty i potem już siedzieć cicho? — zacząłem nerwowo krążyć po pokoju.— Tak — odparł ojciec. — Jeśli w sprawę wmieszany jest Tansey, pamiętaj, że walczysz z bardzo silnym mężczyzną. Doskonale się chyba orientujesz, że jego i moje interesy są potencjalnie sprzeczne.

— Czy nie można pokonać Tanseya?

— Można, myślę, że można. Nie ma człowieka, którego by nie można pokonać. Skandal z pewnością nim wstrząśnie, a facet na razie chełpi się, że jest pobożny i czysty jak łza.

Pułkownik zatelefonował do mnie następnego popo-hidnia.

— Inwestycje i nieruchomości Kaspara na Florydzie warte są co najmniej dwa miliony dolarów — usłyszałem. —-Facet ma dość pieniędzy, żeby porzucić parafię chociażby jutro i żyć w dostatku przez długie lata.

— A to drań — jęknąłem.

Właśnie przebierałem się po zajęciach z piłki siatkowi z dziewczętami, gdy do mojego pokoju wpadł Marty Hej lihy.

— Przeliczyłem kopertę z niedzieli — powiedział pocj ekscytowanym głosem. — Wczoraj wziął tysiąc dwieście dolarów. Jak długo jeszcze będziemy na to pozwalać?

— Dopóki nie popełni błędu — odpowiedziałem chłc no. — Wszystko odzyskamy, bądź spokojny. Kaspar jest właścicielem wielu nieruchomości na Florydzie.

— A co będzie, jeśli nie odda pieniędzy?

— Odda — odparłem z przekonaniem. — Wystarczy, że pogrozimy mu widmem kontroli skarbowej.

— Ale to będzie szantaż! — Oczy Marty'ego aż rozszerzyły się, taki był zaskoczony.

— Co z tego, grunt, żebyśmy odzyskali z powrotem pieniądze — stwierdziłem.

Boże Narodzenie to koszmar dla wikarego. Oznaczał przede wszystkim blisko dwunastogodzinne posiedzenia w konfesjonale, polegające na zwalczaniu lęków, które i zdążyli zaszczepić parafianom listopadowi misjonarze. Kulminacją wszystkiego jest pasterka, przeciągająca się do drugiej w nocy. W tym roku aż czterdzieści pięć minut zajęła gromka homilia Leo Marka, w której głównie dziękował wszystkim za współpracę i modlitwy. Wszystkim, z wyjątkiem wikariuszy i Dzieciątka Jezus. W dzień Bożego Narodzenia musieliśmy być na nogach od szóstej i wzajemni pomagać sobie w rozdawaniu komunii podczas porannych mszy, a potem liczyć pieniądze z bożonarodzeniowej zbiórki. Corocznie proboszcz traktował Boże Narodzenie jako

referendum, w którym parafianie wyrażali swoje poparcie dla niego i jego administracji. Jeśli kwota pieniędzy była wyższa w stosunku do poprzedniego roku, stwierdzał, że parafianie go aprobują. Jeśli utrzymałaby się na tym samym poziomie lub zmniejszyła, uważałby, że stracił zaufanie. Co roku przed Bożym Narodzeniem bywał bardzo nerwowy w obawie przed negatywnym „werdyktem".

Oczywiście, co roku zebrana kwota była wyższa.

Tego dnia Len Kaspar liczył pieniądze tylko z ostatniej mszy.

O trzeciej po południu zebraliśmy się w piwnicy probostwa. Podczas gdy chrześcijańskie rodziny jadły obiad, my liczyliśmy ich pieniądze. Leo Mark wyglądał, jakby za chwilę miał go dopaść atak serca; spisywał liczby, które poda-

wał mu Len Kaspar — grzeczny, elegancki, opalony, w nowych butach i w nowym garniturze.

Leo Mark szybko dodawał kwoty. W końcu zaczął trząść głową z niedowierzaniem. Otrzymany wynik sprawdził jeszcze raz i z wielką otuchą uniósł do góry wyraźnie zadowoloną twarz.

— Sześć tysięcy dolarów! Dwa i pół tysiąca więcej niż w ubiegłym roku — wyrecytował z dumą.

— Gratulacje. — Len również był szczęśliwy. — Ludzie znów obdarzyli księdza zaufaniem.

Tym razem na mnie przypadła kolej przeniesienia pieniędzy do banku. Nie mogliśmy ryzykować pozostawienia ich na święta w parafialnym sejfie. Jakiś nieszczęsny urzędnik czekał już na mnie.

Musiał zrezygnować ze wspólnego bożonarodzeniowego posiłku z rodziną, aby przyjąć depozyt parafii. W drodze szczególnego wyjątku młodemu wikariuszowi, odpowiedzialnemu za cenny depozyt, pozwolono skorzystać z cadillaca należącego do Leo Marka; alternatywą był półtoramilowy marsz przez zaspy, z kilkoma tysiącami dolarów w torbie zawieszonej na szyi.

Następnego dnia Marty zdał mi relację ze swoich obliczeń.

— Atmosfera Bożego Narodzenia musiała rozmiękczyć serce Kaspara. Ukradł wczoraj zaledwie pięćset dolarów.

— Z trudem wystarczy mu na zapłacenie tego szytego na miarę garnituru — zauważyłem.

W niedzielę po Nowym Roku miałem odprawić dopiero sumę o godzinie dziesiątej. Mogłem pospać do dziewiątej gdyż moim pierwszym obowiązkiem była pomoc przy rozdawaniu komunii o dziewiątej trzydzieści. Coś takiego martwiło proboszcza, jednak mimo widocznych wysiłków nie potrafił wynaleźć żadnych obowiązków przed dziewiątej rano dla kapłana odprawiającego sumę.

Zwykle nie sypiać długo, jednak w takiej sytuacji za punkt honoru przyjęto pozostanie w łóżku aż do ostatniej chwili.

O dziewiątej czterdzieści pięć, kiedy Marty zdążył już skończyć swoją mszę, ja jeszcze szeroko ziewałem. Bóg mnie pokara, pomyślałem. Na zewnątrz, wśród spokojnego, mroźnego powietrza, wysoko w górę strzelały białe dymy z okolicznych kominów; przypominały dymy z indiańskich ognisk palonych na preriach.

— Nie ma go — powiedział Marty, wpadając do mnie bez tchu.

— Kogo nie ma?

— Kaspara. Znów został na Florydzie. Telefonował. Lotnisko w Miami jest zamknięte i Kaspar prawdopodobnie wróci dopiero późnym popołudniem. Zapewnił Leo Marka, że policzy pieniądze wieczorem.

— A więc?

— Cóż, Leo Mark zdenerwował się. Jeśli forsa nie zostanie policzona do trzeciej, będzie to poważne naruszenie planu dnia. Jest szansa, że my będziemy musieli dziś to zrobić.

— Dzisiaj musimy policzyć pieniądze sami. — Proboszcz spojrzał na swój złoty zegarek i powstał zza stołu. Dwóch starszych wikariuszy wymówiło się od tego obowiązku. W pokoiku został tylko Leo Mark, Marty i ja. Powoli zaczęliśmy otwierać koperty.

Ręce mi się trzęsły.

O trzeciej liczenie było skończone.

— Dwa tysiące trzydzieści pięć dolarów — oświadczyłem, układając małe zielone papierki w równe kupki. — W tym czeki.

— Mniej niż w zeszłą niedzielę — stwierdził proboszcz. — Cóż, ludzie są na zimowych urlopach.

Nie zdają sobie sprawy, że Kościół cierpi z powodu ich dobrobytu.

— To była kwota tylko z dwóch ostatnich mszy — oznajmiłem głucho.

Marty był blady jak kreda. Palcami wyrysowywał przedziwne kompozycje na stole.

— To pomyłka — stwierdził proboszcz. — Musiałeś coś pomieszać z porannymi mszami.

Postawiłem torbę z pieniędzmi na stole.

— Niestety, nie. Pieniądze z czterech pierwszych mszy są tutaj — stwierdziłem.

Niczym z rogu obfitości wysypałem na stół zielone banknoty i stos czeków.

Leo sam przeliczył wszystko jeszcze raz na maszynie do liczenia, osobno dodając wszystkie czeki i osobno gotówkę.

— To musi być jakaś pomyłka — mruczał. Jego twarz była szara jak popiół. — Przecież tutaj są ponad trzy tysiące dolarów, a w Kościele było mniej ludzi niż zazwyczaj. To przecież wakacyjna niedziela.

— Także pierwsza niedziela, od ilu lat, od dziesięciu? kiedy Len Kaspar nie liczył pieniędzy, jakie otrzymaliśmy na dwóch ostatnich mszach. — Powiedziawszy to, zacząłem pilnie wpatrywać się w fabryczną nalepkę urządzenia klimatyzacyjnego umiejscowionego w jednym z okien.

— To są zuchwałe słowa — stwierdził Leo Mark Rafferty. W tę wypowiedź nie włożył ani odrobiny serca. Słyszał już wiele o zaufanych kościelnych, którzy okazywali się złodziejami.

— Proszę spojrzeć na nasze zapiski. — Wyciągnąłem notatki z ostatnich czterech miesięcy. — Proszę zauważyć, że z naszych wpłat do banku wynika, iż z dwóch ostatnich mszy uzyskujemy mniej pieniędzy niż z pierwszych czterech. Nie potrafiłem sobie wyjaśnić, dlaczego tak się dzieje.

Myślę, że teraz odpowiedź jest oczywista.

Był tak przejęty, że nie zapytał mnie, skąd mam te dane.

— Co powiedzą moi przyjaciele, kiedy się o tym dowiedzą? — jęknął Leo. — Moja reputacja jako administratora parafii będzie zrujnowana. Musimy to zachować w tajemnicy. — Niemalże się trząsł. — Nigdy nie odzyskamy tych pieniędzy. Wyrzucę Lena na zbity pysk i... musimy milczeć. Nikt się nie może dowiedzieć.

— Oczywiście, nie odzyskamy wszystkiego — wtrąciłem się. — Ale przynajmniej część. Myślę, że możemy utrzymać sprawę w sekrecie. Ale jeśli Kaspar nie zechce zwrócić pieniędzy, o sprawie dowie się Kuria Arcybiskupia i proku-, rator stanowy. W przeciwnym wypadku gryzłoby mnie i sumienie. A ciebie, Marty?

Marty tylko pokiwał głową.

Leo Mark zaczął kaszleć. Kaszlał tak gwałtownie, że już zacząłem się o niego obawiać, gdy nagle do pokoju wszedł Leonard Kaspar. Zatrzymał się o kilka kroków od drzwi.

— Co się tu dzieje? — zapytał z fałszywą słodyczą w głosie.

— Od tej chwili nie jesteś już kościelnym w mojej parafii — wyszeptał proboszcz, dopinając guziki swojej sutanny w rozpaczliwym wysiłku zachowania resztek godności.

Chociaż wypielęgnowane wąsy zadrżały mu na twarzy, Kaspar zachował spokój.

— To była pierwsza niedziela od dwunastu lat, której nie spędziłem w parafii. Czy jest to dostateczny powód, aby; mnie wyrzucić? — zapytał urażonym tonem.

W drzwiach pojawiła się pani Kaspar, otulona w futro z norek. Była, młodsza, i ładniejsza od Mary Tansey. Tak] jak jej siostra, wydawała się jakby wycięta z obrazka.

— Kiedy my policzyliśmy pieniądze, po raz pierwszy od dwunastu lat nie był to pan, okazało się, że dochód z niedzielnych mszy jest o tysiąc dolarów

wyższy niż zazwyczaj — odezwałem się, ucieszony, że zbliża się chwila konfrontacji.

Kaspar popatrzył na mnie z wściekłością.

— Ty cholerny gówniarzu! Co ty mi, do diabła, chcesz wmówić?

— Chcę panu wmówić, panie Kaspar, że coś dziwnego działo się w ciągu ostatnich lat z pieniędzmi, które zbierano podczas ostatnich dwóch mszy. Mam tutaj dokładne danejz czterech minionych miesięcy. — Popchnąłem w jego kierunku kartki leżące na stole. — W tym czasie, jak mi się wydaje, parafia utraciła około osiemnastu tysięcy dolarów.

— Czy pozwolisz, żeby ten arogancki drań tak mnie oczerniał?! — zawołał Kaspar, zwracając się do proboszcza. — To jakiś głupi przypadek. Za tydzień wszystko wróci do normy.

Wyraz twarzy Marthy Kaspar powiedział mi, że nie jest niewinna. Siedziała w tym bagnie aż po sznury swoich pięknych pereł.

— Jeśli to przypadek, przeproszę pana — powiedziałem sucho. — Wspólnie policzymy pieniądze za tydzień, prawda, księże proboszczu?

Leo był w rozterce. Bał się gniewu Kaspara, bał się skandalu, obawiał się o swoją reputację. Ale, dziwne, najbardziej bał się mnie.

— Tak, Kevin — odrzekł słabym głosem. Kaspar porwał papiery ze stołu, podarł je na strzępy i rzucił w moim kierunku.

— Te twoje liczby to kupa gówna, Brennan. Nie znaczą nic, kurwa, nic.

— Mam kopie w swoim pokoju — powiedziałem. — I dla pana jestem ojcem Brennanem.

— Chodź, Martho — złapał żonę za rękę. — Nie będziemy wysłuchiwać tych oszczerstw.

— Pański proceder trwa od dziesięciu lat — kułem żelazo póki gorące. — Winien jest pan parafii przynajmniej pół miliona dolarów. Obawiam się, że bę-

dzie pan musiał sprzedać większość swoich gruntów na Florydzie. Damy panu dziesięć dni. Po tym czasie do akcji wkroczy prokurator okręgowy i władze skarbowe.

Po raz pierwszy jakby strach pojawił się na jego przystojnej twarzy. Zaczął coś mówić, ale żona szarpnęła go za ramię. Odwrócili się i wyszli z pokoju. Wkrótce przez małe okienko zobaczyliśmy, jak brną przez sypki śnieg.

Leo ukrył twarz w dłoniach.

— Co teraz będzie, Kevin? — zapytał, nagle postarzały, zrezygnowany.

— To zależy, jak zachowają się Tanseyowie. Niech się szef nie martwi — uspokajająco poklepałem go po ramieniu. — Nie możemy przegrać tej batalii.

Gdy znalazłem się w swoim pokoju, zasiadłem w wygodnym fotelu z brązowej skóry i zatelefonowałem do Pułkownika, aby zameldować pełen sukces. Ojciec odparł, że spodziewał się czegoś takiego od dnia, kiedy przestał być adwokatem Tanseya.

— Jednak nie wyobrażałem sobie aż takiej bezczelności zauważył.

Smak zwycięstwa był słodki, chociaż zakłócały go jego gorzkie okoliczności: łkania proboszcza, trzęsący się wąs Kaspara, nienawiść na twarzy jego żony, pogryzione wargi Marty'ego. Nie miałem z kim porozmawiać.

W nagłym impulsie chwyciłem książkę telefoniczną, odnalazłem nazwisko „Curran" na West Jackson Boulevard i zacząłem wykręcać numer. Przy piątej czy szóstej cyferce jednak zrezygnowałem.

W czwartek po południu proboszcz wszedł do mojego pokoju.

— Kevin, hm... właśnie zadzwonił twój przyjaciel, Pat Donahue. Pan Tansey poprosił go, żeby porozmawiał ze mną o naszym problemie.

— Drań.

— Kevin, proszę cię. Patrick stwierdził, że nie będzie opowiadał się po żadnej ze stron, po prostu chce pomóc w chrześcijańskim rozwikłaniu problemu. Czy spotkamy się z nim? Powiedział, że może przyjść nawet dzisiaj wieczorem.

— Niech przyjdzie. Dlaczego nie?

Pat zdenerwował mnie. Być może potrzebowaliśmy uczciwego mediatora. Jego nie potrzebowaliśmy.

Po kolacji Pat podjechał pod probostwo kolejnym nowym oldsmobilem. Zapewne nagroda za przysługi od Arnolda Tanseya.

Marty Herlihy, Leo Mark Rafferty, Patrick Donahue i ja zasiedliśmy w gabinecie proboszcza. Szef postawił nam po szklaneczce irlandzkiej whisky — pięcioletniej — nie sposób było odmówić.

— A zatem, panowie — zaczął Pat cichym głosem — muszę powiedzieć, że nie pochwalam tego, co tutaj zaszło. Wręcz przeciwnie, uważam, że wasz kościelny okazał się nikczemnikiem. Tak jak i wy, pragnę uchronić Kościół przed skandalem. Podobnie stawia sprawę pan Tansey. Zobowiązał się do wpłaty po pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie przez najbliższe dwa lata na rzecz parafii, pod warunkiem, że otrzyma od was słowo, iż cała sprawa zostanie zapomniana. Czy ksiądz proboszcz zechce wyrazić zgodę na takie rozwiązanie?

— Cóż, to bardzo wielkoduszna propozycja ze strony Arnolda — powiedział Leo Mark, zacierając ręce. — Myślę, że bez wątpienia...

— Nasze wyliczenia wskazują, że ukradziono pół miliona — przerwałem mu głucho.

Pat niepewnie poruszył się w fotelu i odstawił na stół szklaneczkę z whisky.

— Pan Tansey wątpił, czy tej kradzieży będzie można dowieść; jest przekonany, że dowody, które zebraliście, nie okażą się wystarczające, aby doprowadzić do procesu przed ławą przysięgłych. Uważa jednak, że to, co się wydarzyło, jest niewybaczalne; powinniśmy zresztą wszyscy spodziewać się takiej postawy ze strony pana Tanseya. Przede wszystkim jednak pan Tansey nie może

pozwolić na to, aby Kościół cierpiał z powodu zaistniałej kradzieży. Nie jest w stanie, oczywiście, pokryć całości strat.

— A więc niech te straty pokryje pan Kaspar — zażądałem. — Niech sprzeda część swoich gruntów na Florydzie. Mam nadzieję, że pan Tansey jest świadomy tego, co władze skarbowe mogą zafundować jego krewnym.

Pat pobladł na twarzy.

— Zdaje sobie z tego sprawę, Kevin, jest jednak przekonany, że Kościół wolałby uniknąć skandalu, do którego doprowadziłoby tego rodzaju śledztwo.

— On chyba najbardziej jest zainteresowany uniknięciem śledztwa władz skarbowych i skandalu wokół jego krewnych — odparłem. — Przypomnij sobie o gruntach na Florydzie.

Pat przygryzł na chwilę wargi.

— Te ziemie są własnością pani Kaspar. Ani pan Tan-sey, ani pan Kaspar nie mogą zgodzić się na to, by pani Kaspar została ukarana za coś, z czego w ogóle nie zdawała sobie sprawy.

TLR

— Akurat! — krzyknąłem.

— Czy mam przekazać panu Tanseyowi, że jego oferta nie satysfakcjonuje parafii świętej Praksedy? — Pat po-patrzył nerwowo na mnie, na Leo i znowu na mnie. Skurwysyn. Cholerny, sprzedajny skurwysyn.

— Cóż, czy nie uważasz, Kevin... — zaczął Leo.

— Zadzwoń do niego — powiedziałem do Pata. — Zadzwoń do niego i powiedz, że zgadzamy się na trzysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Nie mogę tego zrobić. — Pat, przed chwilą blady, nagle poczerwieniał na twarzy.

— Cholera jasna, zadzwoń, bo za chwilę ja to zrobię.

Pat niechętnie podszedł do telefonu. Słyszeliśmy, jak rozmawia przyciszonym głosem. Po chwili powrócił do nas, odłożywszy słuchawkę na biurko.

— Pan Tansey jest właśnie na linii — powiedział takim głosem, jakby rozmawiał z papieżem. — Jest bardzo zdenerwowany tym, co spotkało parafię. Skłania się ku temu, aby podnieść swoją ofertę do wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

— Interes ubity — powiedziałem.

— Co takiego? — Pat otworzył usta ze zdziwienia.

— Powiedziałem, że interes ubity — powtórzyłem, wychylając do dna moją whisky.

— Po pięćdziesiąt tysięcy dolarów przez pięć lat.

— Osiemdziesiąt trzy przez trzy lata. Pat znów podszedł do telefonu.

— Pan Tansey wyraził zgodę — powiedział z uśmiechem, powróciwszy. — Zanim odłoży słuchawkę, chciałby za moim pośrednictwem przekazać, że rezultat naszych rozmów uważa za porozumienie dżentelmenów.

— Jesteśmy bardziej dżentelmenami niż on — odparłem. Patrick po raz ostatni podniósł słuchawkę. Po chwili powrócił do nas.

— Wszystko uzgodnione — powiedział. — Pierwszy czek wpłynie w przyszłym tygodniu.

— Czy pan Tansey zechce go antydatować, żeby zmniejszyć swoje ubiegłoroczne podatki? — zapytałem gorzko.

Na długą chwilę zapadła grobowa cisza.

— Lepiej już pójdę — powiedział Pat niepewnie.

— Do zobaczenia, Pat.

Nie podałem mu ręki.

Kobieta miała na sobie ciężki, czerwony płaszcz kąpielowy, gdy otwierała drzwi. Bez wątpienia był to prezent na Boże Narodzenie.

Walczył z pokusą od przeszło pięciu lat. Teraz nie był już w stanie się jej oprzeć; tak jak kobieta nie będzie opierać się jemu.

Uśmiechnęła się z satysfakcją. Wiedziała, czego on chce. Ręce położyła na pasku swojego płaszcza. Na dworze było zimno. Tutaj, w domu, nastąpi zaraz kilka ciepłych chwil. Płaszcz zsunął się jej z ramion na podłogę.

We wtorek wieczorem zastałem nieoczekiwanie Pata w moim pokoju. Nerwowo bawił się swoimi palcami.

— Winien ci jestem przeprosiny — powiedział drżącym głosem.

— Zapomnij o tym — odparłem. — Nawet mnie trudno jest uwierzyć w to, co się stało.

— Byłem pewien...

— Bogaci ludzie niczym nie różnią się od biednych, Pat, chyba że biedni uzależnią się od bogatych. Wtedy robią się sprzedajni.

— Łatwo ci mówić — westchnął gorzko.

— Wiem, Patrick, wiem.

— Potrzebuję ich pomocy, aby kontynuować nasze spotkania i utrzymywać szkołę parafialną.

Mulcahey to miły człowiek, ale zupełnie niekompetentny.

— Zamierzam teraz lepiej się zająć sprawami administracyjnymi parafii. Spróbuję też utrzymać więź międzyparafialną, żeby pomóc tobie w pracy co o tym sądzisz?

Jakby poprawiła mu się mina.

— Boże, jakie to wspaniałomyślne z twojej strony. Nie zasługuję na to.

TLR

— Nieważne. Twoja parafia zasługuje. Iskierki strachu nie zniknęły jednak z jego oczu. Wstał i wyciągnął

do mnie rękę.

— Znów będziemy razem pracować jak dawniej - powiedział.

Podałem mu dłoń.

— Jak dawniej.

TLR

KSIĘGA TRZECIA
LATA SZEŚĆDZIESIĄTE

TLR

1961

Był ciepły kwietniowy wieczór. Niedawno utworzono Korpusy Pokoju. Chruszczow robił hałas wokół Berlina. John Kennedy zasiadał w Białym Domu, a Jan XXIII — w Pałacu Apostolskim.

Kry lodowe rozpuszczały się, wiosenna odwilż była faktem.

Marty Herlihy wetknął głowę do pokoju, w którym pisałem zaległe listy.

— Hej, Kevin, telefon do ciebie.

— Oddzwonię później, Marty. Powiedz, żeby zostawiono mi wiadomość. Marty potrząsnął głową.

— Z głosu rozmówcy wnioskuję, że to pilna sprawa.

— Czy podał ci nazwisko?

— Tim Curran. Mówi ci to coś?

— Coś nieprzyjemnego.

Podniosłem słuchawkę w pokoiku, w którym zwykle liczyliśmy pieniądze. Proboszcz wciąż uważał to pomieszczenie za najważniejsze miejsce na plebanii.

— Słyszałem, że masz już syna, który dotrzymuje towarzystwa uroczej księżniczce. Mam nadzieję, że w domu wszystko w porządku — powiedziałem.

— Och, wielkie dzięki, ojcze Kevinie. — Jego cienki głos zdradzał zniechęcenie i wyczerpanie.

— Ellen jest trochę zmęczona, a ja sam uczę się do sierpniowych egzaminów. Ale myślę, że najgorsze za nami.

— Pozdrów ode mnie Ellen.

TLR

Brendan Curran chodził po świecie już prawie rok, a mi to jakoś uniknęło. Ellen, Tim i ich dzieci nie zaprzątały mojej głowy.

— Musisz kiedyś wpaść do nas i zobaczyć je obie... ja^ zdam egzaminy. — Jego głos nie wyrażał

nadmiernego entuzjazmu. — Karolina to chodzący cud.

A więc dwuletnia córeczka zapewne terroryzuje młodszego braciszka.

— Słyszałem, że Brendan ma oczy po mamie — powiedziałem. Mary Ann i jej chłopak, Steve McNeil, byli rodzicami chrzestnymi. Chrztu udzielił Pat.

— Tak, ojcze. Bardzo go kochamy. — Mówił takim tonem, jakby miłość do syna wymagała

ogromnego wysiłku. — Ojcze, chciałbym zadać ci pytanie. Takie... dość osobiste, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

— Noo, cóż... — westchnąłem niepewnie.

— Chodzi mi o kontrolę urodzeń. Widzisz, doktor powiedział, że byłoby lepiej, gdyby Ellen przez kilka najbliższych lat nie rodziła. Jesteśmy małżeństwem od trzech lat, w tym czasie Ellen przez osiemnaście miesięcy była w ciąży i... ojcze Kevinie, to bardzo trudne...

Po co komu żona, skoro nie można mieć z niej uciechy? Na pamięć już znałem dalszą część konwersacji na ten temat.

— Czy próbowaliście stosować kalendarzyk małżeński? Ellen to przecież pielęgniarka i jestem przekonany... — Ksiądz zawsze musi robić z siebie głupka w takiej rozmowie.

— Hm, cóż, Ellen ma regularny okres, ale zdaje się, że ten sposób nic nam nie dał. W słuchawce zapadła głucha cisza.

— Ellen chciałaby używać tych nowych pigułek. — Tim wreszcie przystąpił do sedna, zdobywszy się na odwagę. — Mówi, że Kościół zmienia się i nie ma sensu czekać do roku 1965, albo i dłużej, aż zmieni się jego stanowisko w spra-

wie antykoncepcji. Czy nastąpi jakaś zmiana, ojcze? Nie chciałbym popełnić grzechu śmiertelnego.

— Tim, myślę, że nie ma żadnych przesłanek, aby oczekiwać zmiany w stanowisku Kościoła — powiedziałem ostrożnie. Jeśli jeden z partnerów w małżeństwie nalega na stosowanie sztucznych środków antykoncepcyjnych, byłem zawsze gotów udzielić drugiemu rozgrzeszenia w konfesjonale. Może takie stanowisko powinienem zająć teraz? Och, Boże, westchnąłem, jak bardzo chciałbym...

— Chcę wiedzieć, czy jeśli Ellen zacznie używać tych pigułek, oboje popełnimy śmiertelny grzech? — zapytał Tim błagalnym tonem.

—. Jestem pewien, że Ellen nie zechce uczynić niczego, co według jej sumienia byłoby grzechem — odparłem. — Musi postępować zgodnie z tym, co jej dyktuje sumienie. — Zdawało mi się, że zaraz zatrzęsie się cały budynek probostwa z powodu mojej wykrętnej nieortodoksyjnej odpowiedzi.

— Ale przecież nasze sumienia kształtuje nauka Kościoła, czyż nie? — Tim miał poważne wątpliwości. A może był zbyt zmęczony, aby dostrzec możliwość, którą mu proponowałem.

— Jestem pewien, że Ellen nie uczyni niczego wbrew nauce Kościoła — dodałem z desperacją.

— Myślę, że masz rację, ojcze Kevinie. Wiedziałem, że nie powinniśmy tego robić. Po prostu chciałem się upewnić.

Podjąłem jeszcze jedną próbę, ale po chwili zrezygnowałem. Tim nie był na tyle silny, aby udźwignąć ciężar tak trudnej moralnie decyzji. Za rok na świecie pojawi się kolejny mały Curran. A wówczas Ellen zacznie stosować pigułki, nie bacząc już, że postępuje wbrew Kościołowi. Trochę później oboje zostaną dopadnięci przez wyrzuty sumienia, przejdą znów na kalendarzyk i zanim osiągną trzydzieści pięć lat, dochowają się jeszcze paru dzieciaków. W św. Praksedzie żyły setki podobnych rodzin.

— Chciałbym wam pomóc, Tim — powiedziałem z westchnieniem.

— Już nam bardzo pomogłeś, ojcze. — Słyszałem głos człowieka, który tak długo przebywał w ciemnej grocie, że nie jest w stanie reagować na światło. — Módl się za nas, proszę.

Siedziałem później długo z głową ukrytą w dłoniach, niczym w szpitalnej poczekalni po śmierci kogoś bliskiego.

Wracając zapukałem do Leo Marka.

— Jest coś do roboty? — zapytałem. Spojrzał na mnie rozbieganym wzrokiem. Trochę niedowidział, a ponadto ostatnie wydarzenia sprawiły, że czuł się coraz mniej pewny siebie; tę niepewność zdradzały jego oczy.

— Tak, Kevin — mruknął, szukając kartki papieru. — Giną Carrey dzwoniła. Prosiła, żebyś do niej wpadł, jeśli ci to nie sprawi kłopotu, i przyniósł raport o zrealizowanych czekach. Jutro wieczorem chce przekazać informację radzie parafialnej. Zrobisz to?

— Nie ma problemu.

Georginę Carrey trudno było nazwać inaczej niż „kobietą niebezpieczną". Gdy pewnego dnia zjawiłem się u niej, okazało się, że John Carrey jest akurat w jednej ze swoich licznych podróży, a John junior już śpi. Georgina ubrana była w lekką, czarną szatkę, coś pośredniego między suknią a bielizną, lecz o wiele bliższego tej drugiej. Z trudem ukryłem zdziwienie.

— Czy możemy porozmawiać kilka minut, ojcze? — zapytała niespokojnie.

Miała wówczas niewiele ponad trzydzieści lat. Ciemne włosy spadały jej swobodnie na ramiona. Jej twarz była przystojna, choć odrobinę „końska", jak czasami się mówi.

Kiedy roztaczała przede mną „wizje", które dopadły ją w nocy, węże, anioły i tym podobne dziwa, ja zastanawiałem się nad sytuacją. Byłem silniejszy od niej. Nie zaciągnie mnie do łóżka ani do niczego nie zmusi. To raczej ja będę górą. Pięści same mi się zacisnęły, a serce zaczęło bić szybciej. Cholera, dlacze-

go nie? Kevin, udziel jej lekcji uwodzenia mężczyzn, jakiej już nigdy nie zapomni.

— John jest wspaniałym mężczyzną — szepnęła chryp-liwie. Cienki pasek przy jej sukience

poluźnił się; zobaczyłem pas do podwiązek, górę nylonowych pończoch i fragment nagiego uda.

— Ale zupełnie nie interesuje się moimi problemami duchowymi. Za dużo podróżuje.

Machnęła ręką z rezygnacją i zniechęceniem. Szeroka wersalka, na której spoczywała, stanowiła

doskonałe miejsce na seks. Wyobraziłem sobie smak skóry Georginy, całowanej przez moje usta.

Czy nie nadszedł czas, abym i ja doświadczył rozkoszy posiadania kobiety? Wówczas pomyślałem o Ellen i w jednej chwili oddaliłem od siebie pokusę. Rozwarłem dłonie zaciśnięte dotąd w pięści.

— Być może powinnaś poważnie porozmawiać z Joh-tiern i nakłonić go, żeby ograniczył podróże.

— To powiedziawszy, wstałem z głębokiego, wygodnego fotela. — Z przyjemnością ułatwię ci zadanie, jeśli uważasz moją pomoc za potrzebną.

Gina wstała również, porządkując nieco suknię.

— Ojcze, skoro sądzisz, że to pomoże, będę ci wdzięczna za rozmowę z nim. — Zawahała się. — Przykro mi, że zmarnowałam tyle twojego czasu.

Nie miało to być moje ostatnie tego typu spotkanie z Georginą. Minęły dwa lata i dziś znowu wybierałem się do domu Carreyów swoim samochodem, a właściwie samochodem parafii, który zakupił dla mnie Leo Mark. Miałem w pamięci fakt, że przed dwoma laty pokusę odegnała ode mnie nie moja cnota,

lecz wizja kobiety, którą zaledwie przed kilkoma godzinami pośrednio zmusiłem do zajścia po raz kolejny w ciążę.

Głęboko westchnąłem, wcisnąłem guzik otwierający garaż i wyjechałem w kwietniową ciemność.

Jadąc do domu Georginy Carrey, wyrzucałem z umysłu wszystkie myśli o Ellen. Zmuszałem się do skupienia uwagi na decyzji, którą będę musiał wkrótce podjąć. Joe Herlihy, brat Marty'ego, pracował w Kurii Arcybiskupiej. Przekazał mu informację, że latem dwóch ludzi z Chicago zostanie wysłanych do Rzymu na trzyletnie studia prawa kanonicznego. Być może wezmą też udział w pracach Drugiego Soboru Watyka skiego. Moje nazwisko było na liście kandydatów do wyjazdu.

Według Joego nazwisko Pata Donahue również znajdowało się na tej liście. Cóż, już raz z Patem rywalizowałem i nie zamierzałem po raz drugi przeżywać tego samego.

Drugi Sobór Watykański z pewnością okaże się najważniejszym wydarzeniem w Kościele katolickim na przestrzeni wielu wieków. Miałem szansę w nim uczestniczyć. A jednak nie chciałem opuszczać św. Praksedy, tym bardziej że praca tutaj coraz bardziej mnie pochłaniała.

Działania Pata w parafii Czterdziestu Świętych Męczenników odbiły się echem w całym kraju.

Trzy katolickiemagazyny zamieściły duże materiały na jego temat. Zapraszano go na wykłady, spotkania i rekolekcje na całym Środkowym Zachodzie. Może zasługiwał na te dodatkowe lata nauki w Rzymie? A może pojechalibyśmy tam razem? (Nie była to dla mnie zbyt atrakcyjna perspektywa.)

Wiedziałem, że znalazłem się na liście kandydatów do wyjazdu, gdyż lubił mnie kardynał Meyer.

Kiedyś, po jakiejś mszy pogrzebowej, wziął mnie na bok i powiedział że czytał moje wystąpienia w Instytucie Edukacji Małżeńskiej; bardzo mu się podobały. Wielki Holender z Milwaukee umiał rozmawiać z ludźmi. Stawiał cel-

ne, rzeczowe pytania i bardzo uważnie słuchał odpowiedzi. Jego końcowa uwaga: „Proszę kontynuować tę robotę" była raczej komplementem niż poleceniem.

Zajechawszy pod dom Carreyów, myślałem przez chwilę, co Holender powiedziałby o Georginie.

Nacisnąłem na dzwonek, usłyszałem gong w środku i grzecznie zaczekałem na gospodynię. Jak zwykle, John był w podróży, a John junior bawił się z rówieśnikami gdzieś poza domem.

Karteczkę z odcinkami czeków rzuciłem na kanapę.

— Nawet nie wiesz, jak się z tym śpieszyłem, Gino — powiedziałem, pocałowawszy ją w policzek. — Lecz cóż, twoje słowo to dla mnie rozkaz.

Miała na sobie czarne spodnie, białą bluzeczkę i bardzo drogą biżuterię. Była trochę zbyt intensywnie wyperfumowana.

— Chciałam z tobą porozmawiać — rzuciła krótko. Jej wzrok był zimny, a twarz nieprzenikniona. Usiadłem na skraju kanapy.

— Mów, piękna damo, mów.

— Jestem w ciąży — powiedziała.

— Och, wspaniale! Gratulacje!

— Nie udawaj głupiego — warknęła. — Nie sypiam z Johnem od pięciu lat.

— Kiedy to się stało? — zapytałem.

— No... niedawno. Pięć tygodni temu.

— Chcesz urodzić?

Zacisnęła szczęki. Wyglądała o wiele starzej niż na swoje trzydzieści pięć lat.

— Ksiądz sugeruje aborcję? — Niemal się przeraziła.

— Niczego ci nie sugeruję — odparłem. — Po prostu pytam. Muszę znać wszystkie szczegóły, jeżeli mam ci pomóc.

— Nie usunę ciąży — stwierdziła stanowczo.

— Czy chcesz rozwieść się z Johnem i ożenić z tamtym mężczyzną? Nie czułem ani odrobiny współczucia dla niej.

— On się ze mną nie ożeni — odparła, a jej oczy zaszkliły się.

— A więc najlepiej zrobisz, jeśli wskoczysz Johnowi do łóżka, jak tylko wróci z podróży, i spędzisz z nim trochę czasu.

Jej twarz wykrzywił złośliwy grymas.

— Chcesz, żebym oszukała Johna? To jest twoja księżowska rada?

— John będzie prawdopodobnie tak szczęśliwy, że niczego nie zauważy, a nawet jeśli nabierze jakichś podejrzeń, będzie mu to obojętne.

— Jakie to dla ciebie proste — powiedziała gorzko. Podeszła do barku pod ścianą.

— Musisz coś postanowić. I nie masz zbyt wiele czasu — kontynuowałem. — Twoje serce rwie się do macierzyństwa. Gdyby tak nie było, zdecydowałabyś się przerwać ciążę, nie przejmując się tym, czy Kościół to aprobuje, czy też nie. Nie masz żadnej pewności, jak zareaguje John, kiedy otrzyma oczywisty dowód, że sypiasz z kimś innym. Albo więc skorzystasz z mojej rady i prześpisz się kilka razy z Johnem, albo wkrótce okaże się, że musisz iść do pracy i zarabiać na swoje utrzymanie. A taka perspektywa chyba ci nie odpowiada.

Nalała sobie pełną szklankę dżinu.

— Poniżanie mnie sprawia ci przyjemność — stwierdziła.

— Niespecjalnie — skłamałem.

Usiadła w fotelu po przeciwnej stronie stolika.

— Napijesz się czegoś? — zapytała niespodziewanie. — Przepraszam, że wcześniej ci nie zaproponowałam.

— Nie, dziękuję. Czy John prześpi się z tobą?

Prychnęła, jakby uważała mnie za idiotę.

— Oczywiście.

— Kiedy wraca do domu?

Wzruszyła ramionami.

— Za kilka godzin.

— A więc lepiej już pójdę. Musisz się chyba przygotc wać. — Wstałem. Ruszyła za mną, aby otworzyć mi drzwi

— Któregoś dnia podziękuję ci za to, że jesteś takir przeklętym draniem — oznajmiła lodowato.

Otoczyłem ją ramieniem i przycisnąłem do siebie. Pocałowałem ją w czoło. Miłe ciepło ogarnęło moje ciało. Znów pokusa, ostrzegł mnie jakiś głos dobiegający z zakamarków mózgu.

— Dziękuję ci, ojcze — wyszeptała. Po chwili dodała: — Módl się za mnie.

W czerwcu ogłoszono nominację: Patrick H. Donahue z parafii Czterdziestu Świętych Męczenników skierowany został na studia podyplomowe do Rzymu. Zadzwoniłem doniego z gratulacjami. Mój telefon wyraźnie go ucieszył. Poza tym powiedział, że nominacja jest dla niego kompletnym zaskoczeniem. Typowa postawa faceta z Rzymu. Uczą się tam tego chyba od pierwszego dnia zajęć.

Rozmawiając z nim, stwierdziłem, że Sobór wyrasta na nadzwyczajne wydarzenie. Kościół wkracza w nową epokę. Nie chciał o tym dyskutować. Zaprosił mnie natomiast na l kolację na następny wieczór. Czy zechcę przyjść? Będzie sam na probostwie; wówczas będzie okazja porozmawiać o wszystkim.

Mimo że parafia Czterdziestu Świętych Męczenników leżała w ubogiej dzielnicy, jedzenie, którym mnie poczęstował, było doskonałe. Ja wyciągnąłem butelkę „Bardo" gdy zasiedliśmy w starej, dyskretnie oświetlonej jadalni o wysokim suficie.

Pat uśmiechnął się.

— Nie mów mi, że znowu złamiesz regułę i będziesz ze mną pił.

— Cóż, okazja zmusza mnie do tego.

Pat otworzył butelkę i napełnił dwa kieliszki.

— *Ad multos annos* — wzniosłem toast.

— Boże, Kevin, że też nie mieliśmy czasu na więcej takich spotkań przez ostatnie trzy lata. — Pat wyglądał na kompletnie wykończonego. Zmęczoną twarz przecinały już zmarszczki. W oczach nie było życia. — Czy widziałeś ostatnio Ellen lub Tima? — spytał nagle.

— Nie — odparłem, niezbyt zadowolony z tego rzeczowego pytania. — Jak im się wiedzie?

— Obawiam się, że nie najlepiej. Ellen znów jest w ciąży. Tim traci wzrok, czytając te swoje książki prawnicze. Całe ich mieszkanie cuchnie pieluchami. Ellen wygląda okropnie: brudna, otyła, dzieciaki wciąż płaczą. Jest bardzo zgorzkniała. Nie chodzi do Kościoła. Wyobrażasz sobie, jak biedny Tim przez to cierpi. Robiłem, co mogłem. — Pat dolał mi wina i podał talerz z pieczenia. — Ale Ellen mnie nie posłuchała. Myślę, że Tim nie potrafi wyrwać jej z apatii — uśmiechnął się lekko. — Przepraszam cię za te wynurzenia, czytałem ostatnio kilka podręczników psychologicznych. Więc Tim nie ma już wpływu na swoją żonę, ale nie mógłby jej zostawić. Jest przekonany, że odpowiada za jej duszę. Myślę, że tych dwoje nigdy nie miało szansy... — zawahał się. — Zresztą, może ty byś z nimi porozmawiał? — zapytał znienacka.

— Ja? — zdziwiłem się. — A dlaczego niby akurat mnie mieliby posłuchać? Przez ostatni rok nie znalazłem dla nich ani chwili. Ellen chyba nie wpuściłaby mnie za próg.

— Nie, nie sądzę, żeby było aż tak źle. W każdym razie pomyśl o tym. Biedna Ellen — westchnął ze smutkiem. — Z każdym dniem coraz bardziej przypomina swoją matkę, i zachowaniem, i wyglądem.

— Zastanowię się — obiecałem. — A teraz porozmawiajmy o czymś prostszym, na przykład o Rzymie. Grymas niepewności przemknął przez twarz Pata.

— Nie jestem pewien, czy zaakceptować tę nominację, czy też nie. Kuria dała mi tydzień do namysłu. Nałożyłem sobie na talerz trochę ziemniaków.

— Cóż cię powstrzymuje?

— Szkoda mi tego, co tutaj robię. — Wykonał szeroki ruch ręką. — A poza tym byłem już w Rzymie.

Cztery lata to aż nadto.

— Pojedziesz.

— Myślę, że tak — przyznał. — Ale z mieszanymi "uczuciami. Zastanawiam się, dlaczego nie posłali ciebie.

— Ponieważ jestem niezbędny, aby dbać o zbawienie duszy Leo Marka Rafferty'ego, ponieważ nie znam włoskiego, ponieważ nie jestem materiałem na biskupa. Mógł-bym podać ci jeszcze z dziesięć innych powodów, ale te w zupełności wystarczą.

— Jestem pewien, że byłeś na liście kandydatów — mruknął.

— Wiem, że byłem, ale wątpię, czy byłem na niej numerem drugim, wątpię też, czy ktoś naprawdę chciał, abym znalazł się w Rzymie. Gdyby tak było, z pewnością padłoby na mnie. W zeszłym roku wysłano dwóch ledwo upieczonych księży...

TLR

— Tutaj nas brakuje. — Pat chciał, abym go przekonywał, że powinien wyjechać.

— Posłuchaj, Pat. Znasz mnie? Kevina Brennana? Chicagowskiego Irlandczyka w trzecim pokoleniu?

Pogromcę Leo Marka Rafferty'ego? Gdybym chciał coś dla siebie załatwić w Kurii, poszedłbym i to załatwił. Albo bym poprosił ojca, żeby pociągnął za jakieś sznurki. Zapomniałeś, że Pułkownik wszędzie wszystkich zna.

Pat popatrzył na mnie z ulgą.

— A więc pojadę, jeśli mam tam jechać.

Pod koniec sierpnia otrzymałem telefon z sekretariatu kardynała. Chciał zobaczyć mnie jeszcze tego samego dnia o drugiej trzydzieści po południu. Czy mi pasuje? Oczywiście, że tak. Jak śmiałbym odpowiedzieć inaczej?

Ozdobna dębowa boazeria i czerwony jaskrawy dywan w gabinecie onieśmielały mnie bardziej niż sam Albert Meyer.

— Coś ostatnio nic nie piszesz, Kevin — zaczął

— Mam bardzo pracowite lato, wasza eminencjo — odpowiedziałem.

Zmarszczył czoło i sięgnął po cygaro.

— Zapalisz? — zapytał.

— Wezmę jedno dla ojca, jeśli eminencja pozwoli.

Roześmiał się i podał mi cygaro.

— Znam, oczywiście, twojego ojca. Poważny człowiek. Gdy rozmawialiśmy, nie wspomniał o tobie tak długo, dopóki sam nie powiedziałem, że wiem, iż jego syn jest księdzem. — Uniósł brwi.

— Cóż, jestem czarną owcą w rodzinie.

— A może szarą? — odparł kardynał. Wbrew opinii, iż kompletnie brak mu poczucia humoru, lubił takie gry słów. — No, w każdym razie, niektórzy ludzie

chcieliby tej wiosny wysłać cię do Rzymu; inni temu się sprzeciwili. Musiałem osobiście się tym zainteresować. Cóż, wyszło na to, że zmarnowałbyś się, studiując prawo kanoniczne. Chcę, żebyś studia podyplomowe ukończył w Ameryce. Sądzę, że wybierzesz psychologię...

Bardzo pragnąłem, przerwać ten potok słów. Musiałem zebrać myśli.

— Tak, to mi bardzo odpowiada — stwierdziłem, próbując przybrać jego obojętny ton.

— No właśnie. Rzym byłby nieodpowiednim miejscem dla takich studiów. Pozostaniesz w parafii świętej Praksedy i jednocześnie będziesz uczęszczał na zajęcia na uniwersytecie.

— Tak, wasza eminencjo. Zanotował coś na skrawku papieru.

— W porządku, Kevin. Uzgodniliśmy więc. Jestem przekonany, że w niedalekiej przyszłości biskupi będą potrzebowali wykształcenia przede wszystkim z zakresu nauk społecznych. Przyjmij do wiadomości, że do takiej posługi właśnie się przygotowujesz. Kuria będzie płaciła za twoją naukę.

— Moja rodzina... — zacząłem. Skóra na poręczy fotela stała się wilgotna pod moimi palcami. Żałowałem, że niepalę cygar; mógłbym zrobić coś rozsądnego ze swoimi drżącymi rękami.

— Nie — przerwał mi. — To nasz obowiązek. -— Wstał. — Chcę na bieżąco śledzić twoje postępy w nauce Kevin. Przesyłaj mi wszystko, co uważasz, że powinienem czytać. Twoje własne prace, ale też i inne. — Wyprowadzając mnie z gabinetu, otoczył mnie na chwilę swoją ciężką ręką. Kiedy schodziłem schodami na Wabash Avenue jeszcze do końca nie zdawałem sobie sprawy, że skończyliśmy rozmowę. Albert Gregory Meyer w ciągu dwudziestu minut i — spojrzałem na zegarek — dwudziestu dziewięciu sekund — wywrócił moje życie do góry nogami.

Nie powiedziałem o tym nikomu, nawet swojej rodzinie, dopóki wiadomość nie ukazała się w „New World", diecezjalnej gazecie. Oto rozpoczynałem zupełnie nowe życie.

Pat zatelefonował w tydzień po informacji w „New World". Spodziewałem się gratulacji.

— Potrzebuję twojej pomocy, Kevin — usłyszałem w zamian pełen udręki głos. Westchnąłem. A więc znów kłopoty.

— O co chodzi? — zapytałem.

— Czy... możemy swobodnie rozmawiać? Nikt nie podsłuchuje? — Pat był najwyraźniej przerażony.

— Nasze gosposie nie podsłuchują, Pat — odparłem niegrzecznie. — Mów, o co chodzi?

— Mam kłopoty z pewną kobietą.

— Jakiego rodzaju kłopoty?

— Ona... Ona... cholera, jest w ciąży z mojego powodu i grozi, że napisze do kardynała.

— Teraz, przed twoim wyjazdem do Rzymu?

— Tak, właśnie. Przed samym wyjazdem chce mi to zrobić. Nie potrafię jej powstrzymać. To ma być prywatny list, o którym nie dowie się jej mąż. Kevin, może ty byś na nią wpłynął?

Cichy dzwoneczek alarmowy zabrzmiał w mojej głowie.

— Dlaczego ja? — zapytałem.

— Ona cię szanuje. To Georgina Carrey — dodał niby od niechcenia.

Powinienem był wiedzieć.

— Zajmę się tym. Nie musisz przerywać pakowania. — Odłożyłem słuchawkę.

Długo siedziałem na krześle, gapiąc się w słońce, powoli chowające się za murami szkoły parafialnej św. Praksedy. Gorący, wilgotny letni wieczór. Jeśli nie porozmawiam z Georgina, zrobi to. A Patrick do końca życia pozostanie

księdzem gdzieś na południu Stanów — o ile wytrwa w kapłaństwie po ciosie, który go spotka.

Włożyłem koloratkę i ruszyłem do garażu.

Georgina, w luźnej, zielonej sukience, siedziała przy biurku. Drzwi balkonowe były szeroko otwarte.

— Wspaniale wyglądasz — zauważyłem. — Powinnaś być częściej w ciąży.

— Zgodnie z twoją cholerną psychologią chcę być w ciąży — odparła beznamiętnym tonem, zaszczycając mnie jedynie przelotnym spojrzeniem.

Przysiadłem na poręczy fotela.

— Nie rób tego, Georgino.

Cała złość kryjąca się w niej wypełzła na jej twarz.

— Zniszczę go. Tak go załatwię, że już nigdzie i nigdy nie będzie księdzem. Okłamywał mnie, bawił się mną. Prędzej znajdzie się w piekle niż w Rzymie. — Zacisnęła dłonie w malutkie piąstki. Aż trzęsła się z nienawiści.

— Uspokój się — zażądałem. — Skąd ci się nagle wzięła ta złość? Wiosną byłaś zupełnie inna.

Opadła ciężko na oparcie fotela. Jej złość zniknęła, a przynajmniej widoczne jej objawy.

— On nie odpowiada na moje telefony, nie chce mnie widzieć, nie przyjmuje moich zaproszeń na obiady. W ogóle go nie obchodzę.

Biedny, głupi Patrick. Trochę elementarnej grzeczności i nie miałby tego kłopotu.

— Wiesz, jaki jest Pat, Georgino. Powinnaś była się tego spodziewać, kiedy z nim zaczynałaś. Oczekujesz ze strony Pata Donahue? Nie bądź niemądra.

— Rozgniotę go! — zawołała, a w jej oczach znów pojawiła się nienawiść. — Kłamliwy, wstrętny, mały drań.

— Wystarczy, że raz postąpiłaś głupio, nie musisz tego robić po raz drugi. Chyba nie myślisz, że twój list do kardynała zostanie przeczytany tylko przez niego? — Nie wiedziałem, czy może na to liczyć, czy też nie, ale grałem swoją jedyną kartą. — Jak będziesz wyglądała, kiedy Chicago dowie się o twoim bękarcie z księdzem?

— Nie obchodzi mnie to — powiedziała ponuro.

— Wręcz przeciwnie, obchodzi cię. Udało ci się z Johnem?

— Oczywiście.

— Zapewne spodobało mu się, że znów się do siebie tulicie, prawda?

Widziałem dokładnie, jak jej nienawiść z Patricka przechodzi na mnie. No cóż, trudno. Duma zmusiła ją do odpowiedzi.

— Tak.

— Założę się, że i tobie to się podoba od czasu do czasu. Poza tym masz syna, dziecko, które się wkrótce narodzi, no i żyjesz w luksusowych warunkach. Czy warto przekreślać to wszystko dla głupiej zemsty?

Gdy mówiłem, jej ręce znów zacisnęły się, tym razem na fałdach sukni. Po chwili jednak rozpostarła dłonie i w geście rezygnacji zwiesiła ręce wzdłuż fotela.

— Nienawidzę cię, Kevinie Brennan. Idź stąd i niech cię więcej nie oglądam na oczy. Wstałem.

— Jeśli tego pragniesz, Gino, będziesz musiała się stąd wyprowadzić. Bo ja nie zamierzam opuścić swojej parafii.

Wyszedłem na ulicę, w gorącą sierpniową noc.

Carreyowie wyprowadzili się do Lake Forest na kilka tygodni przed przyjściem na świat ich córki, uroczej blondynki, Patrycji, z której John Carrey był szczególnie dumny.

Razem z Patem spacerowaliśmy przez leśny park. We wtorkowy poranek było tu pusto; jedynie puszki po piwie . sterty śmieci świadczyły o bliskiej obecności ludzi.

— Nie jest tu już tak jak dawniej — stwierdził Pat z żalem. — Chyba tęsknisz za sierpniami, które tutaj spędzaliśmy.

— Mam nadzieję, że przyjadę tu na krótki wypoczynek po pikniku mojego Klubu Nastolatków — odparłem.

— Widzę, że las jest dla ciebie tym, czym dla mnie jezioro — zauważył. Palcami przeczesał swoją fryzurę. — Cieszę się, że znalazłeś dla mnie czas. Chyba jesteś teraz bardzo zajęty. Wkrótce rozpoczynasz te studia podyplomowe.

— Aż tak zajęty to nie jestem.

— To był dzień podobny do dzisiejszego, kiedy uratowaliśmy te dzieciaki z samochodu Delaneya, pamiętasz?

— To ty ich uratowałeś. Poza tym działo się to w niedzielę, było o wiele wcześniej, no i bardziej gorąco.

— Nie wiem, co się ze mną dzieje, Kevin. — Wepchnął ręce do kieszeni i przybrał grobową minę. — To nie biologia, przynajmniej nie do końca, a jednak... To... nie wiem, jakiego słowa użyć, nie napięcie, ale jakaś siła... zdaje się, że mnie ogarnia. Nie potrafię się powstrzymać.

— Dopiero zaczynam podyplomowe studia z psychologii, Pat, nie jestem terapeutą.

Zatrzymaliśmy się w przesiece, wystawiając twarze ku słońcu.

TLR

— Wiem. I jestem ci bardzo wdzięczny za pomoc z Geor-giną... Nie mogę uwierzyć, że będę ojcem.

— Prawie nie będziesz — znów ruszyłem.

— Cieszę się, że jadę do Rzymu. To mnie oczyści, zacznę od nowa. — Ruszył za mną. Lekkie, drogie spodnie i modna koszula, rozpięta pod szyją, nadawały mu wygląd playboya z dużym kontem w banku.

— Może nie powinieneś wyjeżdżać? Zmarszczył czoło, ogromnie zdziwiony.

— Dlaczego nie? Przecież zapisałeś się na uniwersytet. Nie możesz już zająć mojego miejsca.

— W każdym z nas siedzi jakiś demon, Pat. — Niema] dosłownie cytowałem Maureen. — Jeśli pojedziesz do Rzymy zapragniesz władzy. Część ciebie chce jej już teraz, część jeszcze nie. Ta część, której na władzy nie zależy, to prawdziwy ty

— Aha, boisz się, że jeśli znajdę się w Rzymie, władza dobrobyt, wszelkie przyjemności i inne tego typu rzeczy skorumpują mnie? — wyszczerzył zęby w uśmiechu, oczekując, że zaprzeczę.

— Tak. — Nie musiałem patrzeć mu w oczy, żeby się upewnić, iż pojawił się w nich strach. — Powiedz Meyerowi, że z powodów, których należy szukać w twoim życiu duchowym, wolisz pozostać u Czterdziestu Świętych Męczenników. Nie pomyśli źle o tobie. Wręcz przeciwnie.

— Nie uważasz, że powinienem znaleźć się jak najdalej od Georginy?

— Powiedziałem ci, co myślę.

Roześmiał się niepewnie i klepnął mnie w plecy.

— Stary, dobry Kevin. Zawsze uczciwy, prostolinijny. Prawdopodobnie masz rację. Wiesz, sama myśl, że mógłbym pozostać u Męczenników, czyni mnie szczęśliwym. Zastanowię się nad tym i dam ci znać.

Trzy tygodnie później, nie skontaktowawszy się ze mną, wyjechał do Rzymu.

Jeszcze tego samego popołudnia, po spacerze z Patem, po raz pierwszy pokonałem Calvina Ohirę w pojedynku na pistolety. Ohira był amerykańskim Japończykiem w trzecim pokoleniu, tak gorącym metodystą, jak ja katolikiem. Prowadził elegancką szkołę karate przy 95. Ulicy. Było to doskonałe miejsce, aby zrzucić z siebie wszelkie napięcia. Miałem czarny pas, ale nigdy nie wygrałem z Calvinem.

Pewnego dnia wyciągnął z szuflady wielki klucz — „magiczny klucz", jak go nazywał — i zaprowadził mnie do piwnicy, gdzie w wygłuszonym pomieszczeniu urządził nowoczesną strzelnicę.

— Musisz być gotów, gdy żółtki znów nas napadną —^ powiedział z uśmiechem, ukrywającym zgorzknienie spodowane zamknięciem w obozie dla internowanych w roku 1940.pułkownik, cokolwiek by powiedzieć — bohater wojenny nie tolerował pistoletów i rewolwerów, mnie więc one fascynowały. Z dnia na dzień coraz lepiej posługiwałem się trzydziestką ósemką, ale Calvin był wciąż lepszy ode mnie. Aż do tego wtorku.

— Wolałbym nigdy nie narazić ci się, gdy będziesz miał broń — powiedział.

— Mam nadzieję, że nigdy naprawdę nie będę jej potrzebował — odrzekłem.

Myliłem się jednak. Miała nadejść chwila, gdy na małej morskiej wysepce u wybrzeży Włoch moje umiejętności będą bardzo przydatne.

2 października

Droga Ellen,

Ten list będzie jeszcze bardziej niezręczny i mniej uporządkowany niż wszystkie dotychczasowe.

Zawsze wstydzę się przelewać swoje myśli na papier. Ty piszesz tak doskonale, tak prosto i jasno układasz zdania, a ja tworzę potworki, skomplikowane jak wszystko inne w moim życiu.

Nawet nie wiem, jak Ci napisać to, co się wydarzyło. Właściwie powinnam zadzwonić albo przyjechać do Ciebie. Wstyd nie pozwala mi jednak osobiście powiedzieć Ci, jaką jestem idiotką.

W przeciwieństwie do Ciebie, od kiedy tylko odkryłam swoją płeć, zabawiałam się, a później na serio pieprzyłam z każdym atrakcyjnym chłopakiem, który się nawinął. Próbowałam zerwać z tym, och, Boże, jak bardzo chciałam. Spowiadałam się, obiecywałam, że już nigdy więcej, błagałam Matkę Boską o pomoc, a potem spotykałam jakiegoś przystojniaczka i rozpoczynałam wszystko od nowa.

Zdawało mi się, że wiem wszystko, co należy wiedzieć o mężczyznach. Wyobrażałam sobie, że mogę mieć każdego, którego zapragnę — no, może z wyjątkiem Kevina.

Naprawdę kochałam Burke'a. To poniżające. Ja, wyrachowana uwodzicielka, zakochałam się. Był inteligentny, pogodny, zabawny, kiedy był na to czas, no i należał do irlandzkiej śmietanki towarzyskiej. Uwielbiałam być z nim Uwielbiałam letnie miesiące z nim na Cape.

Gdy pił, martwiłam się. Wmawiałam sobie, że to minie a i on próbował odstawić alkohol. Ale kiedy padł w prawyborach w zeszłym roku, a rodzina Kennedych zaczęła go unikać (chociaż wciąż nie gardzili jego pieniędzmi), na dobre dobrał się do alkoholu; czasami przez trzy-cztery dni bez przerwy był pijany i nie pracował. Zdawałam sobie sprawę, że poślubiam słabego człowieka, bogate, zepsute dziecko. Pragnęłam dać z siebie wszystko, całkowicie się mu poświęcić, chociaż, prawdę mówiąc, nie chciałam, żeby ktokolwiek wiedział, jak głupio zrobiłam, wychodząc za niego.

Seks między nami nie był najistotniejszy, nawet na początku. Myślę, że nikt w to nie uwierzy, ale przed ślubem prawie nie zbliżyliśmy się do siebie, chyba głównie dlatego, że on nie próbował... no, może kilka razy, ale bez większego przekonania. Oczywiście, niemal natychmiast po ślubie postaraliśmy się o Sheilę. Dobierał się do mnie głównie wtedy, gdy był trochę podpity.

Byłam gotowa żyć i z tym. Seks, mówiłam sobie, to rzecz bez znaczenia. Bóg wie, ile miałam z tego rozkoszy jako nastolatka. Być może wyczerpałam swój limit.

Wszystko to tylko wstęp. Teraz dopiero zacznę przerażającą historię. W połowie sierpnia wyjechałam na weekend na Cape. Nic interesującego, tym bardziej że nie otrzymaliśmy z Burkie'em spodziewanego zaproszenia od Kennedych. Jedna z moich studenckich koleżanek z Purchase poślubiła Hindusa, którego rodzina żyje w Ameryce dłużej, niż mogą pamiętać nasi dziadkowie. Wypoczywali na Północnym Brzegu, tam, gdzie normalnie bywają rodziny białych protestantów, sięgające rodowodem amerykańskim XVIII wieku. Postanowiła wyprawić party (może za duże słowo) dla dawnych studenckich przyjaciół. Burke obiecał popilnować w domu Sheili, a poza tym i Nanny zgodziła się pracować w ten weekend.

Doba z arystokratami była wszystkim, co mogłam znieść.

W tym towarzystwie Burke traktowany byłby wyłącznie jak góra muskułów. W sobotę wieczorem powróciłam do domu.

Paliły się wszystkie światła. Sheila chodziła między kratami łóżeczka, brudna, głodna i zapłakana.

Nanny nigdzie nie było. (Później dowiedziałam się, że Burke dał jej wolne na wieczór.) Na piętrze jacyś ludzie śmiali się i wrzeszczeli. W naszym małżeńskim łóżku znalazłam Burke'a, jeszcze jednego faceta w jego wieku oraz dwoje nastolatków: chłopaka i dziewczynę. Byli pijani i zabawiali się ze sobą tak, że każde z nich miało zajęte wszystkie swoje otwory.

Kiedy weszłam do sypialni, Burke zaprosił mnie do wspólnej zabawy. Odmówiłam, a on zaczął krzyczeć, obrzucać mnie przekleństwami i tak dalej. Obwiniał mnie też za swój alkoholizm.

Domyślasz się, co zrobiłam. Zabrałam Sheilę do samochodu i pojechałyśmy do motelu.

Następnego dnia wróciłam do Bostonu i, nie bacząc, że to niedziela, zadzwoniłam do adwokata.

W poniedziałek wynajęłam dom w Newburyport, tam, gdzie jest ta słynna szkoła plastyczna. Burke zadzwonił z przeprosinami. Nie chciałam z nim rozmawiać.

Nie chcę niczego od Burke'a po rozwodzie, tylko Sheili i tego, co sama wniosłam do małżeństwa.

Rozmawiałam z księdzem z parafii Newburyport o ewentualnym anulowaniu naszego związku.

Nie wykazał zbyt wielkiego optymizmu. Biseksualiści, powiedział, to nie to samo co homoseksualiści.

Burke pedałem? No cóż, przynajmniej trochę. Niestety, niewystarczająco dla Kościoła. W każdym razie ja z pewnością nie będę dalej ciągnęła tego małżeństwa.

Modlę się za Burke'a każdego wieczoru wówczas, kiedy modlę się za rodziców. Jest dla mnie tak samo umarły jak oni. Początkowo myślałam, że w ten sposób grzebię go żywcem. Teraz wiem, że grzebię jedynie siebie.

I prawdopodobnie nic mnie przed tym nie uchroni.

Pozdrawiam Cię Maureen

PS. Przekaż też moje pozdrowienia Timowi. Kiedy tylko będą znane, poinformuj mnie o wynikach jego egzaminów.

5 października

Najdroższa Maureen,

Kocham Cię, kocham Cię, kocham, kocham.

Chciałabym zabić Burke'a własnymi rękami.

Gdybym wciąż wierzyła w Boga, pragnęłabym, aby Bóg go przeklął.

Wszystko dobrze się ułoży, Maureen, ja wiem, że wszystko dobrze się ułoży. Naprawdę.

Czuję się nie najlepiej (cholera, trzecie dziecko w drodze), jestem wciąż zmęczona i, co najgorsze, płaczę nad swoim losem. Proszę Cię, zadzwoń do mnie, popłaczemy razem

TLR

Ellen

PS. Bądź dzielna.

Podczas pierwszego semestru nauki przeczytałem Con-traception Johna Noonana i stałem się jednym z tych księży, którzy skłonni byli zmieniać postawę Kościoła wobec kontroli urodzin. Dla Ellen Foley Curran było jednak i tak za późno. Mary Ann szykowała się do ślubu (na Boże Narodzenie), a Ellen spodziewała się rozwiązania w marcu.

— To już trzecie dziecko, a ona nie ma jeszcze dwudziestu ośmiu lat — zauważyła moja siostra.

— Jak dużo będzie ich miała, kiedy osiągnie czterdziestkę?

— Tak — westchnąłem. — Jak ona daje sobie radę?

— Tylko opieka nad dzieciakami utrzymuje ją na nogach. A Tim ślęczy nad książkami czasami do drugiej nad ranem. Prawie wcale ze sobą nie rozmawiają. No, ale przynajmniej się nie kłócą.

Wciąż się kochają, tylko że nie mają w ogóle czasu dla siebie.

— Czy Tim zdał latem końcowe egzaminy?

— Oblał — odrzekła Mary Ann ponuro. — Tata uważa, że nigdy ich nie zda. Jest za słaby psychicznie.

TLR

1963 — 1964

— Kiedy Pat wróci z Rzymu na wakacje? — zapytała moja matka. Akurat wychodziłem z basenu.Włożyłem na siebie płaszcz kąpielowy. Jak na początek sierpnia było bardzo chłodno. Tak bardzo jednak potrzebowałem odpoczynku, że opuściłem parafię św. Prak-sedy, nie zważając na fatalną pogodę.

— Pod koniec tygodnia, przypuszczam — odpowiedziałem. — Dlaczego pytasz?

Spojrzała na mnie znad listu, który akurat czytała. Jej płowe włosy poprzetykane już były siwizną.

— Maureen wyjeżdża do Europy — powiedziała w zamyśleniu. — Chce studiować malarstwo w Rzymie. Twierdzi, że ma zamiar rozpocząć nowe życie.

— Nie poślubi tego chłopaka z Newburyport? — zapytałem. Za każdym razem, kiedy rozmawiałem z kimś o Maureen, odzywało się we mnie to samo głębokie poczucie winy.

Matka potrząsnęła przecząco głową.

— Mówiłam już ci, że on i jego rodzina to dewoci, a trybunał w Bostonie w końcu odrzucił jej wniosek o unieważnienie małżeństwa.

— Dranie — mruknąłem. Dwa lata obcowania z psychologią społeczną upewniły mnie, że polityka Kościoła wobec rozwodów jest bezsensowna. Połowa ludzi w tym kraju w momencie zawierania małżeństwa nie jest zdolna do współżycia w związku, który byłby odzwierciedleniem miłości Chrystusa i Kościoła; a przecież taką miłość małżonkowie przyrzekają, decydując się na miłość dozgonną i nierozerwalną. Być może Kościół zmieni stanowisko, może będziemy nagradzać wiernych anulowaniem małżeństw, tak jak stan Nevada nagradza rozwodami. Dla Maureen i je; Toma Murraya jest już jednak za późno.

— Czy Pat może coś dla niej zrobić w Rzymie? — zapytała matka konspiratorskim tonem.

— Sądzę, że mógłby spróbować — odparłem. — p0. czekajmy. Zobaczymy, co powie w przyszłym tygodniu.

Każdego miesiąca, regularnie, podczas gdy zmagałem się z wiedzą na studiach podyplomowych, a z życiem — w parafii św. Praksedy, otrzymałem długi list od Pata. Bardzo ciepło wyrażał się o nowym papieżu, Pawle VI („największy sługa Kościoła w XX wieku"), a wręcz entuzjastycznie o Drugim Soborze Watykańskim. „Następna sesja zmieni bieg historii katolicyzmu", pisał. Listy były bogate w szczegóły, które nie mogły ukazać się w gazetach. Pat pisał o tym, co kardynał Suenens powiedział do Pawła VI następnego poranka po jego wyborze. Pisał o nienawiści kardynała Mclntyre wobec czarnych biskupów, i tak dalej.

Mimo tych soczystych szczegółów, listy Pata nie były kompletne. Najwyraźniej nie zauważał on różnicy w postawach, jaka zaczyna krystalizować się

pomiędzy postępowymi kardynałami z północnej Europy a jego rzymskimi przyjaciółmi i patronami.

— Czy gdybyś był księdzem w parafii Toma Murraya, nakazałbyś mu zerwać zaręczyny z Maureen? — matka znów zadała mi pytanie. Jej łagodne, podobne do moich oczy tym razem wpatrywały się we mnie ostro, uważnie.

— Ha, chcesz sprawdzić, czy nie zmienia się moja ideologia! — zawołałem i roześmiałem się. — Nie znam Toma Murraya. Ty i tata ciepło się o nim wyrażacie. Cóż, skoro Maureen jest w nim zakochana, musi być w porządku.

— Unikasz odpowiedzi — stwierdziła matka. — Jak twój ojciec, a przecież nie jesteś prawnikiem. Tak, Maureen bardzo go kocha, ale teraz zabrania jej tego nawet Kościół.

Patrzyłem na niebo. Przez moment między chmurami ukazał się skrawek jasnego błękitu, ale zaraz znikł. Wiatr chwiał drzewami rosnącymi dookoła.

— Powinien się z nią ożenić, bez względu na opinię

Kościoła — powiedziałem. — Wkrótce stanowisko Kościoła wobec anulowania małżeństw ulegnie zmianie. Maure-n może wyjść za mąż, mimo że trybunał z Bostonu uważa inaczej. Po prostu poczekaliby oboje kilka lat na błogosławieństwo Kościoła — w moim głosie pojawiało się coraz wiecej goryczy. — Jeśli ten Tom nie chce dla niej trochę zaryzykować, nie zasługuje na nią.

— Ryzykować wieczne potępienie nieśmiertelnej duszy? — zdziwiła się moja matka; wymawiając ostatnie dwa słowa, zmarszczyła czoło.

— Mądry spowiednik utwierdziłby go w takim postanowieniu — powiedziałem ze złością.

— Ty możesz im to powiedzieć — odrzekła matka. W jej głosie zdziwienie mieszało się z rozczarowaniem. Powstałem.

— Nikt mnie o to nie pytał. Chcesz piwa? Potrząsnęła przecząco głową.

— Tylko nie obudź Mary Ann — poprosiła. — Jest bardzo zmęczona.

Mary Ann, która za dwa miesiące spodziewała się dziecka, była okazem zdrowia i kipiała radością. Matka martwiła się o swoje pierwsze wnuczątko o wiele bardziej niż sama Mary Ann.Usłyszałem dzwonek telefonu i pomyślałem, że powinienem podnieść słuchawkę, jednak zanim ruszyłem w kierunku aparatu, dzwonienie urwało się. Zapewne Mary Ann już wstała.

Najprawdopodobniej to Steve telefonował ze swojego biura w Chicago. Razem z ojcem mieli przyjechać wieczorem na długi weekend. Zabrałem z lodówki dwie puszki piwa i jedną podałem swojemu bratu, Mike'owi, ślęczącemu nad podręcznikiem anatomii.

Do pokoju weszła Mary Ann, ubrana w szorty i szeroką bluzkę ciążową. Miała niesamowicie bladą twarz i szeroko otwarte oczy. Poruszała się jak w transie, jak zahipnotyzowana.

— Co ci się stało? — zapytał Mike. Błyskawicznie poderwał się z krzesła; student medycyny, w połowie przestraszony, a w połowie mający nadzieję, że za chwilę będzie odbierał poród.

— Co, och, mi nic, Mike — odpowiedziała Mary Ann i opadła na kanapę. Na zewnątrz wiatr hulał w najlepsze

Przerażenie ścisnęło mi gardło. Już kiedyś widziałem swoją siostrę w takim stanie.

— Kto umarł, Mary Ann? — zapytałem, z trudem rozpoznając własny głos.

— Tim Curran — odpowiedziała, jakby nie dowierzała jeszcze swoim własnym słowom. — Zmarł półtorej godziny temu. To był ojciec Conroy. Ellen poprosiła go, żeby do nas zatelefonował. Tim zmarł w szpitalu świętej Anny — w jej szpitalu. Zator mózgu. — Popatrzyła na Mike'a, niepewna znaczenia tych słów.

W głębi duszy doznałem irracjonalnego uczucia, że to ja zabiłem Tima, tak jak i ja skazałem Maureen na utratę ukochanego Toma Murraya.

— To wszystko przez tę nieustanną ciężką pracę i ciągłe zmartwienia — powiedziała Mary Ann, pragnąc zapłakać łzami, które nie chciały napłynąć do oczu. — Dzieci, stresy, ciągłe napięcie...

— Stres nie wywołuje zatoru — powiedziałem, przerywając jej. — Zmarłby nawet wówczas, gdyby był samotny i bogaty.

— Masz rację, Kevin — odezwał się Mike. — Nikt nie był w stanie mu pomóc.

— Jestem pewna, że to pocieszy Ellen — powiedziała Mary Ann gorzko. W jej oczach wreszcie pojawiły się łzy.

10 sierpnia

Droga Ellen,

Jak przypuszczam, myślałaś, że już nigdy do Ciebie nie napiszę. A jednak stara, dobra Maureen znów się odzywa. Zdziwisz się, ale jestem w Rzymie, chociaż mogłabym być w Chicago, Bostonie, w Newburyport — gdziekolwiek. Wynajęłam tutaj mieszkanie. Sheila uczęszcza do angielskiej szkoły, a ja biorę lekcje malarstwa. Tym razem na serio biorę się do malowania, naprawdę. Mój nauczyciel w Newburyport był dobry... potem pojawił się w moim życiu Tom Murray, znów się zakochałam, znów wszystko się popieprzyło.- Ale to nie było to samo co z Burke'em. Tom był na pewno heteroseksualistą. I nie pił. Jego słabą stroną hyła religia; jak się okazuje, religia może doprowadzić do tego samego, co skłonność do młodych chłopców. Tom kochał mnie, podobnie jak jego rodzina, nie kochał mnie tylko ten cholerny trybunał z Bostonu. Teraz Tom ma kogoś innego, jak słyszałam.

Przykro mi, że brzmi to tak gorzko. Naprawdę go kochałam. Nie tak jak Burke'a. To była szczera, uczciwa miłość.

Rzym jest miłym miastem, choć przeraźliwie gorącym. Gdy się tu tylko rozgościłam, udałam się na poszukiwanie Pata Donahue. Jest młodym księdzem, który nie może usiedzieć w miejscu.

Jedna z szacowniejszych tutejszych rodzin, Martinelli, jakby zaadoptowała go, podobnie jak Tanseyowie w Chicago. Mają dużo pieniędzy i dużo kontaktów w Watykanie. Chwalą się Patem na wszystkich swoich dekadenckich przyjęciach —jakby żywcem wziętych z La Dolce Vita, no, jedynie kobiety nie są tak piękne; chwalą się chludnym amerykańskim duchownym o szerokich barkach, w doskonale skrojonej sutannie.

Pat zapewne sprzedałby duszę swojej babki, byleby tylko awansować w hierarchii Kościoła. Źle wpływa na niego świadomość cierpień innych ludzi, na serio traktuje hasła o sprawiedliwości społecznej i naprawdę uważa, że Bóg powołał go, aby mu służył. Dzieli swoje życie na ściśle przedzielone części i nie pozwala, aby jedna zakłócała funkcjonowanie drugiej.

Pewnego dnia spacerowaliśmy razem; uśmiechał się do wszystkich i zagadywał życzliwie niemal każdego przechodnia, który nas mijał. Mieszkańcy Rzymu nie przepadają za księżmi (i z wzajemnością); w grę wchodzi ciągle pamięć o starych sporach z papiestwem. Większość księży jednak mimo wszystko próbuje uśmiechać się do świeckich, bez wzajemności. Wszyscy obdarowani uśmiechem przez Pata, odwzajemniali mu tym samym! Wydaje mi się teraz bardziej przystojny niż kiedykolwiek, mimo że żywi się wyłącznie włoskimi, okropnymi potrawami.

Skoro już przy tym jesteśmy, znów stosuję dietę. Jestem jeszcze zbyt młoda, aby bez sensu tracić figurę.

Pat nie jest złym chłopakiem, naprawdę. Jest w stanie wykorzystać każdego, kogo potrzebuje, w swoim parciu naprzód, ale gdy to nie wpływa negatywnie na jego karierę, bywa uprzejmy i szczery. Wprost uwielbia Sheilę, udziela mi mądrych wykładów z historii Rzymu i jest czarujący wobec Martinellich (monsinior i jego kuzyn, Alfredo Delucia, to oczywiste pedały).

Pozdrowienia dla Tima. Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko w porządku.

Ściskam Cię Maureen

Dom pogrzebowy Conelly'ego zatłoczony był młodymi ludźmi, którzy pragnęli oddać hołd pamięci Tima Currana, skrycie ciesząc się, że śmierć dopadła właśnie jego, a nie ich. Budynek wypełniony był zapachem mocnych perfum i więdnących kwiatów.

— Zapomniałem już, jak wyglądają irlandzkie pogrzeby — powiedział Pat Donahue przyciszonym głosem. Zaledwie przed kilkoma godzinami przyleciał z Rzymu. — Boże, jak się cieszę, że znów jestem w domu.

Ellen trzymała się z daleka od rodziny Tima. Według Mary Ann i Steve'a, którzy czuwali przy zwłokach w nocy, jego rodzice poszukują kogoś winnego śmierci syna; jako kozła ofiarnego upatrzyli sobie Ellen. Jej własnej rodziny nie było; nie wybaczyli jej małżeństwa i straty pieniędzy, które mogłaby przynieść jej niewolnicza praca dla matki i ojca.

Ellen była gruba nie tylko z powodu piątego miesiąca ciąży. Kalorie zawarte w czekoladzie i słodkich cukierkach zaczęły o sobie dawać znać. Miała opuchniętą, okrągłą twarz, włosy bez połysku. Wyglądała strasznie, nawet z dużej odległości. Blasku nie straciły tylko jej oczy. Byłem zdruzgotany.

— Jak ona teraz będzie żyć? — zapytał Pat, gdy tak staliśmy w tłumie żałobników, bez powodzenia pragnąc niewyróżniać się swoimi sutannami. Zwracano na nas uwagę, oczywiście, jednak większość osób prowadziła przyciszone, chociaż bardzo żywe dyskusje. Taki pogrzeb to okazja do spotkania dawno nie widzianych krewnych i nie wolno zmarnować ani chwili, nawet wówczas, gdy się stoi w długiej kolejce do pogrążonej w bólu wdowy, aby zapewnić ją o swym współczuciu.

Wzruszyłem ramionami. Nie cisnęły mi się na usta żadne słowa. Patrzyłem na oczy Ellen; na wpół przymknięte penetrowały ciemną i chłodną pustkę dookoła niej. A jednak, mimo otyłości, wyglądała młodo w czarnej żałobnej sukni — przytłustawa nastolatka.

— To dopiero początek jego życia, Ellen — powiedziałem nieśmiało, gdy znalazłem się przy niej.

Dotknąłem jej ręki. Była zimna jak lód.

Błyszczące oczy na moment skupiły się na mnie. Cofnęła rękę.

— Musiałeś powiedzieć coś takiego.

Och, niedobrze, pomyślałem.

— Jestem zdziwiona, ojcze Brennan, że znalazłeś czas, aby tu przyjść. Bez wątpienia, Tim byłby zadowolony, gdyby wiedział, że tu jesteś.

— Przykro mi, Ellen... Przepraszam.

— Z całą pewnością. Zawsze przepraszasz, prawda, ojcze? Przepraszałeś, że nie możesz przyjść

na jego ślub, przepraszałeś, że nie możesz chrzcić.jego dzieci, przepraszałeś, że nie możesz z nim porozmawiać o jego problemach, przepraszałeś, że nie możesz przyjąć zaproszenia na obiad, przepraszałeś, że nie możesz go odwiedzić. Nie było u niego tak miło jak w domach twoich bogatych przyjaciół, prawda? — W jej głosie nie było ani śladu histerii czy smutku. Nie zmienił się wyraz jej twarzy. Te surowe słowa ubodły mnie tym mocniej, że zostały wypowiedziane z tak ogromnym spokojem. W domu pogrzebowym nagle zapadła cisza. Ucieszyłem się, że nie ma akurat moich rodziców.

— Przepraszam, Ellen — powiedziałem.

— Cóż się stało z niewyparzonym językiem Kevina Brennana? — zapytała szyderczo. — Nie mów, że nic błyskotliwego nie przychodzi ci do głowy!

— Nic.

— Czy ty wiesz, jak on cię kochał? — kontynuowała. Je; oczy płonęły złością. — Byłeś dla niego ideałem! Czytał nawet te bezsensowne artykuły psychologiczne, które wypsywałeś w uniwersyteckich broszurach. Cytował cię czasami, jakbyś był samą Biblią! Jak bardzo czekał na chociaż jedno dobre słowo od

ciebie! Nigdy się nie doczekał! Co cię w gruncie rzeczy obchodzi, czy on żyje, czy nie? Nie dbasz o to, prawda?

Nie mogłem zrobić nic więcej, jak tylko przeczekać ten atak. Popatrzyłem na dzieci Ellen, chłopaka i dziewczynkę; oboje mieli te same duże, szare oczy swojej matki i zadarte noski. Dziewczynka miała już nawet włosy zaczesane w końskiego ogona. Oczy tych dzieci obserwowały mnie, poważne, nieświadome tego, co dzieje się dookoła, lecz przerażone.

— Mylisz się, Ellen.

— Nie, wcale nie. Poza tym nie kłopocz się i nie przychodź jutro na pogrzeb, nawet jeśli będziesz miał na to czas. Tim Curran musiał żyć bez twojej pomocy, więc niech bez twojej asysty zostanie złożony do grobu.

— Będę się modlił za niego i za ciebie, Ellen — powiedziałem łagodnie.

— Oszczędź sobie tego — warknęła z niechętnym grymasem na ustach. — Ani Tim, ani ja nie potrzebujemy twoich modlitw.

TLR

Opuszczając dom pogrzebowy, widziałem, jak Ellen szlocha w objęciach Pata.

15 sierpnia

Droga Ellen,

Och, mój dobry Boże, właśnie się dowiedziałam. Co mogę napisać? Tak mi przykro. Tak bardzo chciałabym być teraz przy Tobie. Tak bardzo chciałabym coś dla Ciebie zrobić. Cokolwiek.

Moja biedna, wspaniała, ukochana Ellen. Wszystko będzie dobrze, wkrótce ból przeminie. Wierzę w to. Musi jeszcze upłynąć trochę czasu, ale Bóg Cię nie opuści.

Jeszcze jedno. Wiem, jak zła jesteś na Kevina. Wybacz mu, proszę Cię. Cóż, taki jest Kevin. Bynajmniej nie zależy mu na Twoim przebaczeniu. Uczyń więc to dla siebie, nie dla niego.

Proszę Cię, pisz do mnie

Maureen

Siedzieliśmy z Patem w moim pokoju w św. Praksedzie, powoli sącząc martini. Marty i Leo Mark od dawna już spali.

— A więc — powiedział Pat, pociągnąwszy spory łyk — miałeś rację, Kevin. Chyba powinienem był zostać u Czterdziestu Świętych Męczenników. Rzym jest naszpikowany pokusami i wprost przeżarty przez korupcję. Myślę, że daję sobie radę w zmaganiach z pokusami, ale bardzo żałuję, że ciebie nie ma ze mną. Pomógłbyś mi, gdybym tego potrzebował.

— Kobiety?

Mrugnął do mnie jednym okiem.

— Na szczęście nie. Panuję nad sobą, jeśli o to chodzi, chociaż ulice wprost pełne są wspaniałych dziewcząt. Jak to dobrze, że Maureen jest w Rzymie. Pilnuje mnie. — Jego twarz ozdobił jeden z najwspanialszych uśmiechów, na jakie było go stać.

— A więc, co cię tak kusi?

— Władza, pieniądze; sam pobyt w towarzystwie, które niedostępne jest dla zwykłych śmiertelników, to okazja do ciężkiego grzechu pychy. No i Sobór. To fascynująca gra polityczna. Spodobałaby ci się. Na mnie działa jak narkotyk, mimo że bardzo bronię się przed uzależnieniem. Ci ludzie... jacy wytworni, elokwentni, chociaż... sam nie wiem, jak to powiedzieć. Jakby w ogóle nie byli

ludźmi, nie mieli w sobie żadnych hormonów. Takie wrażenie sprawiają niektórzy biskupi. To nie jest, na szczęście, mój problem. — Znów się uśmiechnął.

— Wciąż nie wiesz, czy iść tą drogą?

— Tak, wciąż nie wiem, czy uczestniczyć w tej grze o rząd nad duszami. Chociaż wiem, że jest to gra, w której można uczynić wiele dobrego.

— Ależ też wiele złego.

Ponownie nalał sobie martini do szklanki i poki\va} głową.

— Prawdopodobnie masz rację... Powiedz, czy widziałeś ostatnio moją córkę? Czy nie jest śliczna? Też musiałem łyknąć alkohol. Spory haust.

— Patrick, nie jesteś...

— Nie martw się, Kevin. Nie powiem ci, w jaki sposób udało mi się ją zobaczyć, możesz być jednak pewien, że to nie ma nic wspólnego z Giną. Jestem naprawdę dumny z tego małego szkraba. Nie ma jeszcze dwóch lat, a szczebiocze jak sześciolatek.

TLR

— Jesteś szalony, Patrick. Po co to? Po co się zadręczasz? Czy chcesz zostać mężem Georginy?

— Och, Boże, nie — powiedział i wzruszył ramionami. — Ale jestem ojcem małej Patsy. Nie uczyniłem wiele dobrego na tym świecie, lecz dzięki niej pozostawię po sobie coś pięknego.

Znów nerwowo pociągnąłem łyk alkoholu.

— Uważaj, bo wszystko zniszczysz. Życie swoje, Georginy, Carreyów.

— Widziałem ją tylko raz, Kevin. I najprawdopodobniej nie zobaczę jej znów tak szybko, jeśli w ogóle. A jednak jestem z niej dumny. Chciałem z tobą podzielić się swoją dumą. — Po raz pierwszy od przyjazdu na pogrzeb Tima w oczach Pata zabłysnął stary strach, tak dobrze mi znany. — Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

— Nie uraziłeś. Przeraziłeś — odparłem.

W listopadzie na ulicach Dallas zginął John Kennedy. Bóg zabrał papieża, prezydenta i Tima Currana.

Lecz życie toczyło się dalej. Tydzień po śmierci prezydenta na świat przyszedł Steven Kevin McNeil, kolejny rudzielec o zielonych, bystrych oczach. W dzień Bożego Narodzenia urodził się Timothy Curran junior, dołączając do Brendana, Karoliny i półtorarocznej dziewczynki, której imienia jeszcze nie znałem.

Rzymie biskupi przytłaczającą większością głosów „Owiedzieli się za liturgią w językach narodowych; o trzy-Hrjeści siedem lat wcześniej niż przypuszczał Pat. Siły dążące do zmian w Kościele wzięły górę na Soborze, mimo wyraźnej rezerwy Pawła VI wobec parcia ku szybkim nrzernianom. Dokumenty o wolności religijnej i stosunku katolików do Żydów nie ujrzały światła dziennego. Albert Gregory Meyer, obecnie jeden z dziesięciu przewodniczących Soboru, zrobił ogromne wrażenie swymi śmiałymi wystąpieniami, pisanymi głównie przez dwóch błyskotliwych i postępowych uczonych w Piśmie — Franka McCo-Ola i Barnabę Aherna. Sukcesy kardynała w Rzymie uczyniły go, ku jego zaskoczeniu, popularnym w Chicago. Martwił się bardzo o skutki, jakie przyniesie Sobór.

— Nikt tam nie gra fair — powiedział do mnie, gdy przybyłem z krótką wizytą do jego siedziby w Chicago. Opowiedziałem mu o ofercie, jaką mi złożono: po obronie pracy doktorskiej miałem pracować w instytucie. Po krótkim namyśle kardynał wyraził na to zgodę. — Świątobliwi mężowie wykorzystują aparat Soboru w dążeniu do własnych celów. To jest nie fair. — Zaproponował mi cygaro, znów zapominając, że nie palę.

W pierwszą niedzielę najbliższego Wielkiego Postu wszystkie ołtarze skierowano frontem do wiernych — po raz pierwszy od piętnastu wieków. W Chicago msze zaczęto odprawiać w języku angielskim. Proboszczowie obawiali się masowych protestów. Żadne jednak nie nastąpiły.

Ellen mówiła bardzo niewiele podczas przyjęcia. Poszła na nie, ponieważ ktoś z jej przyjaciół stwierdził, że przydałby jej się relaks. Przyjęcie wydawał eks-ksiądz wraz z żoną, a uczestniczyli w nim również inni byli księża z żonami oraz seminarzyści z przyjaciółkami. W pewnym momencie Ellen odezwała się do żony eks-księdza „siostro"; łatwo było o taką pomyłkę, gdyż większość kobiet wyglądała jak zakonnice. Wyjątek stanowiła grupka spokojnych i atrakcyjnych dziewcząt, które akurat zamierzały wstąpić do klasztoru.

Ellen stwierdziła w duchu, że gdyby była księdzem, który porzucił kapłaństwo, nie chciałaby mieć nic wspólnego z Kościołem. A jednak wszyscy ci faceci wymieniali między sobą plotki z tego kręgu: kto zastąpi Spellmana w Nowym Jorku jaki jest nowy arcybiskup Filadelfii, co powiedział Michciel Novak i Daniel Callahan.

Spożywano zbyt dużo alkoholu, opowiadano zbyt dużo świńskich dowcipów, a powietrze naladowane było erotycznymi niedomówieniami i sprośnymi półsłówkami. Ellen nienawidziła Kościoła za to, co jej uczynił. A teraz ci głupcy czynią ten znienawidzony Kościół obiektem sprośnych żartów. Pomyślała o siostrze Karolinie i zastanowiła się przez chwilę, czy ta dobra kobieta nosi teraz stylonowe majteczki. Aż otrząsnęła się, stwierdziwszy, że i w nią uderza atmosfera wieczoru.

Młody człowiek o nazwisku Tim Prindeville, spędzający wieczór w towarzystwie wysokiej, kościstej i o wiele od niego starszej kobiety, mówił właśnie o Patricku Donahue. Ten temat interesował wszystkich.

— Pat ssie kutasy połowie kardynałów z Kurii — opowiadał. — Wie, co robi. Pewnego dnia zostanie arcybiskupem Chicago. A to będzie oznaczać kłopoty dla nas wszystkich.

— I żadna kobieta w Chicago nie będzie już bezpieczna — zawtórował mu partner Ellen. — Pat zawsze był skory do rozpinania rozporka.

Przestała ich słuchać. Poczuła się, jakby nie było jej tutaj z nimi, jakby obserwowała ich wszystkich z ogromnego dystansu. Takie chwile zdarzały się jej ostatnio bardzo często.

Jej partner próbował zafundować sobie seksualne igraszki na koniec wieczoru. Odepchnęła go zdecydowanie. Zdziwił się.

— Otwórz drzwi do mieszkania, niech chociaż wejdę do ciebie na dobranoc — powiedział. — Nic ci nie zrobię.

— Nie, chociaż bym miała sterczeć pod drzwiami przez całą noc — odparła chłodno.

Zrezygnował w końcu i poszedł sobie. Później przez długi czas siedziała przy oknie, obserwując świat za szybą. Dom był cichy, spokojny, dzieci równo oddychały, śpiąc snem sprawiedliwego. Noc była zimna, a gwiazdy na niebie zdawały się bardziej odległe niż zazwyczaj.

Ojciec rozparł się wygodnie we wprost niewyobrażalnie wielkim fotelu w swym gabinecie i westchnął ciężko, otwierając dwudziestoczteroletnią butelkę Jamesona ze specjalnych zapasów.

Dobiegał sześćdziesiątki, choć wcale nie wydawał się starszy niż w dniu, w którym powrócił z Niemiec.

— A więc kończysz w czerwcu — powiedział wesoło. — Wcale młody wiek jak na doktora.

— Jestem, jak to mówią, dojrzałym studentem — odparłem. — Mam ogromną motywację, żeby pozostawić to wszystko już za sobą, nie mam rodziny, o którą musiałbym się martwić, lecz mam Kościół, który mnie pogania. — Ja-meson jak grom uderzył w moje gardło. Zastanawiałem się, jak wielu klientów mój ojciec raczy tak wspaniałym trunkiem.

— I co dalej? — zapytał.

— Nie wiem. Będę kontynuował badania. Pewne kręgi są zainteresowane moim piśmiennictwem na temat wpływu społeczności lokalnych na rozwój jednostki. Pozostanę w świętej Praksedzie.

Poczekam, aż skończy się Sobór i Wielki Holender zadecyduje, co mam dalej robić — wzruszyłem ramionami.

— Jesteś szczęśliwy? — Bawił się nożem do otwierania listów.

— Oczywiście — odpowiedziałem. — A dlaczego nie? Zawahał się, odłożył nóż i z kolei zaczął

bawić się małą kopertą.

— Mój drogi, normalnie nie prosimy cię o żadne przysługi... Uśmiechnąłem się, aby dodać mu odwagi.

— Jestem ci jednak coś winien — powiedziałem. Ojciec też uśmiechnął się.

— Ta przysługa byłaby jednak czymś specjalnym — powiedział i przystąpił do rzeczy: — Podczas obiadu w ostatnią niedzielę odbyliśmy taką rodzinną naradę. Zdaje się, że byłeś wówczas zajęty ze swoimi nastolatkami, więc...

— Tak — przyznałem ze skruchą. — Żałuję, że nie mogłem przyjść.

— Cóż, ustaliliśmy i bez ciebie, że Ellen potrzebuj pomocy. — Jego łagodne oczy obserwowały mnie uważnie

— Pomocy?

— Tak. Utrzymuje się z zasiłku, czy wiesz? — Nie wiedziałem. — Tim nie był ubezpieczony, jej własna rodzina wciąż nie wybaczyła jej tego małżeństwa, a rodzina Tima gotowa jest pomóc, jeśli Ellen odda im dzieci. Ona musi wrócić do pracy, chociaż w niepełnym wymiarze, aby odzyskać szacunek do samej siebie. Będzie potrzebowała opiekunki do dzieci, pieniędzy na ubrania i tego typu rzeczy. Stwierdziliśmy, że jeśli my jej nie pomożemy, nie uczyni tego nikt. A więc — popchnął kopertę przez biurko w moim kierunku — postanowiliśmy, że jej to damy.

Dopiłem Jamesona i wyciągnąłem rękę po kopertę. Nie była zalepiona. W środku znajdował się czek dla Ellen Foley Curran na dwanaście tysięcy pięćset

dolarów. Obejrzawszy go, wsunąłem czek z powrotem do koperty i odłożyłem ją na biurko.

— Ona tego nie przyjmie — powiedziałem, żałując, że nie znajduję się teraz w jakimś spokojnym miejscu, na przykład na Saharze, gdzie takie problemy nie występują.

— To była jednomyślna decyzja — kontynuował ojciec, nie zwróciwszy uwagi na mój komentarz. — Przyjęta bez specjalnej dyskusji. Kwota jest kompromisem. Twoja matka i Mary Ann chciały, aby to było piętnaście tysięcy dolarów. Ja przekonałem je, że Ellen z pewnością nie weźmie więcej niż dziesięć tysięcy — położył dłonie na biurku. — Twoja matka i ja zawsze twierdziliśmy, że rodzinne spory trzeba rozstrzygać na drodze kompromisów.

— Ona nie weźmie ani centa — powiedziałem.

— Ale nie wnosisz sprzeciwu wobec naszej... troski o Ellen? Bo jeśli tak, musielibyśmy losować, kto ma jej wręczyć kopertę.

— Sprzeciwu? — zdziwiłem się. — Nie, oczywiście, że nie. Czuję się dumny, że jestem członkiem takiej rodziny. Ale i tak Ellen nic nie weźmie. Chyba masz pojęcie o irlandzkiej dumie.

Głęboko wciągnął i wypuścił powietrze z płuc.

—— Dlatego posyłamy ciebie. Ty ją do tego możesz namówić.

Popatrzyłem przez okno. Z drugiej strony ulicy wznoszono kolejny drapacz chmur przeznaczony na biura. Przez grube szyby wpadał do pokoju hałas pracujących młotów pneumatycznych.

Późnomarcowy śnieg dopiero co przestałpadać.

— Powinieneś był słyszeć, co mi powiedziała przy zwłokach Tima — powiedziałem, nie chcąc teraz patrzeć na ojca.

— Słyszałem. I właśnie dlatego chcemy, żebyś to ty wręczył jej kopertę — odparł zdecydowanym, mocnym głosem. — Ellen będzie tak bardzo zdruzgota-

na z powodu swego wybuchu, że dojdzie do wniosku, iż jest ci winna przysługę.Nic dziwnego, że był jednym z najlepszych prawników w Chicago.

Po raz trzeci nacisnąłem dzwonek przy drzwiach. Może nikogo nie ma w domu, pomyślałem z nadzieją. Ale wówczas usłyszałem w głośniku domofonu znajomy głos, słaby i jakby bardzo odległy:

— Kto tam? Zaczerpnąłem powietrza.

— Kevin.

Po ciszy, zdającej się trwać wieczność, zabrzmiał cichy brzęczyk. Pchnąłem drzwi i otworzyły się. Wcześniej miałem poważne wątpliwości, czy przejdę tę pierwszą przeszkodę.

Budynek śmierdział zjełczałą kapustą. Ściany klatki schodowej po raz ostatni malowano chyba przed Wielkim Kryzysem. Na drugim półpiętrze bawiły się jakieś dzieciaki. Na trzecim piętrze czekały na mnie otwarte drzwi.

Spodziewałem się bałaganu w mieszkaniu — płaczących dzieciaków, śmierdzących pieluch, podartych dywanów i brudnych mebli. Było tu jednak nadspodziewanie schludnie, czysto, kolorowo i jasno, gdyż przez kuchenne okno wpadały wesoło promienie słoneczne. Brendan i Karolina uśmiechnęli się do mnie i powrócili do zabawek. Maria spała w łóżeczku, a Timmy, w ramionach Ellen, ssał butelkę z mlekiem.Nieporządna w tym mieszkaniu była jedynie matka — otyła i niestarannie ubrana, w podartych pończochach, bez obuwia. Na prostym stoliku przy jej fotelu leżała paczka papierosów, obok, na podłodze, porozrzucane były jakieś tanie książki. Na innym stoliku, w zasięgu ręki, stał talerzyk z cukierkami.

Była już starą kobietą, po jej pięknej figurze pozostało wspomnienie, jej dłonie były żółte od nikotyny, oczy zdradzały zmęczenie. Głos miała słaby, a ruchy powolne, ociężałe.

— Jak się masz, Ellen? — zapytałem, nie potrafiąc w żaden inny sposób rozpocząć rozmowy. Koperta w wewnętrznej kieszeni marynarki zdawała się wypalać dziurę na sercu.

— Nie cofam ani jednego słowa z tego, co powiedziałam w domu pogrzebowym.

— Nie miałem wielkiej nadziei, że cokolwiek cofniesz — odparłem. — Pomyślałem, że możemy jednak mimo to porozmawiać.

Kołysała maleńkiego Timmy'ego z czułością odwrotnie proporcjonalną do zacietrzewienia, z jakim rozrywała mi serce.

— Czy dotrze w końcu do twojego chłodnego, prymitywnego mózgu, że ja go naprawdę kochałam? Nie, z pewnością nie. Ty nie wiesz, co to jest miłość. Oczywiście, zbyt udane to małżeństwo nie było, ale to nie jego wina. Kochałam go, kochałam go ze wszystkich sił, całą mocą swojej miłości. A jednak nie uczyniłam go szczęśliwym, nie zapewniłam mu ani odrobiny spokoju, właściwie nie dałam mu żadnej przyjemności. Ty i ci twoi przeklęci księża wpoiliście mu tyle strachu i poczucia winy, że bał się kochać. — Mówiła głosem spokojnym, bez emocji, zdawałoby się, że pozbawionym jakiegokolwiek uczucia. — To ty mówiłeś, że nie może być między nami nic, dopóki nie weźmiemy ślubu, więc się pobraliśmy, nie mając żadnegopojęcia o seksie. Zaszłam w ciążę w zasadzie podczas nocy poślubnej. Mogę policzyć na palcach obu rąk, ile razy kochaliśmy się podczas ostatnich dwóch lat naszego małżeństwa. A jednak byliśmy w sobie zakochani. Teraz Tim nie żyje i wszystko się skończyło.

Zaczynałem zmieniać opinię o sprycie Pułkownika. A jednak nie chciałem Ellen przerywać. Niech wszystko z siebie wyrzuci. Popatrzyłem na książki leżące na podłodze. Nic wielkiego, zwykłe romansidła; a moja Ellen chciała zostać pisarką, przeczytała całego Dickensa i Scotta już w pierwszej klasie gimnazjum.

— Masz prawo być zła, Ellen — powiedziałem.

— Nie podlizuj się, ty nędzny draniu. — Ton jej głosu nie zmienił się ani trochę. — Czy jesteś w stanie wyobrazić sobie z tej twojej klatki celibatu, że kobieta może mieć żądze i namiętności, które nie ograniczają się do zbożnego urodzenia czwórki dzieci w ciągu pięciu lat, że są rzeczy bardziej pociągające niż bezustanne zmienianie pieluch?

— „Klatka celibatu". Całkiem miła jesteś. Jej policzki jakby zaróżowiły się.

— Czy zawsze ostatnie słowo musi należeć do ciebie? — warknęła.

Usłyszałem głosy dzieciaków, grających na podwórku w koszykówkę. Wstałem.

— A teraz posłuchaj mnie, Ellen. Nie wdałem się w pyskówkę z tobą na pogrzebie, gdyż takie zachowanie nie przystoi księdzu w obecności tłumu ludzi. Za to przyszedłem teraz, żeby pewne sprawy wbić ci do głowy. Nie zamierzam pozwolić takiej ociężałej krowie iść dalej przez życie ze świadomością, że pokonała Kevina Brennana w potyczce na słowa.

— „Ociężałej krowie"! Co ty, do diabła, sobie wyobrażasz?

— Zamknij się i wysłuchaj kilku słów prawdy! — krzyknąłem. — Wysłuchaj, bo jestem jedynym człowiekiem, który ci je może powiedzieć. Jesteś grubą, zdziwaczałą neurotyczką, poprzez bezustanne żarcie i palenie papierosów wpędzasz się do grobu. Całe twoje zainteresowania to prymitywne programy reklamowe! — Zgadywałem, ale,

zdaje się, strzeliłem celnie. — I głupie romansidła. To nie wróci Timowi życia, nie pomoże tym dzieciom dorosnąć i wreszcie nie pomoże w niczym tobie. Biedna Ellen, cierpiące, żałosne popychadło. Jesteś idiotką i będę ci to wciąż powtarzał, o ile się nie zmienisz.

Kiedy tak maszerowałem dookoła pokoju, wydzierając się na nią, przez cały czas śledziła mnie wyblakłymi, szarymi oczami.

— A co mam zrobić? — wrzasnęła do mnie.

— Przede wszystkim przestań palić! — Nachyliłem się i wrzuciłem paczkę papierosów do kosza stojącego w kącie pokoju. — Przestań żreć! — Cukierki poleciały za papierosami. — Pozbądź się tego! — Kopnąłem stertę książek. — I schudnij ze dwadzieścia funtów.

TLR

Wstała, podeszła do pustego łóżeczka, obok tego, w którym spała niezakłóconym snem Maria. Delikatnie ułożyła Timmy'ego i powróciła na swoje miejsce.

— Może i trzydzieści — powiedziała. — A potem, ojcze? Co potem?

— Wróć do pracy w świętej Annie lub Loretto. Użyj wszystkich sił, aby znów nabrać wiary w siebie. A potem znajdź sobie jakiegoś mężczyznę.

— Już miałam mężczyznę i nie chcę innego. — Ellen walczyła ze łzami.

— Chcesz czy nie chcesz, lepiej się postaraj! — krzyknąłem. — Twoje dzieci potrzebują ojca, ty potrzebujesz męża, a na świecie są miliony facetów, którym potrzebna jest taka kobieta jak ty! — Z wściekłości zabrakło mi tchu. Spróbowałem się uspokoić. — I, na miłość boską, przestań w końcu użalać się nad swoim losem. Wiesz co, Ellen? Wkrótce twoja żałoba gówno będzie kogokolwiek obchodzić, więc szybko o niej zapomnij.

— Czy w ogóle jest we mnie coś, czego nie powinnam zmienić, Kevin? — zapytała, wpatrując się w podłogę.

— Tak, twoje szare oczy powinny błyszczeć tak samo jak teraz, kiedy jesteś na mnie wściekła.

Uniosła głowę. Na jej ustach błąkał się cień uśmiechu.

— Założę się, że zrobiłeś kawał drogi tylko po to, żeby obdarzyć mnie tym komplementem.

W tym momencie przypomniałem sobie, po co naprawdę tu przyszedłem. Cały płomień złości, który we mnie płonął, w jednej chwili wygasł. Usiadłem ciężko na kanapie.

— Czy to wszystko, Kevin? — zapytała cicho.

— Och, Boże, Ellen. Tak nakrzyczałem na ciebie... — nie wiedziałem, jak przejść do rzeczy. — Cóż, chciałbym, żebyś wyświadczyła mi przysługę.

Znów cień uśmiechu na ustach. Dalej, śmiało, Kevinie Brennan.

— Nieczęsto się zdarza, żeby Pułkownik czegoś ode mnie żądał. Zapragnął, abym coś zrobił i... i potrzebuję twojej pomocy.

Zmarszczyła czoło, a ja wyciągnąłem z kieszeni kopertę i wyciągnąłem ją w kierunku Ellen.

— Musisz przyrzec mi, że tego nie podrzesz.

— Nie bądź dzieckiem, Kevin. Oczywiście, przyrzekam, że nie podrę — powiedziała niecierpliwie.

Wzięła ode mnie kopertę, otworzyła ją, popatrzyła na czek i rzuciła kopertę wraz z czekiem na podłogę.

— Nie zależy mi na łasce twojej rodziny! Podniosłem czek i kopertę; czek włożyłem na miejsce i położyłem wszystko na stoliku.

— A czy zależy ci na naszej miłości? Przez jej twarz przebiegł grymas bólu; jakbym wbił nóż w jej klatkę piersiową.

— Dlaczego, Kevin? — zapytała. Walczyła ze łzami napływającymi jej do oczu.

— W ubiegłym tygodniu odbyła się narada rodzinna. Nie uczestniczyłem w niej — dodałem szybko, aby Ellen nie pomyślała, że czek to mój pomysł. — Ale, gdy Pułkownik powiedział mi, zgodziłem się...

— I prawdopodobnie gryzłeś się, że sam wcześniej o tym nie pomyślałeś. Mówiłem dalej, zignorowawszy jej słowa.

— Uważamy, że musisz wrócić do pracy, chociażby w niepełnym wymiarze, a to oznacza konieczność zatrudniania gospodyni, kupienia czegoś porządnego do ubrania i jeszcze mnóstwa innych rzeczy. Wszyscy cię kochamy —mówiłem, zdając sobie sprawę, iż twarz Ellen wykrzywia się w coraz większym bólu — a więc stąd ten czek.

— Nie dostanę pracy na pół etatu w Loretto. Potrzebują sióstr na oddział psychiatryczny tylko w pełnym wymiarze — powiedziała, widząc, jak zamyka się pułapka przygotowana przez Brennanów.

— Chyba nie sądzisz, że Pułkownik pozostawi coś takiego przypadkowi? Oczywiście, przyjmą cię w

Loretto z powrotem na pół etatu.

— Jakie stawiacie warunki? Co będę musiała robić?

— Gdyby to zależało ode mnie, przeszłabyś ciężką szkołę. Kilka dni pracy w tygodniu, kilka funtów do zrzucenia obowiązkowo co miesiąc i co jakiś czas jakaś dobra książka, którą musiałabyś przeczytać, żeby zapomnieć o tej makulaturze. Szczęśliwie się składa, że moja rodzina to ludzie łagodni jak baranki. Nie stawiamy żadnych warunków. Taki czek będziesz otrzymywać co roku, dopóki nie uznamy, że już więcej ci nie potrzeba.

— Czy to pożyczka?

— Nie, nie jesteśmy bankiem. Natomiast sprawiamy prezenty tym, których kochamy.

Wstałem i ruszyłem w kierunku drzwi. Ramiona Ellen zwisały bezładnie, nieruchawe ciało niechętnie poddawało się rozkazom wypływającym z mózgu. Patrzyła na kopertę, jakby zrzucona została do jej mieszkania z latającego talerza.

— Kevin, ja nie chcę wybierać — powiedziała głosem, który był pełen bólu.

— Wybierać między życiem a śmiercią? — zapytałem z ręką na klamce. Pokiwała głową.

— Ellen, my wybraliśmy za ciebie. — Otworzyłem drzwi. Gdy je za sobą delikatnie zamykałem, Ellen

wciąż wpatrywała się w kopertę.

1965

12 lipca

Droga Ellen,

Znów jestem w Rzymie, po nudnym niedzielnym popołudniu niedaleko Tivoli. To górski region, gdzie zmęczeni rzymscy arystokraci wypoczywają w gorące niedziele od czasów Romulusa i Remusa. Rosną tu wspaniałe drzewa, w cieniu jest zawsze chłodno i nie ma okropnego rzymskiego smogu. Miejsce wprost idealne dla pałacu przyjemności takiego, jak Casa Martinelli.

Kobiety są tu cholernie piękne, że aż chce się wyć z zazdrości. Mężczyźni to chodzące imitacje Rudolfa Valentino. Przez całe popołudnie rozmawialiśmy leniwie o rzeczach zupełnie nieistotnych, ale czasami śmialiśmy się i cynicznie komentowaliśmy finansowe posunięcia niektórych ważniejszych osób z Kurii. Naszymi gospodarzami byli: monsinior Martinelli, patron Pata i znany pederasta, oraz jego matka, księżna Martinelli, która zapewne przekroczyła niedawno pięćdziesiątkę, ale wygląda przynajmniej o piętnaście lat młodziej. Ma dwie piękne „służące", które nonszalancko klepie po pupach, kiedy biegają w tę i z powrotem z kawą i trunkami. Są równie urodziwe jak dwaj młodzi klerycy z otoczenia monsiniora Martinellego. I oni, i jeszcze kilka innych, starannie dobranych postaci, składają się na obraz jakby domu Borgiów, z tym, że Martinelli uważają Borgiów za parweniuszy. Marmurowe łuki i wspaniałe tarasy pałacyku zbudowano, kiedy Borgiowie jeszcze uprawiali ziemię w Hiszpanii.

Nikt nie wydaje się w najmniejszym stopniu zaszokowany perwersyjnością tego miejsca. Jak powiedziała mi księżna swoim modulowanym głosem, kardynał Rodrigo Marti-nelli, założyciel klanu, wybudował ten pałac w XV wieku, ka-

żąc go złożyć z dwóch skrzydeł: jednego dla swojego bambini, a drugiego dla swojej bambinae. Nie miała bynajmniej na myśli dzieci.

— Jesteśmy jedynymi normalnymi ludźmi w tym miejscu — szepnęłam do Pata.

— Ciii — syknął. — To bardzo stara rodzina, uważana za jedną z najbardziej oddanych papiestwu.

— Później Tonio — monsinior — przyłączył do nas, ucałowawszy moją dłoń, jednak jego silne, brązowe oczy spoczywały na Patricku nawet wtedy, gdy mówił:

— Nasz górski domek to doskonałe tło dla twojej dzikiej urody, siniora. — Jego cienkie wargi, nadające mu wyraz okrucieństwa, wyginały się wówczas w nawet miłym uśmiechu.

Później, gdy już po zmroku wracaliśmy do Rzymu, Pat jakby zaczął się bronić:

— Oni są o wiele mądrzejsi i sprytniejsi od nas, Mau-reen — powiedział. — Są bardziej cyniczni i bezwzględni. A seks? Nie ma w Kurii takiego znaczenia jak w ubiegłym stuleciu, kiedy niektórzy mężczyźni obejmujący tron papieski mieli dzieci. Większość z nas dotrzymuje swych ślubów. Nie miewamy kochanek ani ślicznych chłopczyków.

— Być może — odparłam. — Ale nie zmieni to faktu, że Tonio jest pedałem i ma na ciebie oko.

— Wcale nie! — krzyknął. Zezłościł się. — Poza tym nie chcę, Maureen, żebyś myślała, że robię karierę w Kościele, podstawiając swój tyłek monsiniorom.

Poprosiłam go, mówiąc, że nie wątpię ani w jego niewinność, ani w heteroseksualizm. Lecz wciąż jestem niespokojna. Patowi zdaje się, że jest bardzo sprytny i potrafi wykorzystać Martinellego. A ja jestem pewna, że wkłada głowę w paszczę krokodyla. Masz wykształcenie psychiatryczne. Proszę, doradź mi coś.

Sheila właśnie przeszła letnią grypę. Mam nadzieję, że Twoje dzieci trzymają się dobrze, a z pracy jesteś zadowolona.

Ściskam Cię Maureen

30 lipca

Droga Maureen,

Udzielę Ci rady, skoro o to prosisz.

Trzymaj Pata z daleka od tych kanalii. On wciąż jest dzieciakiem z West Side.Spodobał mi się Twój opis pałacyku. Chciałabym widzieć K.evina Brennana w twoim towarzystwie. Założę się, że potraktowałby Martinellich z otwartą pogardą — jedynym uczuciem, jakiego oni nie tolerują wobec siebie. Brennanowie, nawet Mary Ann, którą kocham z całego serca, nie ulegają, tak jak ja, ty, Patrick czy Martinelli, zmysłowym grzechom kardynalnym. Irlandzka tradycja opiera się raczej na dumie, gniewie, nienawiści i zemście.

W gruncie rzeczy wahałabym się, czy powinnam przyjąć ich postawę.

Z dzieciakami w porządku. To dobrze, że z Sheila jest lepiej. Jestem zmęczona i samotna.

Dziękuję Ci za modlitwy. Nie mogą przynajmniej zranić.

Twoja Ellen

— Żaden z nich nie ma nic przeciwko twoim Żydom — powiedział brodaty franciszkanin o łagodnym głosie i akcencie Irlandczyka z Wexfordu, wskazując brodą purpurowy strumień biskupów, wynurzający się spod portalu św. Piotra. — To tylko chrześcijańscy Arabowie występują przeciw temu dokumentowi.

Byłem w Rzymie zaledwie od tygodnia. Niebo nad bazyliką było wprost kryształowo błękitne. Sama kopuła zdawała się wręcz biała w oślepiającej jasności poranka. Biskupi Kościoła Rzymskokatolickiego w wielokolorowym splendorze przemieszczali się powoli przez plac św.

Piotra, zmierzając ku samochodom i autobusom.

— Chcesz powiedzieć — odezwałem się zaczepnie, odstawiając filiżankę z herbatą, aby jej nie rozlać — że papież wstrzymuje tę deklarację z przyczyn politycznych?

— Potępienie antysemityzmu — wtrąciła się Maureen — nie przysporzy mu popularności i wykończy chrześcijańskich Arabów. — Wstała z krzesła. — Zamówię sobie jeszcze kawy.

Patrzyłem za nią zbliżającą się do barowego kontuaru. Jej figura zaokrągliła się. Dla kogoś gustującego w dobrze zbudowanych kobietach kilka funtów wagi więcej u Maureen zdawało się czymś wręcz pożądanym. Niepożądane było natomiast z pewnością zmęczenie, wyraźnie widoczne w jej oczach.

— Powiedz mi, ojcze Kevinie — zaczął Dermot McCarthy — czy twój człowiek, Holender, poparłby tę deklarację? Mój szef nieustannie zastanawia się nad tym.

— Zdałby się na Spellmana, który jako kardynał jest członkiem Komitetu Amerykańsko-Żydowskiego. — Nie zamierzałem mówić wszystkowiedzącemu Dermotowi McCarthy'emu, że „mojego człowieka", Meyera, podczas naszej jedynej dłuższej rozmowy w Rzymie nurtował wyłącznie problem aktualnej pogody w Chicago.

— Kuria wypowie się wkrótce na temat Żydów, ojcze Kevinie — westchnął Dermot. — Na razie chyba świadomie podgrzewają nastroje. Z pewnością nie będzie w tej deklaracji nic o wolności religijnej.

Maureen powróciła do stolika z herbatą dla mnie, a kawami dla siebie i Dermota. Dermot bezmyślnie grzebał widelcem w ciastku kremowym.

— Cóż, powiem wam coś — zdecydował się wreszcie. — W tej zabawie stawką są ogromne pieniądze. — Znów ten uśmiech św. Franciszka. Po chwili Dermot był na nogach i szybkim krokiem zmierzał w kierunku Watykanu.

— Nie wierz temu fałszywemu irlandzkiemu uśmiechowi, Kevin — powiedziała Maureen do mnie. — Czasami wydaje mi się, że jest mu zbyt trudno zakreślić granicę między tym, co jest rzeczywistością, a tym, co chciałby, żeby nią było. — Bawiła się kosmykiem swoich krótko przyciętych, ciemnych włosów. Rzeczywiście, wyglądała na bardzo zmęczoną.

— Maureen, co możemy dla ciebie zrobić? Mimo ślubu Toma, unieważnienie małżeństwa...

Natychmiast przerwała mi.

— Do cholery, Kevin, o co ci chodzi? Czy nie potrafisz bawić się grą, która odbywa się tutaj?

Jaką przyjemność sprawia ci grzebanie się w zawiłościach mojego małżeństwa, w przygodach miłosnych Pata czy w samotnym wdowieństwie Ellen? Założę się, że na tym polegała również twoja praca w parafii. Czy nie sprawia ci radości praca naukowa? Dlaczego na siłę szukasz zmartwień? Dlaczego martwisz się mną? Przecież dla mnie i tak wszystko jest już stracone.

— Nie jest stracone, Maureen, a poza tym lubię martwić się o ciebie. Ten zmęczony wyraz twoich oczu rozdziera mi serce. Dlaczego tak jest? Bądź przez chwilę psychologiem. Mały chłopiec dorasta, podczas gdy jego wspaniały ojciec gdzieś daleko bije się za swój kraj. Uczy się, jak opiekować się matką i młodszym rodzeństwem. A potem, przez resztę życia pomaga innym ludziom. I czasami bywa w tym bardzo dobry.

— Och, Boże, Kevin — krzyknęła przerażona. — I na tym polegały twoje śluby kapłańskie?

Wycofaj się z tego jak najszybciej.

— Niby dlaczego? Lubię martwić się za innych ludzi. Uniosła filiżankę z kawą, a potem nietkniętą odstawiła na mały podstawek.

— I jesteś szczęśliwy?

— A dlaczego nie?

Przechyliła się nad stołem i pocałowała mnie. Pocałowała mnie w cieniu bazyliki św. Piotra, nie dbając o skandal, który mogłaby w ten sposób wywołać.

— To za to, że jesteś taki kochany i tak bardzo się mną przejmujesz. I nie martw się Tomem Murrayem. To świnia. Nie wiem, co kiedykolwiek w nim widziałam.

Bardzo późno powróciłem do Villanova House, gdzie mieszkałem, i prawie natychmiast poszedłem do łóżka. Śniłem nie o Maureen, ale o Ellen. Znów byłem w Loretto Hospital, tak jak wówczas, w kilka dni po wręczeniu Ellen tej koperty. W moim śnie Ellen goniła mnie z ostrym nożem. Jakiś hałas za oknem obudził mnie na chwilę przedtem, zanim zaczęła mnie kastrować.

Minęły dwa miesiące od mojej wizyty w szpitalu, a ja wciąż czułem się poniżony. Odwiedziłem wtedy Mary Tansey; biedna kobieta nie zasługiwała na taką karę, jaką był rak płuc. Jeden z moich parafian leżał na oddziale psychiatrycznym. Przez chwilę zastanawiałem się, czy go odwiedzić

Bardziej bałem się, że nie zobaczę tam Ellen, niż tego, że ją zobaczę.

Moja niepewność trwała bardzo krótko. Już po chwili ujrzałem Ellen z dużym notesem w ręce, otoczoną przez grupę pielęgniarek i praktykantek.

— Cześć — powiedziałem niepewnie, gdy spojrzała na mnie chłodnym wzrokiem.

— Dzień dobry, ojcze — odparła. — Pan McClutche jest w pokoju 417, jeśli ojciec chciałby go odwiedzić. Jego stan się poprawia.

— Zdaje się, że i ty masz się coraz lepiej — stwierdziłem. Widzę, że zrzuciłaś już co najmniej połowę nadwagi. Cz przeczytałaś ostatnio jakąś dobrą książkę?

Nastąpiła grobowa cisza. Wargi Ellen zbielały, a oczy zapłonęły wrogością.

— Przepraszam cię — powiedziałem. — Robię z siebie idiotę. Tak bardzo bałem się, że kiedy cię zobaczę, nie będę wiedział, co powiedzieć. Znów spieprzyłem sprawę.

— Rzeczywiście — przytaknęła zimno. — I bardzo cię proszę, przyjmij do wiadomości, że niezależnie od tego, jak bardzo powinnam być wdzięczna twojej rodzinie za jej szczodrość, wcale nie muszę podlegać nadzorowi z twojej strony.

Ellen odwróciła się i sztywnym krokiem zaczęła oddalać się ode mnie długim korytarzem.

Poszedłem do pokoju Joe McClutcheya. Kiedy wychodziłem, nigdzie już nie zauważyłem Ellen.

TLR

Po przebudzeniu wziąłem prysznic i poszedłem do wspólnego pokoju, znajdującego się na końcu amerykańskiego korytarza w Villanova. John Quinn, chicagowski ekspert od prawa kanonicznego, z oddaniem godnym większej sprawy pilnował, aby zawsze znajdowały się tam co najmniej dwie butelki Jamesona. W duchu chwaląc tę jego postawę (w duchu — gdyż w pokoju nie było akurat nikogo, do kogo mógłby się głośno odezwać), nalałem sobie do szklanki całkiem sporą porcję, uzupełniając ją kostkami lodu z maszynki, którą również Quinn tu dostarczył. W tym czasie w Rzymie znajdowały się jedynie dwie maszynki do lodu: druga stała w Chicago House i była prezentem Quinna dla kardynała.

— Czyżbyś raczył się tutaj Jamesonem? — niespodziewanie usłyszałem miły, sympatyczny męski głos. — Cholera, Kevin, zdaje się, że tylko my dwaj w całym mieście doceniamy walory tego trunku.

John Courtney Murray był wysokim i chudym facetem; miał przynajmniej sześć stóp wzrostu.

Łysy, nosił grube szkła i znany był z błyskotliwego pióra. Już przed wielu laty zakazano mu pisać na temat stosunku Kościoła do swobód religijnych. Podczas pierwszej sesji Drugiego Soboru Watykańskiego wyklęto jego teksty, jednak w następnych sesjach uczestniczył jako ekspert, na zaproszenie kardynała Spellmana. Obecnie pracował nad tekstem dotyczącym jego ulubionego zagadnienia, tekstem, który z powodzeniem mógłby wywołać rewolucję w katolickim pojmowaniu wolności.

Usiedliśmy na twardych krzesłach i powoli zaczęliśmy sączyć trunek.

— Nie muszę ci chyba mówić, Kevin — odezwał się — że będzie ogromną katastrofą dla Kościoła, jeżeli deklaracja o wolności religijnej nie ujrzy światła dziennego. Czy wyobrażasz sobie katolicki kraj, w którym Kościół dopuszcza, a wręcz zachęca do prześladowania mniejszości wyznaniowych? — Opróżnił szklankę do dna. Jak zauważyłem, nie skaził swojego trunku lodem.

— Teraz — kontynuował — nie zdziwię się, jeżeli przeciwnicy deklaracji zechcą wykorzystać ojca Donahue, który, jak mi wiadomo, jest twoim przyjacielem. To błyskotliwy, młody mężczyzna, czarujący i inteligentny. Ale może łatwo ulec wpływom tych dwulicowców. Musimy 'być czujni. Czy możemy na ciebie liczyć? — Zajmę się nim — powiedziałem z szerokim uśmiechem

l października

Droga Ellen,

Dziś wieczorem czeka mnie kolejne wielkie party, chcę jednak skończyć ten list, zanim zacznę się przygotowywać do wyjścia. Nie wiem, co począć z Patem.

Rodzina zupełnie straciła go z oczu, jakby się ich wyrzekł. Zaczęło się to, kiedy pracował w parafii Czterdziestu Świętych Męczenników. Liczyli na to, że będzie spędzał z nimi każdy niedzielny wieczór, a on nie miał dla nich czasu. Jego matka planowała chyba już podczas jego seminaryjnych lat, że co tydzień będzie go pokazywać znajomym. Nic z tego; rzadko bywał w domu, parafia była dla niego wszystkim.

Ściśle związał się z ludźmi, którzy dawali mu duże pieniądze, na przykład na utrzymanie parafii, jak Tanseyowie (Boże, świeć nad jej duszą) i Carreyowie. Myślę zresztą, że zawsze uważał rodziców za nudziarzy. Nie usprawiedliwiam go, chociaż rodzina go nie rozumiała. Krewni nie mogli pojąć co robi, i niezbyt chętnie patrzyli na jego pracę w murzyńskiej parafii. Poza tym byli bardzo źli, że nie znalazł dla rodziny ani chwili czasu przed dwoma laty. Wczorajszy list od jego matki wprost rozdarł mi serce — nie mają od Pata wiadomości, zdradził ich, o wiele bardziej interesuje się swoją karierą niż rodziną. Obawiam się, że to prawda, ale chyba sami są sobie winni. Ich wizja dobrego księdza sprowadza się do tego, co ojciec Conroy robił w naszej parafii dokładnie dwadzieścia lat temu.

Czasami Pat mówi, że chciałby zrezygnować z tego wszystkiego, powrócić do Czterdziestu Świętych Męczenników i spędzać niedziele z rodziną. Gdyby miał choć odrobinę więcej odwagi i odrobinę mniej ambicji, podążyłby za tym impulsem i byłby szczęśliwym księdzem.

Nie zamierzam namawiać go jednak do tego. Sam musi podjąć decyzję. Hej, zabrzmiało to, jakbyś słyszała Kevina, prawda? Może jego sposób myślenia jest zaraźliwy? W każdym razie dzisiaj rano wypiłam z Kevinem kawę. Wiem, że go nienawidzisz, a ty wiesz, że ja uważam, iż nie powinnaś go nienawidzić, nie napiszę więc o tym nic więcej.

Założę się, że chciałabyś wiedzieć, jak działa on na mnie, będąc w tym samym wieku, w którym Chrystus umarł na krzyżu. Raczej trudno mi jest odpowiedzieć. W pewnym sensie mniej go lubię, a w pewnym lubię go coraz bardziej.

TLR

Chcę powiedzieć, że Kevin jest obecnie jeszcze bardziej cynicznym, bezwzględnym i zimnokrwistym facetem niż dotąd. A jednak... jednak... nie ulega wątpliwości, że jednocześnie posiada dużą inteligencję i wrażliwość. Chyba pamiętasz, jak smutne potrafią być jego zielone oczy.

Pat pragnie zostać biskupem. Ja chcę zrobić coś pożytecznego w życiu. Ty chcesz zostać pisarką, nie mam wątpliwości. A czego chce Kevin? Nie wiem.

Powinnaś zawrzeć z nim pokój. Wiesz, że w końcu i tak to zrobisz. Dlaczego już teraz nie mieć tego z głowy?

A więc do dzieła.

Ściskam cię Maureen

Jak wszystkie przyjęcia u Maureen, i to odniosło wielki sukces. Pat dziwił się, że Maureen tak przekonywająco potrafi udawać zainteresowanie sprawami Soboru, w rzeczywistości zupełnie o nie nie dbając. Jej nie dokończone obrazy, niedbałe porozrzucane po starym pałacu przy Piazza Farnese, z tygodnia na tydzień pozostawały w coraz większym zapomnieniu. Maureen zaniedbywała sztukę dla polityki.

Pat czuł się winny tego stanu rzeczy. Szkice zdradzały duży talent drzemiący w Maureen. Jeden z jego włoskich przyjaciół, Fredo DeLucca, kuzyn Antonia Martinełłego, uznał talent Maureen za wart starannego pielęgnowania.

Dermot McCarthy krążył po pokoju, jak zwykłe uroczy i czarujący. Właśnie wdał się w poważną konwersację ze szczupłą, jasnowłosą żoną angielskiego reportera. McCarthy, we franciszkańskiej sutannie, poświęcał sporouwagi kobietom podczas spotkań u Maureen. Trudno odgadnąć, co ma zamiar zrobić, jednak wzrok nieuchronni zdradzał ogarniające go pożądanie. A Angielka była zmęczona Rzymem i z łatwością ulegała czarowi sympatycznego Irlandczyka.

Maureen postanowiła już, że swój czas i energię poświęci dla kariery Pata. Byli starymi przyjaciółmi, którzy po latach znów spotkali się w pięknym, ale

bezdusznym mieście. Razem wybierali mieszkanie dla Maureen, razem przyjmowali nianię dla Sheiłi, nauczycielkę. Pat nie prosił Maureen o wydawanie wieczornych przyjęć, ona sama wyczuła, że Pat potrzebuje jakiegoś miejsca poza Chicago House, aby spotykać ludzi i samemu być widywanym. Flegmatyczny Meyer nie pasował do tych spotkań, toteż wpadał tylko na chwilkę, dodając im blasku, i natychmiast znikał.

Rzymianie stawali się bardzo tolerancyjni wobec wszelkich związków międzyludzkich. Amerykańscy dziennikarze zdawali się nie dostrzegać niczego niestosownego w bliskich kontaktach pomiędzy młodym duchownym a jego bogatą patronką. Od czasu do czasu Pat próbował wyjaśniać, że oboje znają się już od dzieciństwa, bojąc się, aby nikt nie potraktował opacznie ich znajomości.

Teraz i Kevin był w Rzymie. W jednym z pokojów potakiwał spokojnie głową, słuchając wywodów Antonia. Na jego twarzy jak zwykle malowało się ledwo widoczne zniechęcenie.

Do innego pokoju Pat wniósł półmisek z salami, po drodze mijając Hansa Kunga, pogrążonego w poważnej rozmowie z innym teologiem. Jedną z przyczyn, dla których należało organizować takie spotkania, wyjaśnił Pat, było to, że gromadziły razem członków opozycyjnych frakcji. Podczas nich mogli się wzajemnie poznawać i nabierać wobec siebie respektu.

W pokoju tłoczyli się ważni i znani dziennikarze, ludzie, którzy kształtowali obraz Soboru, jaki wychodził w świat. Przyjęcia Maureen były już słynne w całym Rzymie. To tutaj ćwiczono swoje zdolności kształtowania sposobu myślenia całego świata. I Pat z zadowoleniem korzystał z tej możliwości.

Pat zauważył, że Kevin uważnie słucha monsiniora Marnellego. Górując nad wytwornym kurialistą co najmniej dwie trzecie stopy, Kevin wydawał się niewzruszony wobec jego argumentacji. Cóż, obaj byli pragmatykami, obaj poszukiwali kompromisowych rozwiązań, obaj rozumieli ludzkie zachowania. Pat pomyślał, że Kevin powinien przywiązywać większą wagę do stroju. Czarne marynarki i czarne swetry mogły być dobre na uniwersytecie, ale nie na modnym party w centrum Rzymu.

— Twój przyjaciel opowiada mi ciekawe rzeczy o psychologii Amerykanów — powiedział Tonio, a jego białe zęby zalśniły w szerokim uśmiechu. — Tak wiele jeszcze musimy się nauczyć.

Uważam, że powinien zostać biegłym Soboru. Może kardynał Meyer mógłby doprowadzić do tego już od następnej sesji, co?

— Kardynał uważa, za zanim Kościół zacznie brać pod uwagę słowa psychologów, nastąpi kolejny Sobór — stwierdził Kevin.

— Kevin, czy mógłbyś jutro zjeść lunch U Sabatiniego ze mną i z Maureen? — zapytał Pat niespodziewanie. A na boku dodał, zwracając się do Tonią: — Monsinior, we troje bawiliśmy się w piasku jako małe dzieci, a w tym mieście nie znaleźliśmy jeszcze czasu, żeby spokojnie porozmawiać.

— Ależ rozumiem cię, oczywiście. — Tonio łaskawym gestem rozłożył ręce. — Zobaczymy, może Felici wypuści biednych ojców kongresowych dziesięć minut wcześniej, będziesz mógł więc złożyć zamówienie przed popołudniowym tłokiem.

TLR

— Lunch? Dlaczego nie? — dopiero teraz zareagował Kevin. Aż nadto wyraźnie widać było, że nie jest zachwycony tą perspektywą.

Pat ruszył dalej. Całe mieszkanie było już w tej chwili zatłoczone: siedemdziesięcioro pięcioro gości, wszyscy „bardzo ważni".

Żona angielskiego reportera, tylko trochę pijana, wciąż rozmawiała z Dermotem McCarthym, który dyskretnie ujmował ją pod ramię, odrobinę naruszając granice dobrego wychowania. Na zmianę palili jednego papierosa. Nie byłowątpliwości co do zaproszenia lśniącego w oczach kobiety Dermot jeszcze nie wiedział, czy je odrzucić, czy przyjąć Zdawał sobie sprawę, że wspólna noc, o ile do niej dojdzie zobowiąże go do czegoś wobec tej Angielki.

A jednak w mieszkaniu znalazły się spokojne miejsca dla śpiącej Sheili, jednego ze służących oraz Pata i Maureen. Pat ustawiał w barku do połowy opróżnione butelki alkoholu uratowane z przyjęcia, a Maureen usiadła wygodnie na niskiej, szarej osiemnastowiecznej kanapie, wypoczywając.

— Nic na to nie poradzę, lubię takie przyjęcia. Mogłabym być postacią z filmu Felliniego.

Co o tym sądzisz, Patricku? Zamknął drzwiczki od przestronnego barku.

— Zapewne najbardziej lubisz w tym wytworne konwersacje, prawda?

Sięgnęła po papierosy.

— Co myślisz o Kevinie? — zapytała, nagle zmieniaj^ temat.

Odpowiedział powoli, starannie dobierając słowa:

— Być może wciąż nie przystosował się do czasu europejskiego, ale zdaje się jeszcze bardziej ponury niż dawniej. Chociaż jest bardzo bystry, prawda? — Pochylił się, zapalił jej papierosa i pomyślał o Dermocie i angielskiej dziewczynie. — Czy zauważyłaś, jak przyglądał się Pionie i jej przyjacielowi, franciszkaninowi?

Maureen uśmiechnęła się.

— Traktuje Dermota jako laboratoryjną ciekawostkę. A Dermot, który również jest dość bystry, doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Bliskość nagiego ramienia Maureen wstrząsnęła Patem. Zapalił papierosa dla siebie, chcąc uspokoić nerwy. Czuł się bardzo lekki. Zbyt wiele campari i wody sodowej.

Powinien jak najszybciej stąd wyjść.

— Czy Kevina nie zżera zazdrość? — zapytał lekkim tonem, walcząc z napięciem, jakie zaczynało ogarniać jego ciało.

Maureen ziewnęła i przeciągnęła się sennie.

— Właśnie. Dlatego tak rzadko się uśmiecha. Ale cóż, biednemu Kevinowi raczej nie można pomóc.

Każdy ruch jej ciała drażnił zmysły Pata.

— Zaprosiłem go na lunch, na jutro — powiedział.

— Jeśli o mnie chodzi, cieszę się z tego. — Maureen wstała i podeszła do drzwi. — A teraz wracaj na Via Sardegna. Czy ten twój kardynał nie sprawdza łóżek w nocy?

— Przedtem coś jeszcze muszę zrobić — odparł, świadomy jej smukłych ramion, gładkich pleców, zapraszającego zapachu kobiety i piersi, które aż się prosiły, by ich dotknąć.

Maureen odwróciła się w progu, zaciekawiona tonem jego ghsu.

— Co masz na myśli, Pat? Dlaczego tak na mnie patrzysz? Och, proszę, nie...

Zdusił jej krzyk, przytykając dłoń do jej ust. Przycisnął do niej całe swoje ciało. Walczyła ze wszystkich sił, pragnąc wyzwolić się z jego uścisku.

Pociągnął ją, rzucił na sofę i zerwał z niej sukienkę, obnażając ją do pasa. Nagle zapragnął przerwać. Odezwało się sumienie, przypominając o złożonych ślubach. Zabrał dłonie z piersi Maureen.

Oddychał ciężko i głęboko. Tak, już mógł przestać. Boże, ona mu nigdy tego nie wybaczy.

Muszę przeprosić ją i iść stąd. Nie spotkam się już z nią. Znajdę jakiś zapomniany klasztor... Nie dotykał już jej ciała, tylko koronek przy kosztownej bieliźnie; to było o wiele mniej niebezpieczne.

Niespodziewanie Maureen otoczyła go ramieniem i pociągnęła na siebie.

Kochali się dziko, gwałtownie, bezmyślnie. A później leżeli przytuleni do siebie, oblani gorącymi kroplami potu, które zdawały się łączyć ich ciała. Ani Pat, ani Maureen nie wyrzekli słowa.

Moja taksówka ugrzęzła w głośnym, cuchnącym korku ulicznym wczesnego popołudnia.

Przeklinałem głupotę kultury, która stworzyła cztery godziny szczytu ulicznego zamiast dwóch. Moja złość jednak nie posunęła mnie ani o krok bliżej na trasie z Piazza Hungaria w Parioli przez rzekę do Trastevere. Kierowca, dramatycznie przeklinający jeszcze bardziej dramatycznie gestykulując, torował sobie drogę przez Tybr ku późnośredniowiecznemu kościołowi Najświętszej Marii Panny w Trastevere. Byłem już prawie dwadzieścia minut spóźniony. Uroczy rzymski budynek i jego śliczna mozaika nie radowały mojego serca; nie uradował mnie też widok Pata ani jego zbyt ostentacyjnie eksponowane zaniepokojenie, gdy wstawał zza stolika stojącego przed Sabatinim.

— Chciałbyś zjeść w środku, Kevin? — zapytał. — A może...

— Tu jest doskonale — odparłem automatycznie. — Przepraszam za spóźnienie. To ten ruch uliczny.

— Chicago to przy tym oaza spokoju, prawda? — Pat wyraźnie się uspokoił, gdy siadłem przy stoliku. Nalał mi szklaneczkę frascati.

— Czy monsinior Martinelli wypuścił was dziesięć minut wcześniej? — zapytałem, jednocześnie wskazując kelnerowi, żeby mi podał masło. Moje nerwy wciąż były rozkołatane rajdem przez Rzym.

— W gruncie rzeczy, tak. Ale to chyba przypadek. Mam nadzieję, że ty i Tonio dobrze poznaliście się poprzedniego wieczoru.

— Myślę, że miałby trudności z porozumieniem się z kimś takim jak ja — odparłem ostrożnie.

— A czy Fredo DeLucca wydał ci się interesujący? — oczy Pata pozostawały w cieniu.

— Perwersyjny Rudolf Yalentino ze skłonnościami sadomasochistycznymi — odpowiedziałem. Jakby rumieniec przemknął przez twarz Pata.

— Jesteś niemiły, Kevin.

— Wiem. Ale co ja poradzę, że te rzymskie rodziny wywołują u mnie zgrzytanie zębami.

— To jeden z najbardziej szanowanych rzymskich dziennikarzy. „La Voce" to bardzo wpływowa gazeta. Czytają ją wszyscy w Kurii. Fredo ma dostojnych czytelników.

Powstrzymałem cisnące mi się na usta słowa o skłonnościach seksualnych dostojnych czytelników Fredo. Powiedziałem natomiast:

— Przypuszczam, że Maureen ugrzęzła w tym samym jcorku co ja.

— Tak, prawdopodobnie... — przerwał na chwile, a potem zaczął: — Tak naprawdę to właśnie o niej chciałem porozmawiać, Kevin. Nie wiem, co sądzisz o tym, że Maureen wydaje dla mnie te przyjęcia. Wiesz, ona chce to robić, uważa, że w ten sposób pomaga mi w karierze — wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Tak jakbym sam pragnął jedynie ciepłej posadki w Kancelarii, by do końca życia odbierać telefony. W każdym razie uważam, że powinienem zapewnić cię, że pomiędzy Maureen a mną nic nie ma.

— Mój Boże, Pat! — wykrzyknąłem szczerze zdziwiony. — Nigdy nawet nie pomyślałem o czymś takim.

— Ale chyba pamiętasz, że w średniej szkole... no cóż, mieliśmy się ku sobie.

— Dziecięca miłość — westchnąłem. — Szesnaście lat temu. Nie, siedemnaście.

Pat pokiwał głową.

— To miasto aż tętni od plotek. Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z tobą, zanim je usłyszysz. Wyszedłem na prostą drogę i bardzo chcę ci podziękować za pomoc.

To brzmiało tak sztucznie. Oczy Pata były niespokojne, stary strach znów do nich powrócił; patrzyły na mnie z nadzieją, że powiem coś uspokajającego, że powiem coś, co dowiedzie mojego zaufania. Nagle jakby chmura przecięła mój umysł. Dlaczego on się tak we mnie wpatruje? Czyżbym tym razem ja miał od-

TLR

grywać rolę Koko? W końcu w Kurii jest tak wielu homoseksualistów... Z trudem pozbyłem się tej natarczywej myśli.

Postanowiłem zapewnić Pata o swoim zaufaniu.

— Nigdy nie wątpiłem w ciebie, Pat, ale cieszę się, że mnie uprzedzasz. Jeśli ktokolwiek powie coś niestosownego o tobie i Maureen, dostanie ode mnie w szczękę.

— Czy widziałeś ostatnio Patsy? — zapytał niespodziewanie.

— Carreyowie zabrali ją na pogrzeb Mary Tansey — odpowiedziałem.

— Jak ona teraz wygląda? — pochylił się ku mnie.

— Jest bardzo ładną czteroletnią blondynką o błękitnych oczach — powiedziałem ostrożnie.

Wyprostował się na krześle, pokiwał głową i pociągną łyk wina.

W tym momencie koło nas zaparkował samochód. Prze wąskie drzwiczki zaczęła wysiadać Maureen. Ubrana była w jasnozieloną mini-sukienkę, o wiele więcej odkrywającą niż skrywającą. Wyglądała jednak ślicznie.

Nad spaghetti oboje zażądali ode mnie wieści od Ellen.

— W sumie nie wiem zbyt wiele — odparłem bez przekonania. — Przez jakiś czas było z nią kiepsko. Ale niedawno powróciła do pracy i nawet zdążyła już zrzucić piętnaście funtów nadwagi.

— Musi ładnie wyglądać — stwierdziła Maureen zazdrosnym tonem.

— Nie jestem ekspertem, ale mogłaby pozbyć się jeszc z dziesięć funtów — powiedziałem. — W każdym razie powoli staje się znów sobą. My, Irlandczycy, przywykliśmy do rocznej żałoby i do tego, że życie potem i tak musi iść swoją drogą.

— Napisałem do niej długi list na ostatnie Boże Narodzenie — powiedział Pat. — Zdaje się, że odniósł efekt.

— Z całą pewnością — rzuciłem, starając się nie okazywać ironii.

— Wyślijmy teraz kartkę z Rzymu! — zawołała Maureen z entuzjazmem.

Napisaliśmy więc coś niezbyt mądrego na pocztówce i zaadresowaliśmy ją do Ellen.

Zaoferowałem się, że wrzucę ją do skrzynki pocztowej w Parioli.

Po lunchu razem pojechaliśmy taksówką na skrzyżowanie Via Veneto i Via Sardegna.

Pat trochę chwiejnym krokiem, z powodu nadmiaru wypitego wina, udał się do Chicago House, natomiast ja i Maureen powoli ruszyliśmy w kierunku fontanny di Trevi.

— Czy nie jestem zbyt szorstki w stosunku do Pata? — zapytałem ją nagle; wypite wino i radość ze spaceru Via Veneto u boku kobiety, której nogi każą odwracać w jejkierunku głowy wszystkim mijającym nas mężczyznom, wprawiły mnie w błogi nastrój.

Maureen popatrzyła na mnie zaskoczona.

— Och, Kevin, ty jesteś niemożliwy. Oczywiście, że nie jesteś dla niego zbyt szorstki. — Ujęła mnie za rękę. — Poza tym w ciągu dwóch tygodni poznałeś to miasto lepiej, niż jemu się to udało przez trzy i pół roku. Ale niech cię nie zmyli pozorna naiwność Pata, kochanie. Pracuje bardzo ciężko i ma coraz lepsze efekty. Jest tu jednym z najbardziej znanych Amerykanów. Zobaczysz, wkrótce będzie bardzo ważny.

Powiedziałem Maureen o swojej obawie, że Martinelli użyje Pata, aby jednak postawić na swoim w kwestii wolności religijnej.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

— Tak, Patowi można wiele wmówić, a wówczas jest w stanie zrobić coś katastrofalnego. Będę miała uszy i oczy otwarte. Przypuszczam — spojrzała mi

na chwilę w oczy i mocniej ścisnęła moją rękę — że będziesz wiedział, co robić w razie kłopotów.

— Coś wymyślę — odparłem z zakłopotaniem. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że Maureen zupełnie nie interesowało, kto zwycięży w konflikcie o wolność religijną. W ogóle nie obchodził jej Kościół jako instytucja. Troszczyła się tylko o to, aby Patrick Donahue miał jak najmniej kłopotów.

Pat uklęknął przed ołtarzem maleńkiej kaplicy Chicago House. Chciał wyć, płakać, ale łzy nie nadchodziły. Ból ściskał mu klatkę piersiową.

Nie chciałem tego zrobić. Nieomal się powstrzymałem. A ona... pragnęła mnie bardziej niż ja jej... Tak mi przykro. Och, Boże, tak strasznie mi przykro... po tylu latach. Myślałem, że już zapanowałem nad sobą. Wiedziałem, że zwalczylem to. A tymczasem... Wybacz mi, wybacz mi, proszę cię, wybacz mi.

Samotna lampka nad tabernakulum drżała czerwonym światełkiem.

Nie zrobię tego więcej. Ale dodaj mi sił. Pragnę tylko Tobie służyć. Wiem, że mogę uczynić wiele dobra dla Kościoła. Zrezygnowałem z małżeństwa, aby żyć dla Kościoła. Twoja matka kazała mi tak postąpić w dniu, w którym ukazała się nad jeziorem.

Z tyłu kaplicy rozległ się cichy szmer. To Albert Meyer wszedł, aby się modlić. Co stałoby się, gdyby się dowiedział. Patrick zadrżał na samą myśl. Zaledwie przed kilkoma godzinami włoski ksiądz udzielił mu rozgrzeszenia: rutynowo mechanicznie, jakby księża sypiający z kobietami nie byli kimś nadzwyczajnym.

Pat znów skupił wzrok na tabernakulum, wciąż na ołtarzu mimo liturgicznych zmian. Czy Boga to obchodzi? Czy Bóg mnie słucha?

Tak bardzo Cię przepraszam, tak bardzo,

I za to, że okłamałem Kevina.

I za wszelkie inne zło, które czyniłem.

Daj mi jeszcze jedną szansę, chociaż jedną szansę.

Proszę Cię

A ja swojego błędu nigdy więcej już nie powtórzę.

Poczuł, że Bóg go wysłuchał, wybaczył; zrozumiał, że ma szansę, aby zacząć jeszcze raz od nowa. Zapłakałby teraz gdyby nie kardynał, klęczący w ławce kilka rzędów za nimi

Wychodząc z kaplicy i czyniąc znak krzyża na swej piersi spojrzał na niego i dostrzegł, że Meyer jest tak bardzo pogrążony w modlitwie, że na pewno nie usłyszałby łkania.

John Murray czekał przy wejściu do Villanova House. Skinął na mnie i poprowadził do wspólnego pokoju.

— Krążą jakieś plotki — zaczął — że Kuria zamierza nakłonić kardynała Cushinga, aby przekonał Ojca Święte go, w imieniu stu amerykańskich biskupów, że obecny dokument powinien dla dobra Kościoła zostać wycofany i zastąpiony czymś w starym stylu, czymś, co nikogo nie urazi. Nie byłoby to najszczęśliwsze, gdyż wówczas grupal Ottavianiego mogłaby zdobyć wpływ na papieża i temat| wolności religijnej zostałby odłożony ad acta.

— A jaka jest w tym wszystkim rola Ottavianiego? zapytałem, nie bardzo rozumiejąc, jak ponury i ortodoksyjny przewodniczący Świętego Kolegium może wejść w przymierze z liberałami i podobnymi do Johna Quinna, wybitnego znawcy prawa kanonicznego z Chicago.Pochodzący z Trastevere Ottaviani nieomal oślepł z powodu choroby oczu panującej wśród biednych rzymskich rodzin, gdy jeszcze był dzieckiem. Teraz mówiono o nim, że ma malocchio, diabelskie oko. Wielu księży w Kurii było na tyle przesądnych, że bali się jego spojrzenia.

— Ottaviani nie jest złym człowiekiem. Chętnie stosowałby metody cesarza Justyniana, rozumiesz, ale to człowiek o poglądach zdecydowanie różniących się od innych. — Murray starannie przetarł grube szkła okularów. — Jest przekonany, że grzeszni nie mają racji.

Pomyślałem, że miły facet, przekonany, że grzeszni nie mają racji, jest o wiele bardziej niebezpieczny niż ktoś gwałtowny, wyrażający te same przekonania.

— Ta gra wciąga ludzi — powiedziałem i westchnąłem.

— Masz rację. — Murray z powrotem założył okulary na swój arystokratyczny nos. — Ludzie w Rzymie robią zakłady, kto wygra.

Maureen rzuciła pakunki na łóżko i przeszła do pokoju Sheili, aby sprawdzić, czy dziewczynka śpi. Obudziła się już i leżała uśmiechnięta, ale spokojna. Maureen pocałowała ją i dziecko spróbowało objąć ją za szyję małymi rączkami. Ona mnie potrzebuje, pomyślała Maureen. Czy będę potrafiła dać jej z siebie wszystko?

Zawołała nianię, żeby ubrała Sheilę na wieczorny posiłek; w duchu wyrzucała sobie, że jest złą matką, skoro ma służącą do takich czynności.

Rozpakowała paczuszki z nową bielizną i starannie wszystko poukładała w szafie. Jeśli się chce mieć mężczyznę w domu, trzeba mieć dużo dobrej bielizny. Roześmiała się wesoło. Pat musi się jeszcze wiele nauczyć, jeśli chodzi o łóżko. Jest jednak silny i namiętny... Od dawna już kogoś takiego jej brakowało. Całe ciało przypominało Maureen o przyjemnościach, jakich zaznała poprzedniego wieczoru.

Czy dzisiaj Patrick przyjdzie znowu? Nie, raczej ten dzień poświęci gnębiącemu go sumieniu.

Przeszła do salonu i zapaliła papierosa. Pewnie niedługo i tak Kościół zmieni stanowisko w sprawie celibatu. Dlaczego mieliby z tym zwlekać?

TLR

Powoli wróciła do sypialni, rozpinając jednocześnie sukienkę. Bóg nie może pozwolić, aby było inaczej. Stworzył ich w ten sposób, że są sobie nawzajem niezbędni. Ona, Maureen, zaopiekuje się Patem i nie pozwoli, żeby robił idiotę z siebie i z Kościoła.

Kiedyś pewnie zostanie kardynałem, i to, cholera, dobrym kardynałem.

Przebrała się niespiesznie i poszła do kuchni, żeby sobie nalać dużą szklankę frascati.Wbrew włoskiemu zwyczajowi, wrzuciła do wina kilka kostek lodu i wróciła do sypialni.

Odkręcając kurek z gorącą wodą w łazience, zastanawiała się nad swoją decyzją. Co powiedziałbyś, najdroższy Kevinie, gdybyś wiedział, że gram o kapelusz kardynalski dla Patricka Donahue? Zrzuciła bieliznę na podlogę i dłonią sprawdziła temperaturę wody.

Cholerni włoscy hydraulicy nie potrafią uregulować piecyka. Odkręciła kran z zimną wodą.

Z gracją weszła do wanny i z wielką przyjemnością zaczęła sączyć zimne wino. Miłość byłaby tu niewskazana. Pat zapragnąłby odejść. To prawda. Ale jednak... jeszcze kilka podobnych nocy i nie będzie w stanie się z tego wyzwolić. Maureen westchnęła ze szczęścia. Jedynym problemem jest Kevin. Jeśli kiedykolwiek się dowie... zmarszczyła czoło. I ciebie kocham, najdroższy Kevinie, ale jesteś moim wrogiem. Znów włączyła gorącą wodę. W łazience było niemal ciepło. W październiku zmierzch w Rzymie zapada szybko.

TLR